Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 15,80 zł w tym 8% VAT ● NR 32–33 (1820–1821) ● 8–21 sierpnia 2025

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

NIE

Podwójny numer!

PARAPETÓWKA U KAROLA

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
32
9 770867 223508

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl bf69553f1f

W numerze:

3: Katolicka bogini, zaiste przedziwna – czemu Matka Boska jest niedotykalska

4: Sejm po byku – głupia histeria wokół głupiej petycji; **Platforma całkiem nieobywatelska** – czego władza nie dała tym, którym obiecała

5: Przegrana od nominacji – służba zdrowia to wymysł Lenina, Grenda jej nie da rady

6: Sex shop RP – Tusk z wibratorami w szturmie na Komisję Wenecką; **Faflun** – kilka obrazków z życia wiceszefa kancelarii prezydenta RP

7: Czarna dziura w moście – przegląd kapelanów prezydenckich, od pedofila do kibola

8: Po ogryzkach ich poznacie – co zostało z postępowych planów rządu; **Och, Karol!** – rząd jeszcze zatęskni za Andrzejem Dudą

9: Zabijaki – to władza strzela, nie tylko do robotników

10: Chęć do życia – w Polsce bieda to wstyd, a wstyd zabija; **Wieszakowe lub estetyczne** – Zygmunt Bauman, grodzone osiedla i trójkąt z dwiema lesbami

11: Demokracja dla słodziaków – na miłość boga nieistniejącego, nie pozwólmy dzieciom głosować!

12: Chory kult zdrowia – dajcie sobie spokój z badaniami, i tak umrzecie

13: Kłamstwa polaryzacji – jak się dajemy podpuszczać; **Codziennie większy wyzysk** – UOKiK bierze za dupę Biedronkę (a przynajmniej próbuje)

14: Udręki czarnej roboty – jak kapłanom się wypala spotkanie z Jezusem

15: Księża wyklęci – zawieszeni duchowni prywatyzują wiernych; **Szalik i stuła** – portret niepokalanego kapelana prezydenckiego

16–17: Słowo to coś bagatelnego – niepublikowany wcześniej wywiad z Urbanem

18: Piramidy zabite śmiechem – jak samorządy przesrywają unijne pieniądze

19: Internetowy pastuch – Unia Europejska klęka przed big techem. Co jeszcze nowego?

20: Niedaleko od szosy – miastowi wytaczają wieśniakom procesy o to, że wieś śmierdzi

21: Kraina tysiąca miast – prawa miejskie jako przejaw snobizmu

22: Strachu naszego powszedniego – wygodnie się rządzi społeczeństwem, które trzęsie dupą

23: Pseudosłużby – streaming samosądu

24: Jak (nie) dogadzać dzieciom – Ordo Iuris walczy o własność rodzicielską; **Sharenting** – kopsnij dychę, pokażę ci dzieciaka

25: Gazem po sprawiedliwość – co jest chyba oczywiste dla Wysokiego Sądu

26: Reportaż z kraju, w którym nikt nie klęka – a może tak rzucić to wszystko i wyjechać do Czech?

27: Kim Dzong Un jest dzieckiem Wuja Sama – krótka historia amerykańskich niegodziwości w Korei

28: Corbyn – reaktywacja – song ku czci ostatniego prawdziwego lewaka w Europie; **Londyn Marksa, Marks w Londynie** – wybierzcie się na wycieczkę śladami Karola M.

29: Czy powstańcy byli terrorystami? – w sierpniu w Warszawie pomyślmy o Gazie

30: Ona musi siedzieć! – argentyński sposób na zaoranie lewicy

31: Wykluczenie bez równouprawnienia – dlaczego Rosję wykopano z rozgrywek międzynarodowych, a Izraela nie?

A poza tym, jak zwykle: **Blog wszystkich świętych**, **Prasa śniadaniowa**, **Życie w dobrobycie**, **Móżdżek tygodnia**, **Z czarnej dupy się wyrwało**, **Wieści z kruchty**, **Wieści gminne**, **Słówka półgłówka**, **Dialogi dam**, **komiks Dąbrowskiego** (aż dwa razy).

Następny, pojedynczy numer „NIE" ukaże się 22 sierpnia.

Z URNY BLAGIERA URBANA

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

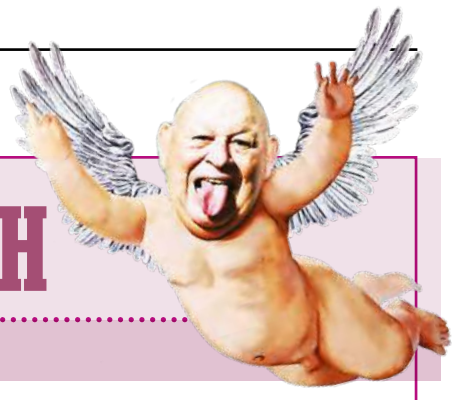

Sierpień 2013 r.

Świętego Juliana

Organ PiS, „GPC", domaga się od Niemiec odszkodowania za zniszczenia w Warszawie w czasie i po powstaniu warszawskim. Nieżyjący Prezydent RP – brat prezesa Kaczyńskiego – w 2004 r. oszacował roszczenia na 45,3 mld dol., wliczając w to cenę padłych w zoo zwierząt. Jest to kwota mocno zawyżona. Należy od niej odliczyć zniszczenia w trakcie samego powstania wywołanego przez Polaków. Dalej wartość cegieł i innych elementów budowlanych zabranych z poniemieckich miast dla odbudowy stolicy. Wypadałoby też uwzględnić wartość krzyżackich koni bojowych wymordowanych pod Grunwaldem oraz zniszczenie przez Polaków budynku ambasady PRL w Berlinie dokonane po 1990 r.

W „GPC" Dawid Wildstein grozi, że będzie nowe powstanie w obronie mitu tego warszawskiego z 1944 r. „Jesteśmy na najlepszej drodze, by tragedia się powtórzyła". Tym razem chodzi o powstanie przeciw Komorowskiemu, a nie pod przewodem Komorowskiego.

Świętej Lidii

Czytam dyskusję o tym, czy hrabiemu von Krockow odebrać polskie obywatelstwo, ponieważ graf ojciec męczył konie, dosiadając ich w klubie jeździeckim SS. Czytam, że władze niemieckie apelują o denuncjowanie starców – byłych nazistów jeszcze nieukaranych. Bardzo mnie to śmieszy jako objaw braku wyczucia upływu czasu. Należy nazizm spuścić w kanał historii i nie paskudzić współczesności toczeniem dawno wygranej wojny. Oczywiście wyrażam tę opinię, bo jestem Goebbelsem, a nie typkiem pamiętliwym i zawziętym jak Polak.

Świętego Jana-Marii

W 80. urodziny rozbolał mnie ząb (trójka dolna). Jakby tego było mało, podejmowałem też w domu i ogrodzie ponad 130 gości. Jestem zdrowy, życzono mi więc tego, co mam. Na 159 zaproszonych 25 usprawiedliwiło nieobecność. Trzy osoby nieobecne nieusprawiedliwione, w tym dwoje z prawicy i jedna z lewicy. Skradziono żonie napoczęty słoiczek kremu przeciw zmarszczkom nocnym. Podawano ponadnarodowe dania kuchni domowej oraz rosyjskiej, japońskiej i libańskiej, wszystkie bardzo drogie niestety. Wyświetlano film zrealizowany w prezencie dla mnie przez moją pasierbicę i dwoje wnuków. Wymagał długotrwałych trudów i wydatków na realizację. Jest to uliczna sonda o Urbanie z występem tria śpiewających pijaczków parkowych. Do obejrzenia w internecie. Z sondy wynika, że nie powinienem kandydować na prezydenta Warszawy. Nawet.

Świętego Abla

Dostałem wiele prezentów. Zespół „NIE" zamówił trzy futerały ze skóry i safianu haftowanego srebrem, a w nich żydowskie instrumenty modlitewne. Katolik może iść do kościoła, jak stoi. Żyd musi mieć myckę, tałes (duża szmata) i jakieś klocki na rzemykach. Umiałem z tego włożyć tylko myckę. I tak sobie myślałem, czy w redakcji „NIE" za dużo aby nie zarabiają, więc nie mają już na co wydać, jak na przypomnienie mi, że jestem parchem. Poza tym dostałem mój portret sporządzony z jednej zapałki, granat piechoty, który wybuchając, zapala papierosa, niezwykle drogi komplet Duponta, ciężkie, szczerozłote, ornamentowane emalią pióro i takąż zapalniczkę. Dostałem pofarbowaną na czerwono skórę wielkiego byka z logo „NIE" i moim portretem, srebrne monety wydane przez NBP na cześć australijskich i polskich kangurów, wydanie „Oliwiera Twista" Dickensa z 1843 r., wielki olejny obraz pędzla Janusza Palikota oraz wiele innych cudów, a też alkoholi, nad którymi dopiero usiądę i zmogę je w miesiącu trzeźwości. Wyjątkiem szampan, który wezmę w miejsce, gdzie pić już nie trzeba, czyli do trumny.

Świętego Gaetana

Najważniejsze wydarzenia z tygodnia, kiedy się urodziłem w 1933 r. (3 sierpnia):

* Mussolini, chociaż ma 50 lat, przejechał się motocyklem.

* Paderewski grał w Paryżu na fortepianie, przeznaczając dochód dla uchodźców z Niemiec, za co cały świat przesyłał pianiście telegramy dziękczynne.

* Wobec „inflacji i dewaluacji" dolara państwa opierające wartość waluty na złocie – Francja, Polska, Włochy, Holandia i Szwajcaria – stworzyły blok obrony swych walut.

* W Anglii zbudowano okręt wojenny ze skrzydłami, który zarówno pływa, jak i lata jako ogromny hydroplan.

* Prezydent Niemiec Hindenburg zachorował na apopleksję z powodu zatargu z kanclerzem Hitlerem. Oddziały „niemieckiej czerezwyczajki zwane SS" otoczyły zamek prezydencki w Neudeck.

* Sensacyjne aresztowania dyrektorów fabryk na Górnym Śląsku pod zarzutem defraudacji.

* Podczas gdy świat mówi o rozbrojeniu, Anglia zbroi się i urządza niebezpieczne ćwiczenia wojenne, np. atak hydroplanu na okręt.

* Pokój nastanie na wschodzie Europy. Rosja sowiecka podpisała z Polską, a także z Rumunią, Łotwą, Estonią, Turcją i Afganistanem Pakt Wschodni. Przyłączą się Czechosłowacja, Finlandia i Jugosławia. Pod przewodem Polski i Rosji sowieckiej państwa te przeciwstawią swą potęgę Blokowi Czterech łączącemu Anglię, Niemcy, Włochy i Francję. Blok ten chce narzucić Europie hegemonię niemiecko-włoską. (Miło wspomnieć, że sojusz radziecko-polski został ogłoszony dopiero w 1944 r.)

Gdy skończyłem sześć lat i miałem pójść do szkoły, żadna z tych wiadomości nie miała już znaczenia ani kontynuacji. Reguła znikania odnosi się także do dzisiejszych doniosłych wydarzeń.

Nie ma się więc co przejmować. Hasło-motto „Gazety Wyborczej": „Nam nie jest wszystko jedno" stanowi błąd spłukiwany przez strumień dziejów.

PS Dziękuję wszystkim, którzy nadesłali mi życzenia urodzinowe, a nie zdołałem odpowiedzieć Im imiennie.

❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- W województwie łódzkim uciekł **kangur.** Czekamy, aż pan Bąkiewicz podejmie stosowne kroki wobec tego uchodźcy.
- **Andrzej Duda** skomplementował żonę, mówiąc, że milczenie jest złotem. Milczenie jest złotem, jak się nie ma nic ciekawego do powiedzenia.
- Były kucharz rodziny królewskiej wyznał, że **księżna Diana** uwielbiała płatki owsiane. Uwielbiała nimi rzygać.
- **USA** uznały, że spaliny nie przyczyniają się do zmian klimatu. Ta decyzja nie ma nic wspólnego z konfliktem Trumpa z Muskiem.
- W przyszłym tygodniu odbędzie się spotkanie **Dudy z Hołownią.** Na którą nastawić budziki?
- W pierwszej połowie 2025 r. urodziło się najwięcej **Nikodemów.** To na cześć nowego prezydenta.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Klub gejowski

Właśnie przeczytałem nowość wydawniczą pt. „Bóg odszedł z poczuciem winy. Tadeusz Bartoś w rozmowie z Arturem Nowakiem", wyd. Prószyński i S-ka, 2025.

Były dominikanin Tadeusz Bartoś opowiada o dzieciństwie i o tym, jak został księdzem zakonnym i dlaczego po 20 latach porzucił habit. Bartoś jest erudytą i bacznym obserwatorem tego, co się wokół niego działo i co się dzieje obecnie. Przyrównuje Kościół katolicki do klubu gejowskiego, co ciekawe, jak mówi, dla niepoznaki homofobicznego klubu gejowskiego, w którym geje w sutannach i habitach głośno krzyczą: „łapaj geja". Istnieje tam tego rodzaju wypieranie i zaprzeczanie swojej seksualności.

Bartoś mówi, że prawa człowieka, otwarte granice, wolne media i prawa dla gejów spowodują całkowite pustki w seminariach duchownych diecezjalnych i zakonnych, gdyż przerażeni swoją homoseksualnością wiejscy i małomiasteczkowi chłopcy nie muszą już ukrywać się po seminariach duchownych, plebaniach i klasztorach.

Tadeusz Bartoś twierdzi, że faszyzm i komunizm całymi garściami zapożyczali rozwiązania ideologiczne, cenzurę, kult jednostki i rozwiązania organizacyjne od Kościoła katolickiego, i podaje wiele przykładów.

Książka jest wielowątkowa, bardzo błyskotliwa i dlatego każdemu ją polecam. W ramach akcji czytelniczej „Podaj dalej" moją książkę wysłałem do jednego z klasztorów dominikańskich.

Czytelnik

Szanowna Pani Redaktor

Po lekturze artykułu o pomarańczowym reketierze nie potrafię oprzeć się nasuwającemu się komentarzowi. Antycypując widocznie zachowanie mme Urszuli klasyk Andrzej Waligórski stworzył był kiedyś wierszyk:

„Raz niedźwiedź ordynarny kucając na łące
W dość niewybredny sposób podtarł się zającem.
Zając się potem żonie chwali przy obiedzie:
– Wiesz, stara, nawiązałem współpracę z niedźwiedziem".

Przepraszam za ewentualne błędy, cytuję z pamięci.

Pozdrawiam
Fan Thomas

eprasa.pl bf69553f1f

Czy Matka Boska może być seksowna?

Katolicka bogini, zaiste przedziwna

Ze względów doktrynalnych Maria, uroczyście i staroświecko pisana w Polsce Maryją, nie uchodzi formalnie za boginię. Chrześcijanie starają się bowiem robić wrażenie monoteistów, wobec czego na boginie nie ma u nich miejsca. Z punktu widzenia religioznawstwa sprawa jest jednakże całkiem jasna.

Awans na Bozię

Święta Maria, dziewicza matka Boga wcielonego, ma wszelkie funkcjonalne i kultowe cechy bogini-dziewicy, jakich wiele rodziło się w afektowanej męskiej wyobraźni starożytnych mieszkańców Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej. Greccy i italscy chłopi, którym chrześcijańscy misjonarze usiłowali sprzedać nową religię, musieli zadowolić fundamentalną dla ich kulturowych tradycji namiętność do czczenia bogini. Bez większego przekonania, pod wpływem społecznej potrzeby, od wczesnego średniowiecza zaczęto konstruować kult Maryi, która ze świętej powoli awansowała na pozycję ludowej Bozi. Niby tylko święta, człowiek, jak ty i ja, ale perskie oczko zostało puszczone – tak naprawdę to bogini, która wiele może u swego boskiego Syna załatwić. I poszło.

W ciągu tysiąca lat trwania średniowiecza wymyślono bogaty wizerunek bogini Maryi odzwierciedlający wszelkie męskie marzenia i tęsknoty, tudzież mizoginię i lęk przed kobietami.

Ten maryjny kult, do dziś żywy w wielu krajach Ameryki Łacińskiej, w Polsce i w kilku egzotycznych regionach Europy jak Malta albo Sardynia, niczym w soczewce skupia wszystkie wielkie namiętności człowieka średniowiecza. A jego ciągłe trwanie dowodzi, że obok naszego nowoczesnego świata niczym pobocze wzdłuż jezdni ciągnie się smuga tego dawnego świata plemienno-feudalnego, z jego naiwną i okrutną wyobraźnią, nieczułą i niepodatną na niezrozumiałe dla części współczesnych narodów idee nowoczesnej racjonalności. To zdumiewające, przerażające, lecz jednocześnie rozczulające.

Pełen tych sprzecznych uczuć z rozkoszą oddaję się kontemplowaniu tysięcy malarskich przedstawień Maryi – brzemiennej, samotrzeciej, z dzieciątkiem, trzymającej zwłoki Jezusa, wniebowziętej, królującej itd. Prawie zawsze są to Maryje nabożne, piękne, lecz całkowicie aseksualne. Są jednakże od tej reguły wyjątki. Niedawno widziałem prawdziwie seksowną Maryję na jednym z obrazów w galerii sztuk pięknych w mieście urodzenia Napoleona, czyli w Ajjacio na Korsyce. Czy to się w ogóle godzi?

Z pięknością i seksownością Maryi sprawa jest śliska. Musiała być piękna, skoro ją sobie upodobał Duch Święty. Byle poczwary by nie zapładniał. Tego by lud nie kupił. Tyle że Pan Bóg nie może się podniecać kobietą. Musiała więc być ładna, ale taka jakaś jakby niedotykalska.

Nie mogła też wyglądać jak inne Żydówki z Galilei, no bo bez przesady – nie żebyśmy mieli coś do Żydów, ale żeby zaraz Żydówki miały nam królować i za nami orędować? Dlatego Maryje są jakieś takie trochę słowiańskiej z urody, a w zasadzie żadne. I o to właśnie chodzi (nie muszę dodawać, że seksowna Maryja z Ajjacio na Żydówkę jak najbardziej wyglądała).

Niepokalana, ale elastyczna

Jak wiadomo, Maryja nie pokalała się czymś tak obrzydliwym jak seks. Fuj, fuj. Ona jest niepokalana, co jasno pokazuje, w jakim poważaniu samiec homo sapiens ma samicę swego gatunku, gdy już ją przygwoździ i wymłóci. Kościoły i ulice pełne są pokalanych, zanoszących modły do jedynej niepokalanej. Same, jako pokalanki muszą ciągle przepraszać, że żyją, bić się w piersi i wołać: „moja wina, moja wina, moja bardzo wielka wina". No bo Ewa zerwała owoc i straszliwy ten grzech jak syfilis przenosi się teraz drogą płciową z pokolenia na pokolenie.

Maryja była więc dziewicą, co wyznawców płci męskiej cieszy, bo skoro nikt jej nie miał, to należy do wszystkich. A skoro nikt nie zbrukał jej słodką seksualną przemocą, to i nie wypompował z niej i nie wypłukał czystości i czci niewinnej panienki. Jest więc Maryja jako ta córka, której ojciec wciąż wierzy, że należy do niego i że żaden Wacek ani Jacek z sąsiedztwa nie wkradł się między jej nogi. I jest jak ta oblubienica, którą narzeczony ma nadzieję posiąść w noc poślubną „nówkę sztukę". Albowiem nikt nie lubi brać po kimś, a tym bardziej cudzych bachorów karmić.

Uczeni teologowie mieli za to problem z menstruacją Najświętszej Panienki. Doktryna jest taka, że nic nie wiadomo na pewno, ale zapewne menstruowała raz na znak kobiecości, natomiast po urodzeniu boskiego Syna już nie, bo ani potrzeby nie było, ani jej wyjątkowe i przeczyste łono nie miało w sobie żadnej zgnilizny, która musiałaby się z organizmu wydalić.

Uczeni mężowie wieków średnich (i postśrednich takoż) bardzo się też zamartwiali fizycznym aspektem dziewictwa Maryi, która przecież urodziła dziecko. Rzecz jasna, doktryna może być jedna: mimo to zachowała dziewictwo. Tym samym miała tam jakąś taką bardzo elastyczną skórkę. Ale nie bądźmy tak wścibscy jak tamci nieprzyzwoici teoginekolodzy.

Obsesje seksualne twórców mitologii maryjnej są może ekscytujące, ale na szczęście nie one są w tej historii najważniejsze. Nieformalna bogini katolików jest przede wszystkim matką.

Jazgot serc

Matką lepszą niż własna, matką kochaną stokroć bardziej niż własna, matką przytulającą każdego wiernego, jak przytula się maleńkie dziecko. To niebywałe! Ci wszyscy modlący się starcy czulą się i tulą do swojej boskiej Matki! Żeby móc sobie to wyobrazić, mitologia umieściła ją w niebie wraz z ciałem! Jest się do czego przytulić! Siedzi tam sobie na jakiejś chmurce miła pani po pięćdziesiątce w chuście na głowie, pewnie nieco przy kości, ale ciepła i schludna, gotowa każdą katolicką główkę przytulić do swego łona (dwuznaczność tego słowa w języku polskim jest źródłem mojego całożyciowego rozbawienia!). A ziemskie matki, grzechem pierworodnym i męską posoką pokalane i powalane, mogą tylko pozazdrościć.

Matka święta, jak wiadomo, ma żywot, czyli brzuch, a ten brzuch wydał owoc. A że słowo „żywot" ma również podwójne znaczenie, to niekompetentne panie w moherowych beretach zawodząc o brzuchu i jego owocu, wciąż myślą o „dziele życia". Albo wcale nie myślą, bo liczy się wszak samo wielbienie. A wielbienie Maryi nie jest nigdy bezinteresowne. W zasadzie zawsze jest molestujące i głowę zawracające. Maryja jest ważna, bo może „wyjednać łaski", czyli załatwić coś u wyższej instancji. Może „orędować" i „pomagać". To okropna wprost instrumentalizacja i bezczelne nadużywanie bogińskiej cierpliwości. Nie za to się jednak nasza bogini gniewa.

Gniewa się, wedle ludowej tradycji, za to, że nie dość się do niej wierni modlą, a najbardziej za to, że ubliżają jej, podważając jej dziewictwo. Tego gniewu Niepokalanej lud boi się najbardziej, bo jak się Matka Przenajświętsza pogniewa, to może się obrazić i przestać słuchać modlitw. A jak z „wyjednywania łask" nici, to przerąbane. Dlatego trzeba Naszą Panią nieustannie przepraszać i przebłagiwać, żeby już się więcej na lud swój nie gniewała. I tak w koło Macieju: jojczenie, błaganie, proszenie i przepraszanie. I te niekończące się nigdy litanie i zdrowaśki. Faktycznie trzeba być świętą, żeby tę upiorną atmosferę chwalczo-błagalną znosić 24 godziny na dobę przez stulecia. Wyobraźmy sobie tylko tę kobietę przebywającą w cielesnej postaci w niebie, do której w jednym czasie dochodzą miliony zamówień od mieszkańców Chile i Polski w sprawach medycznych, finansowych, prokreacyjnych i wszelkich innych. Ten nieustający namolny jazgot unoszący się do nieba z tysięcy kościołów i milionów łask bożych spragnionych serc! Zaiste, to prawdziwa święta!

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Spowiedź Przenajświętszej Panienki

Tak naprawdę w doktrynalnej hierarchii św. Maria stoi nieco poniżej św. Jana czy św. Piotra. Nie jest pierwsza po Bogu, jak myślą mieszkańcy małych miejscowości. Za to jest jedyną kobietą, której drogą płciową rodzice nie przekazali grzechu pierworodnego oraz jedyną osobną całkowicie bezgrzeszną. Nigdy nie pomyślała o nikim niechętnie. Nigdy nie zaniedbała żadnej powinności. Nigdy nie opuściła nabożeństwa w synagodze ani nie zaniedbała żadnej modlitwy. Nigdy nie odkryła ani kosmyka włosów przed obcym. W żadną sobotę nie ruszyła nawet palcem w bucie. Nigdy nie okazała obojętności i nieczułości. Nigdy nie okazała zniecierpliwienia dziecku. Nidy nie spóźniła się ze zmianą pieluchy. Nigdy nie zostawiła nieporządku. Nigdy nie dopuściła, aby jej ciało było brudne. Nigdy niczego się nie ulękła. Nigdy się nie skarżyła na ciężki los. Nigdy nie przeklęła ani się nie kłóciła. Nigdy nie okazała nieposłuszeństwa ojcu ani matce. Nigdy nie spojrzała pożądliwie, a choćby zalotnie na młodzieńca. Nigdy, nigdy, nic! Żadnej niedoskonałości w myśli, słowie ni uczynku! To absolutnie fascynujące. Doskonała w każdym calu, a do tego jakaż skromna! No i żadnego seksu ze swoim grzesznym a poślubionym sobie mężem.

Ten koncept absolutnej bezgrzeszności jest ze wszystkich doktryn maryjnych najbardziej ekscentryczny. Bo przecież grzeszyć to rzecz ludzka, arcyludzka. A tę jedną „prawa do grzechu", części ludzkiej kondycji po prostu pozbawiono. Jezus robił, co chciał, i było to święte, bo Bóg czyni wyłącznie rzeczy święte i nie podlega moralnej ocenie ani odpowiedzialności. Ale ta biedna Maria musiała być naprawdę doskonała w każdym calu.

Tyle że nie ma w tym żadnego sensu.

Nasze życie moralne jest borykaniem się z trudnymi wyborami – z samej swej natury obciąża nasze sumienia. Kto nie ma wyrzutów sumienia, ten nie wie, co to moralność. Czy naprawdę Maryja Panna nie miała żadnych wyrzutów sumienia? Czy myślała o sobie „jestem bezgrzeszna"? No nie. Wszak w takim razie grzeszyłaby pychą. Więc błędnie zarzucała sobie jakieś urojone winy? A jakie? Bardzo bym był ciekaw spowiedzi Najświętszej Panienki. No i tego księdza, który musiałby jej odpowiedzieć: „odejdź, córko, nie daję ci rozgrzeszenia w imię Pańskie, albowiem nie zgrzeszyłaś". No i poszłaby jak niepyszna, nieprzygotowana do komunii świętej. Jakie to szczęście dla Miriam z Galilei, że nic nie słyszała o chrześcijanach. Religia, którą wyznawała, nie zna pojęcia bezgrzeszności, nie mówiąc już o spowiedzi, rodzeniu bogów, statusie świętego i oddawaniu czci boskiej człowiekowi. Chyba by się załamała, słysząc, do czego w przyszłości posłuży niewiernym historia jej życia.

JAN HARTMAN

eprasa.pl bf69553f1f

Konstytucja nakazuje posłom uchodzić za głupszych, niż naprawdę są

Sejm po byku

W letni wtorek sejmowa Komisja do Spraw Petycji – gremium składające się z 15 posłów, które zwykle zajmuje się błahostkami w rodzaju złych dojazdów do przychodni w powiatach czy postulatów zmiany koloru paszportów – rozpatrywała petycję, która od kilku dni robiła za medialnego potwora. Karmionego ignorancją, polityczną histerią i klikalnością.

Źrenica wolności

Autor petycji zaproponował, by osoby bezdzietne po 30. roku życia płaciły podwójne składki emerytalne. Małżeństwa z jednym dzieckiem miałyby płacić składki wyższe o połowę. I to wszystko z łaskawym wyjątkiem dla osób bezpłodnych oraz tych, które straciły dziecko. Idea – jak tłumaczył petycjodawca – wynikała z założenia, że osoby bez dzieci nie przyczyniają się do zastępowalności pokoleń, więc powinny płacić więcej, żeby zrekompensować swoją biologiczną obojętność wobec przyszłości systemu emerytalnego.

Czy wniosek był idiotyczny? Tak. Czy sejm musiał się nim zająć? Tak. Bo prawo pozwala każdemu obywatelowi RP złożyć petycję w sprawie publicznej. Nawet jeśli dotyczy ona wprowadzenia podatku od puszczenia bąka w miejscu publicznym. Komisja nie ma wyjścia – musi przeczytać, porozmawiać, zagłosować. Nim jednak do tego doszło, „Fakt" grzmiał, że „posłowie zajmą się bykowym". Money.pl liczyło, ile z naszych pensji zniknie, jeśli przejdzie „kontrowersyjna propozycja". Onet dramatyzował, że „pół Polski rozwścieczy podatek", a Gazeta.pl pisała o „uderzeniu w bezdzietnych i rodziców jedynaków". Internet puchł od cytatów, grafik z przeliczeniami, analiz i oburzeń.

Jeśli ktoś pamięta PRL, ten wie, że bykowe już w Polsce było. Od końca lat 40. do początku lat 70. mężczyźni powyżej 25. roku życia i kobiety powyżej 20., jeśli nie mieli dzieci, płacili wyższe podatki. Ostatecznie zniesiono je w 1973 r. jako przestarzałe i społecznie nieakceptowalne. Nikt rozsądny nie traktuje dziś tego reliktu poważnie. Ale wystarczyło jedno słowo – bykowe – by media zagrały na emocjach.

W ciągu kilku godzin z bzdurnej petycji publikatory zrobiły poselski atak na wolność osobistą. Niewidzialna ręka państwa, jak grzmiały nagłówki, właśnie zaczynała grzebać ludziom w majtkach, macicach i portfelach. W ciągu jednej doby powstała alternatywna rzeczywistość, w której państwo karze za nieposiadanie dzieci, dyskryminuje singli i odbiera bezdzietnym prawo do równego traktowania.

Bezdzietni utrzymują państwo

Rzeczywistość przedziurawiła ten balon. Posłowie – zarówno z PiS, jak i KO – zgodnie uznali, że pomysł jest niekonstytucyjny, nieetyczny i społecznie szkodliwy. Eksperci sejmowi wskazali, że składki emerytalne nie są formą nagrody za rozrodczość, tylko ubezpieczeniem społecznym. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej potwierdziło, że system i tak działa dzięki gwarancjom budżetowym, a osoby bezdzietne wcale nie są problemem, tylko często największymi płatnikami do budżetu.

Pojawiły się liczby, które – o dziwo – nie zagościły w tych sensacyjnych nagłówkach. Według danych za 2023 r. bezdzietni mężczyźni zapłacili ponad 48 mld zł podatku PIT. Bezdzietne kobiety – 36 mld. Tymczasem mężczyźni z jednym dzieckiem oddali fiskusowi niespełna 18 mld, kobiety – 10,5 mld.

Rys. TOMASZ WOŁOSZYN

Statystycznie rzecz biorąc, bezdzietni utrzymują ten kraj. To oni płacą, nie korzystając z 800 plus, dodatków, ulg podatkowych i wspólnego rozliczania. Nie stoją w kolejkach po wyprawki i beci-kowe.

Gdyby traktować państwo jak firmę, to bezdzietni byliby jego złotymi klientami.

Żadna ustawa nie została uchwalona, żaden projekt nie trafił do laski marszałkowskiej, nikt nawet nie chciał zgłosić poprawek. To była tylko petycja. Obowiązkowo przeczytana. I równie obowiązkowo wyrzucona do kosza.

A wydawałoby się, że w dobie cyfrowych konsultacji, aplikacji do zgłaszania usterek miejskich i socjalmediów służących do wyłapywania problemów realnych obywateli, państwo nie będzie potrzebowało aż tak anachronicznych narzędzi jak petycja. A jednak. W Polsce – kraju, który ustawą potrafi nawet uregulować kolejność bicia w dzwony – petycja pozostała. Ozdobna, ceremonialna, upiornie formalna i równie skuteczna co parasol przeciwatomowy. Nie da się jej zignorować, bo jest wpisana w konstytucję. I właśnie dlatego co roku tysiące petycji ląduje w sejmie, gdzie zajmuje czas, uwagę i budżet komisji, której istnienie i sposób działania wołają o jakąkolwiek racjonalność.

Komisja ds. absurdu

Każda petycja do sejmu przechodzi tę samą drogę. Najpierw przyjmuje ją Marszałek, a właściwie jego kancelaria, która pełni funkcję sortowni, weryfikując, czy petycja ma nadawcę, uzasadnienie, temat mieszczący się w kompetencjach sejmu. Jeśli brakuje któregoś z tych elementów, to petycja zostaje bez rozpoznania albo ląduje w koszu na braki formalne. Jeśli wszystko się zgadza, kieruje się ją do Komisji do Spraw Petycji, nadając jej formalny bieg. Niemal 90 proc. płynących do sejmu petycji kończy swój parlamentarny żywot już na tym etapie, lądując w koszu. Te, które przetrwają, czy ich temat dotyczy transportu, edukacji, zdrowia, prawa spadkowego, energetyki atomowej, czy nawet liczby paczkomatów na dzielni, nie lądują we właściwej merytorycznej komisji. A są przecież komisje zdrowia, edukacji, gospodarki, infrastruktury, sprawiedliwości i dziesiątki innych. Zatrudniają ekspertów, analizują projekty ustaw, przyjmują poprawki. Wydawałoby się logiczne, że petycje – zredagowane z sensem – trafiałyby do tych właśnie komisji.

Ale nie. Trafiają do Komisji do Spraw Petycji. 15-osobowego ciała dedykowanego temu konstytucyjnemu kuriozum.

W 2022 r. komisja odbyła 48 posiedzeń i rozpatrzyła 214 petycji. W 2023 r. spotkała się 19 razy i przeanalizowała 86 petycji. Rok później – już 47 posiedzeń i aż 322 petycje. Z czego aż 162 zostały po prostu odrzucone jako niezasadne. Czyli połowa. Wieloletnia praktyka pokazuje, że co druga petycja kończy tu swój żywot. Ale wcześniej musi zostać omówiona, przeczytana, zaopiniowana, przegłosowana. Niezależnie od absurdalności jej treści.

A trafiają się apele o zakaz spowiedzi dzieci i młodzieży przed 18. rokiem życia argumentowane ochroną psychiczną przed „religijnym zniewoleniem". Są petycje o wprowadzenie kar za obchodzenie Halloween, w tym za przebieranie się za duchy. Kolejne chcą ustawowego zakazu kwestionowania, że małżeństwo to związek kobiety i mężczyzny.

Efekt jest groteskowy. Gdyby ktoś chciał stworzyć fikcyjny mechanizm psucia pracy sejmowej, mógłby wymyślić coś właśnie takiego: 15 posłów przez wiele dni rozważa setki mniej lub bardziej poważnych dokumentów, z których i tak niemal połowa kończy się niczym. Pytanie brzmi: dlaczego? Dlaczego nie przekazuje się petycji od razu do komisji właściwej? Czy nie mamy w Polsce wystarczająco dużo urzędów, partii politycznych, biur poselskich, samorządów i instytucji, które codziennie produkują dane, badania, postulaty, analizy i ekspertyzy? Czy naprawdę narodowe życie ustawodawcze musi być zatykane przez dokumenty o zakazie dekorowania dyniami szkół podstawowych? Chyba że chodzi o to, żeby media miały z czego robić wielkie halo, pokazując, jak posłowie usiłują dokonać skoku na nasze prawa obywatelskie. No i na zdrowy rozsądek.

TOMASZ BOROWIECKI

Platforma całkiem nieobywatelska

Smutno, coraz smutniej...

Bajki dla myślących

Ta bajka będzie o tym, że nie można wierzyć w bajki – w bajki, jakie opowiadają nam „wybrańcy narodu". Wiarę w te bajki tracą powoli wszyscy, ale osoby LGBT+, czekające na równouprawnienie w swoim kraju, osoby z niepełnosprawnościami i seniorzy szczególnie. Jeśli chodzi o bajki opowiadane przez polską klasę polityczną, to wiarę tę utraciły ostatecznie.

Wraz z początkami nowej Polski, bo w roku 1989, została zarejestrowana pierwsza polska organizacja LGBT: Lambda. W lutym 1993 r. Lambda zorganizowała pierwszą publiczną demonstrację pod kolumną Zygmunta, apelującą o „prawo do miłości". W 2001 r. w Warszawie odbyła się pierwsza Parada Równości, gromadząc około 300 osób. W kolejnych latach ruch LGBT w Polsce rozwijał się, powstawały kolejne organizacje, takie jak Kampania Przeciw Homofobii, Fundacja Trans-Fuzja, czy stowarzyszenia: Miłość Nie Wyklucza i poznański Stonewall. Istnieje też chrześcijańska organizacja Wiara i Tęcza, która tworzy bezpieczne środowisko dla wierzących osób LGBT+. W 2011 r. do sejmu zostali wybrani pierwsi posłowie otwarcie deklarujący swoją nienormatywność seksualną i płciową: Robert Biedroń i moja skromna osoba. Od kilkunastu lat Parada Równości i marsze równości odbywają się dorocznie nie tylko w stolicy, a w wielu miastach Polski.

Dziś ruch LGBT+ to setki aktywistów zaangażowanych w walkę o równe prawa dla reprezentowanej mniejszości. Dla nikogo już nie jest tajemnicą, że liczba osób nieheteronormatywnych, tak w Polsce, jak i w każdym innym zakątku świata, to przynajmniej 7 do 10 proc. ogółu społeczeństwa. Trzeba przypominać bez końca, że osoby LGBT+ były zawsze i wszędzie na świecie. Były, są i będą zawsze. Bo to nie przejaw mody ani jakiejś ideologii tylko zwykły, naturalny fakt – normalna cecha ludzkich społeczności.

Piszę o tym, ponieważ wydaje się irracjonalne, iż tak intensywne, wieloletnie starania znacznej części społeczeństwa nie są w stanie skłonić polityków do uchwalenia praw i procedur, przywracających równość pokaźnej mniejszości. Nie robią tego, mimo że złotouście obiecywali to w kampanii wyborczej.

Ale czemu ja się dziwię, skoro nie tylko mniejszościowe grupy społeczeństwa, ale nawet ta część, która stanowi większość, nie jest w stanie wymusić na politykach respektowania swoich praw. Mam na myśli oczywiście kobiety: ich prawo do decydowania o sobie i prawo do równości. Ale nie tylko to.

Przecież także wszystkim nam, jako pracownikom, ogranicza się (de facto) prawa do zakładania i skutecznego działania związków zawodowych. Wszystkim uniemożliwia się realizację konstytucyjnego prawa do przyzwoicie realizowanej opieki zdrowotnej.

Czy naprawdę nadal mamy sądzić, że żyjemy w kraju demokratycznym? Czy taki ma być skutek demokracji? Czy naprawdę uzasadnione jest zdziwienie, że narastają nastroje skrajne, agresywne i antysystemowe?

Wskutek wyborów parlamentarnych 2023 r. władzę przejęła Koalicja Obywatelska. Wynik tych wyborów to efekt strachu przed PiS i rozbudzonych przez KO oczekiwań. W kampanii wyborczej padały obietnice uchwalenia związków partnerskich oraz ustawy o uzgodnieniu płci. Mobilizowano organizacje pozarządowe, kusząc je rządowym wsparciem ich projektów po odsunięciu PiS od władzy. Jednym słowem: postawiono akcent na społecznym aspekcie polityki. W nowym rządzie powołano nawet ministrę ds. równości, Katarzynę Kotulę z Nowej Lewicy, ministrę ds. społeczeństwa obywatelskiego, Adrianę Porowską z Polski 2050, oraz absolwentkę KUL z PO, Marzenę Okłę-Drewnowicz jako ministrę ds. polityki senioralnej. I cóż z tego, że polityczki te miały zbożne zamiary, a nawet starały się zrealizować powierzoną im przez wyborców misję? Nic, bo gówno z tego

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

eprasa.pl bf69553f1f

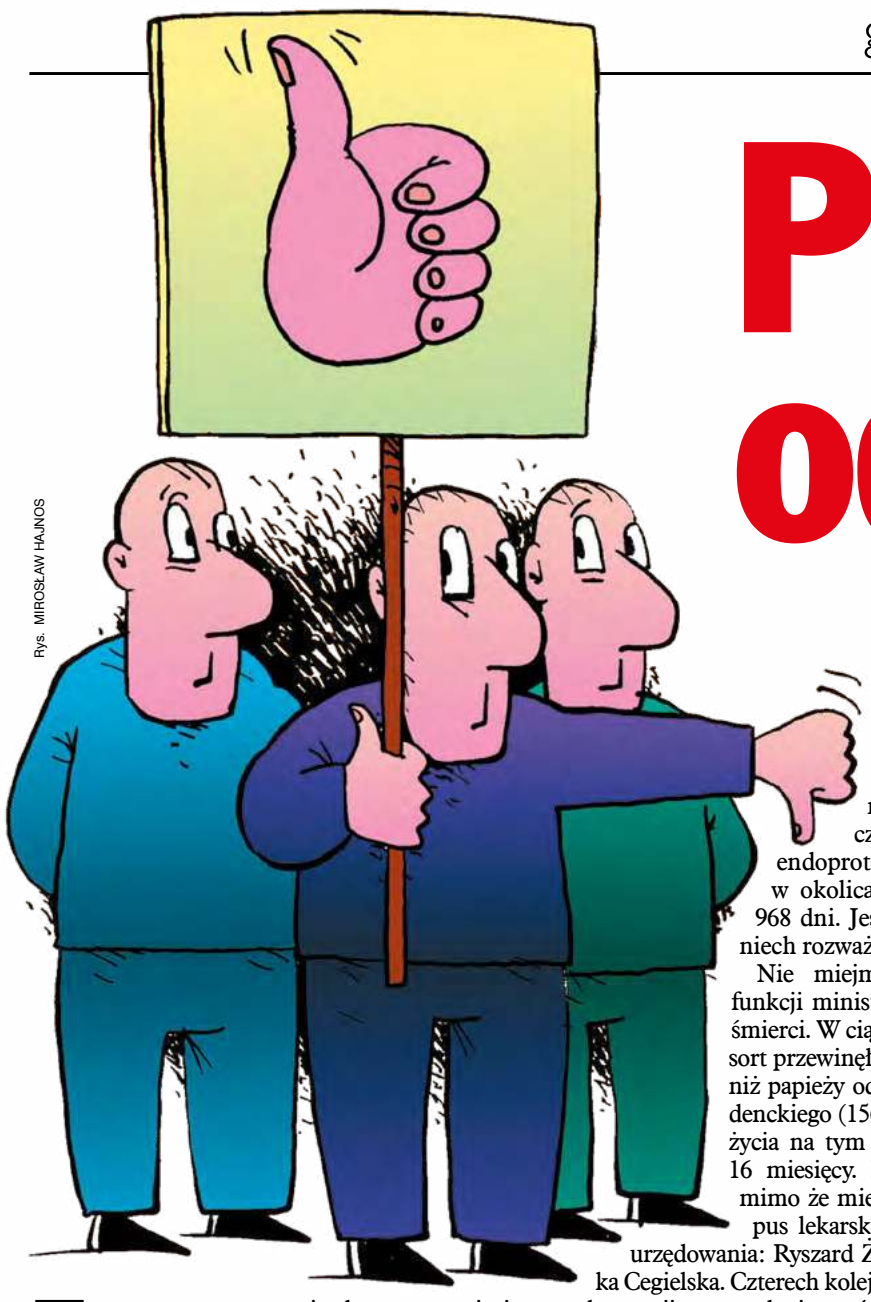

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

Przegrana od nominacji

Martwię się o nową ministrę choroby

Zawsze z pewnym niezdrowym napięciem śledzę powołanie nowego rządu – lub choćby jego kosmetyczne przetasowanie. Pośród wszystkich tych uśmiechów, gratulacji i fleszy jest jeden moment absolutnie tragiczny. To chwila, w której prezydent wręcza nominację ministrowi zdrowia. Gest uprzejmy, obwoluta z orłem, uścisk dłoni. A w rzeczywistości – egzekucja.

Dlatego nie potrafię się nie wzruszyć, patrząc na Jolantę Sobierańską-Grendę – świeżo upieczoną panią minister – która w garsonce w kolorze viagry (niebieski jak nadzieja, że jeszcze coś stanie) stanęła przed prezydentem i odebrała swój los zapieczętowany obwolutą. Trzymała się nieźle jak na swój wiek – choć wyglądała, jakby miała zaledwie trzydzieści parę i jeszcze mogłaby pożyć. A jednak – od tej chwili zaczyna się agonia.

Zdrowie publiczne – misja samobójcza

Minister zdrowia to człowiek, który ma po prostu przejebane. To najbardziej niewdzięczny resort w całym katalogu państwowych stanowisk. Dostać zdrowie w spadku, to jak przejąć „Titanic" po zderzeniu z górą lodową i jeszcze usłyszeć od premiera: „No to napraw, tylko tanio".

Bycie ministrem zdrowia to jak pilotowanie samolotu z pustym bakiem, awarią silników, pasażerami walącymi pięściami w drzwi kokpitu i instrukcją lotu pisaną przez księgowych. Ministra nie kochają nawet ratownicy medyczni. Każdy dzień zaczyna się od maila z danymi o zakażeniach, a kończy raportem o średnim czasie oczekiwania na endoprotezę kolana – gdzieś w okolicach 2031 r. (Na dziś 968 dni. Jeśli pacjent ma 70 lat, niech rozważy, czy warto.)

Nie miejmy złudzeń: objęcie funkcji ministra zdrowia to wyrok śmierci. W ciągu 30 lat przez ten resort przewinęło się 26 osób – więcej niż papieży od czasów Soboru Trydenckiego (1563). Średni czas przeżycia na tym stanowisku to około 16 miesięcy. Dwóch ministrów – mimo że mieli pod sobą cały korpus lekarski – zmarło w trakcie urzędowania: Ryszard Żochowski i Franciszka Cegielska. Czterech kolejnych odeszło później, ale wersji o powolnej zemście podwładnych nie należy wykluczać. Ostatnio widziałem Łukasza Szumowskiego (pamiętacie COVID-19?). Wygląda dokładnie tak jak w czasie pandemii. Jakby wciąż trwał marzec 2020 r.

Resort chorób

Oprócz wszystkich innych paradoksów tego resortu myślę, że najgłębszy zaczyna się już na poziomie jego nazwy. Ministerstwo Zdrowia. Brzmi pięknie, pokrzepiająco, jak zapowiedź harmonii, długowieczności i jogi o poranku. Ale to czysta fikcja językowa, kłamstwo systemowe, które miało złagodzić prawdę.

Podobnie jak Ministerstwo Obrony, które w praktyce przygotowuje się do ataku, tak Ministerstwo Zdrowia zajmuje się wszystkim poza zdrowiem. To eufemizm. W rzeczywistości to Ministerstwo Choroby. Zarządza systemem dopiero wtedy, gdy zdrowie już zawiedzie. Gdy coś pęknie, zapali się, skrzepnie albo przestanie bić. Nikt tam nie monitoruje dobrego samopoczucia. Monitoruje się tam kolejki, zatory, zgony, braki kadrowe, inflację kontraktów i średni czas oczekiwania na rezonans.

Pojawia się zatem fundamentalny konflikt poznawczy: minister, który nosi tytuł „zdrowia", w rzeczywistości całe dnie spędza otoczony chorobami. Myśli o nowotworach, respiratorach, refundacjach i aptekach. A to nie ma nic wspólnego ze zdrowiem – ani fizycznym, ani psychicznym.

To nie ezoteryka. To brutalna logika organizmu: niezgodność myśli z rzeczywistością prowadzi do choroby. I to nie tylko tej klasycznej, psychiatrycznej, ale do wszelkich możliwych „niewiadomych" dolegliwości – tych, których etiologia jest mglista, ale pacjent cierpi realnie. Zresztą istnieją szkoły medycyny, które twierdzą, że wszystkie choroby mają początek w umyśle. Jeśli więc minister zdrowia żyje w stanie permanentnego dysonansu – mówi „zdrowie", a codziennie zarządza cierpieniem – to trudno się dziwić, że wielu z nich kończy, jak kończy. I że urząd ten po prostu zabija.

Dla dobra nowej pani minister, ale też dla jasności przekazu, proponowałbym, żeby w końcu nazwać rzeczy po imieniu. Bo przecież „Ministerstwo Choroby" – choć brzmi jak instytucja z dystopijnego serialu – byłoby bliższe rzeczywistości.

Biuro utrzymania status quo

Już wiemy, że resort ten nie zarządza zdrowiem, tylko jego brakiem. Odpowiedzialny jest za godzenie tego, co z definicji nie da się pogodzić: cierpienia z budżetem, życia z limitem świadczeń, oczekiwań z dostępnością.

Mamy tu klasyczne yin-yang: z jednej strony dążymy do tego, żeby ludzie żyli jak najdłużej, z drugiej – wiemy, że po pięćdziesiątce 80 proc. populacji uskarża się na co najmniej jedną przewlekłą dolegliwość. Czyli: im dłużej żyją, tym bardziej chorują. Im bardziej chorują, tym więcej potrzeba pieniędzy. A pieniędzy – nie ma.

Ale teraz wyobraźmy sobie alternatywę: Że te rzesze pątników, które właśnie ruszają do Częstochowy, wymadlają całkowite uzdrowienie społeczeństwa. Że wszyscy nagle stają się zdrowi, szczęśliwi, bez bólu, bez recept. No właśnie – katastrofa. Pacjent wyleczony to klient stracony. Szpitale pustoszeją. Lekarze strajkują. Apteki bankrutują. System się wali. Paranoja!

Cały ten gmach: NFZ, AOTMiT, konsultanci krajowi, kontrakty, rejestry – istnieje nie tyle po to, by nas uzdrowić, ale by utrzymać równowagę między liczbą chorujących a tempem ich leczenia. Nie chodzi o zdrowie, tylko o stan stabilnego niedomagania. O rezonans między wpływami ze składek a wydatkami na procedury.

Medycyna: triumf diagnozy, klęska terapii

Tyle że nawet ta równowaga jest złudzeniem. Bo współczesna medycyna to studnia bez dna. Nie ma takich pieniędzy, których nie dałoby się przepalić w imię ratowania życia. Zastrzyk za 1500 zł? Proszę bardzo. Lek za 5 mln? Dzięki zbiórkom typu „SiePomaga" już wszyscy znamy ten refren. Im bardziej zaawansowana terapia, tym bardziej nie do odmówienia. A każda próba racjonalizacji kosztów graniczy z morderstwem. Politycznym albo moralnym.

No i w końcu dochodzimy do sprawy fundamentalnej: ach, ta nasza nowoczesna medycyna! Tak nowoczesna, że ma raptem sto lat, a niektóre z jej „-logii" to osiągnięcia zaledwie ostatniego pokolenia. Jeszcze nasi dziadkowie leczyli się na poważnie bańkami, rtęcią i upustami krwi – wszystko zgodnie ze sztuką. Kto kiedykolwiek zapoznał się z historią tej ludzkiej specjalności sprzed dwóch stuleci, nie ma wątpliwości: poza składaniem złamanych kości to była w dużej mierze szarlataneria. Czy jest lepiej?

Na pierwszy rzut oka – oczywiście. Mamy piękne nowoczesne szpitale, błyszczące maszyny, lekarzy w śnieżnobiałych kitlach i helikoptery z czerwonym krzyżykiem, które lądują w centrum miasta niczym zwiastun nadziei. Mamy systemy, rejestry, procedury, aplikacje, e-skierowania i refundację w wysokości 12 zł. Ale czego tak naprawdę dotyczy ten postęp? Otóż głównie diagnostyki. Staliśmy się mistrzami w rozpoznawaniu chorób, w ich katalogowaniu, nazywaniu, klasyfikowaniu, dzieleniu na typy, podtypy, jednostki i podjednostki. Mamy ICD-10, ICD-11 i wkrótce pewnie ICD-∞. Wymyślamy coraz to nowsze choroby, bardziej precyzyjne nazwy, bardziej zniuansowane definicje – aż trudno już być po prostu „chorym". Dziś trzeba być konkretnie chorym. I najlepiej w trzech różnych kodach.

Natomiast rzeczywista terapia – leczenie, uzdrawianie, powrót do zdrowia – zaskakująco często sprowadza się do tego samego co sto lat temu: eufemistycznego komunikatu dla rodziny, że „medycyna w takich przypadkach jest bezsilna". I wtedy wracamy do punktu wyjścia. Szpital lśni, diagnoza perfekcyjna, personel kompetentny, tylko pacjent, niestety, umarł.

618 milionów na e-kolejkę

Mam jednak pewne przeczucie: że nowa pani minister to jednak ogarnie. Wygląda bowiem na typową technokratkę. Uporządkowaną, cyfrowo kompatybilną, bez zbędnych emocji, za to z CV w formacie PDF. A stanowisko? Nie oszukujmy się – dostała je w nagrodę za to, że bilans jej się zgodził.

Kierowała bowiem Departamentem Zdrowia w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Pomorskiego. Później – jako prezeska Szpitali Pomorskich, jednej z największych samorządowych spółek medycznych w kraju – przeprowadziła skuteczną restrukturyzację i wyprowadziła placówkę na prostą. W 2023 r. zarządzane przez nią szpitale wypracowały ponad 37 mln zł nadwyżki.

I jeżeli ten model bilansowania kompetencji miałby się rozlać na całą służbę zdrowia, to będzie to pierwszy minister zdrowia, który uszczęśliwi ministra finansów. Bo przecież nie pacjentów.

Jakie jest jej najważniejsze zadanie? Już wiadomo. Wdrożyć Centralną e-Rejestrację wizyt. Nie pytajcie, czy to jej pomysł. Nie – to sejm narzucił, zresztą na mocy prawa, które uchwalono szybciej, niż da się zarejestrować do neurologa. Czy to skróci czas oczekiwania na poradę psychiatryczną z obecnych ponad 700 dni do siedmiu? Oczywiście, że nie. Ale za to będzie kosztowało 618 mln zł. Jeśli system w ogóle kiedyś zadziała (co nie jest wcale pewne) – to pacjent w stanie przedzawałowym z Suwałk dostanie radosny komunikat: „Najbliższy dostępny termin u kardiologa: Wałbrzych, za trzy miesiące.". Zarejestruj się, klikając „Tak", albo wróć do wyszukiwarki. Tak działa nowoczesność. Problem nie zniknie, ale za to będzie elegancko zinformatyzowany.

NFZ: Dziecko Lenina

Wiem, że to, co za chwilę napiszę, nie spodoba się mojej szefowej, ale przemilczenie tego fundamentalnego faktu byłoby po prostu kłamstwem. Otóż, jeśli chodzi o **Ministerstwo Zdrowia – prawda jest taka, że to wymysł komunizmu. Przed Leninem nikomu rozsądnemu nie przyszło do głowy, żeby państwo zajmowało się leczeniem obywateli. Żeby ludziom w chorobie należała się pomoc z budżetu. Ten absurd zmaterializował się dopiero w Związku Radzieckim,** gdzie w 1918 r. powołano Ludowy Komisariat Zdrowia Publicznego (Narkomzdraw) – pierwszą nowoczesną centralną instytucję zdrowia publicznego na świecie.

Na jego czele stanął niejaki Nikołaj Siemaszko – lekarz, bolszewik i gorliwy propagator szczepień, higieny oraz bezpłatnych usług medycznych. Komisariat został później przekształcony w Ministerstwo Zdrowia ZSRR, a model przez Siemaszkę stworzony przetrwał do 1991 r. Co więcej – ten radziecki eksperyment stał się wzorcem nie tylko dla bloku wschodniego, ale też, ku zgrozie liberalnych dusz, dla takich instytucji jak NHS w Wielkiej Brytanii.

Dlatego dziwi mnie, że Jarosław Kaczyński – niezmordowany tropiciel moralnych odprysków peerelu – jeszcze nie zaproponował likwidacji tego bolszewickiego pomiotu! Może warto byłoby sięgnąć po system amerykański? Tam ochrona zdrowia kosztuje najwięcej na świecie (per capita), ale za to miliony ludzi nieposiadających ubezpieczenia nie mają żadnego dostępu do lekarza. Zaprawdę godne to i sprawiedliwe, słuszne i zbawienne.

ROBERT JARUGA

---

wyszło, a w wyniku jednostronnej decyzji Tuska, przy okazji tzw. rekonstrukcji, panie ministerki zostały publicznie olane i zdegradowane do pozycji sekretarzyń stanu.

No i pojawiają się fakty: obiecany w „stu konkretach", tak potrzebny osobom z niepełnosprawnościami i oczekiwany przez wiele osób opiekujących się nimi, projekt powszechnej usługi asystencji osobistej – czyli wspierania tych osób w codziennych czynnościach za pieniądze z budżetu – został wepchnięty do dolnej szuflady, bo priorytetem są zbrojenia.

Również źle rysuje się możliwość pozytywnego zakończenia prac nad ustawą o związkach partnerskich. Obecnie rozmowy toczą się jedynie nad koncepcją tzw. statusu osoby bliskiej, zaproponowanej przez PSL. Nowa Lewica chce złapać cokolwiek, co spada z pańskiego stołu, by sprzedać tę żenującą namiastkę jako swój sukces. A ustawa o uzgodnieniu płci, starannie wypracowana przez Katarzynę Kotulę, oczywiście znajdzie się w koszu. Efekt obecności lewicy w rządzie Donalda Tuska, kierownika koalicji, jest taki, jakiego można było się spodziewać.

Oczywiście priorytetem dla całej lewicowo-liberalnej części społeczeństwa jest satysfakcjonujące rozwiązanie problemu dostępu do aborcji. Niestety w tej sprawie nadzieje na postęp, także z powodu spodziewanej postawy prezydenta, są zerowe. W Koalicji teraz (ze wstydu) nawet mówić na ten temat nie chcą.

Tak kończą się bajki, jakie opowiadali nam politycy przed dwoma laty, zachęcając do głosowania w wyborach parlamentarnych. A ja, jak na to patrzę, to tak mi smutno, że wszystkich bajek mi się odechciewa.

ANNA GRODZKA

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ach, ten Bąkiewicz… Długo mu szło: a to jedną staruszkę zrzucił ze schodów, a to drugą zagłuszył przez megafon. Tu chciał coś ukraść (Marsz Niepodległości), tam nie chciał czegoś zapłacić (zobowiązań finansowych), gdzie indziej coś sfabrykował (rozwód). Pisowcy obsypali go kasą, a Duda ułaskawił.

A teraz przestało iść. Mieszkańcy Bogatyni wygnali Bąkiewicza z miasta, dopadł go komornik, a dziennikarz portalu Goniec.pl zdemaskował prawdziwe cele jego Ruchu Obrony Granic.

Los Bąkiewicza jest klasyczną personifikacją przysłowia o tym, że co ma wisieć, nie utonie. A wiszą obelgi kierowane do funkcjonariuszy straży granicznej: „Macie honor? Ile macie tego honoru w sobie?".

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

eprasa.pl bf69553f1f

PLURALIS MAIESTATIS

Sex Shop RP

Czy Europa jeszcze kocha Tuska?

29 lipca br. każdy, kto chciał – i miał dostęp do tzw. mediów – mógł zobaczyć Donalda Tuska bawiącego się wibratorami. Nic nie eksploduje – oznajmił Tusk zza ministerialnego stołu, co było jawnym, acz niepotrzebnym przyznaniem się do impotencji władzy. Chwilę później szef rządu poinformował, że odwiedzi wojskowy instytut badawczy, gdzie – tu cytat – „zaprezentuje większe rzeczy".

A po co w to mieszać wojsko? Idź pan na Marszałkowską, gdzie – nie pamiętam tylko czy przed sklepem czeskim z Krecikiem na wystawie, czy za owym Krecikiem – ostał się sex shop…

Stara ze mnie magiera, ale nie wierzyłam, że doczekam czasów – kiedy całkiem na serio – zobaczę szefa rady ministrów, przed którego nosem stoją wibratory. A dokładnie dwa stoją, a trzeci – leży. Jeden ze stojących z różową główką i różowym przyciskiem to prototyp, którego firma Lelo by się nie powstydziła. Jednak jeśli szef rządu postanowił robić konkurencję kabareciarzom i dziennikarzom satyrycznym, to już jest bardzo, bardzo niedobrze. Wojtyle zresztą też, bowiem na konferencji padły i słowa „nie lękajcie się". Ja się nie przypierdalam, panie Tusk, ale to jest chyba bon mot opatentowany przez państwo Watykan.

„To nie są pociski z granatnika byłego komendanta policji Szymczyka. Nic nie eksploduje, to są atrapy, ale przyniosłem je tutaj z satysfakcją, żeby pokazać coś, z czego możemy być dumni. To są tylko przykłady i to powinno zadziałać dobrze na wszystkich zgromadzonych, jeśli chodzi ideę szeroko pojętej repolonizacji. To jest uzbrojenie dla polskich dronów produkowanych też w całości w Polsce" – rzekł Tusk. A ja tam na swoje kaprawe oko widzę: atrapę pocisku, atrapę premiera, atrapę demokracji. Bo jeśli coś produkujemy, to właśnie zgon tej ostatniej.

Jakoś dzień po premierowskim tańcu z kutasami wicemarszałek sejmu Krzysztof Bosak powiedział w programie „Rymanowski Live", że Hołownia jest na „politycznej liście śmierci Tuska". I tu przypomniało mi się, że żona marszałka Hołowni to oficer wojska RP w szarży kapitana, służąca w Bazie Lotnictwa Taktycznego w Mińsku Mazowieckim. Wojsko zaś głosuje na Nawrockiego lub Mentzena i za chuja wafla nie pozwoli wkręcić się w żadną awanturę pod tytułem zamach stanu. A bez wsparcia wojska ostatecznie żaden zamach stanu nigdy się nie udał. Żołnierze są już dość wkurwieni tym, co odpierdoliliśmy im à propos wojny na Ukrainie – choć wtedy jako pierwsi zagotowali się czołgiści. Zakładam, że Hołownia jest w stanie przyswoić i kreatywnie przerobić wszystkie ploty, które przynosi mu żona.

Przypominam również, że istnieje coś takiego jak trójpodział władzy. Artykuł 10 Konstytucji RP: „Ustrój Rzeczypospolitej Polskiej opiera się na podziale i równowadze władzy ustawodawczej, władzy wykonawczej i władzy sądowniczej. Władzę ustawodawczą sprawują Sejm i Senat, władzę wykonawczą Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej i Rada Ministrów, a władzę sądowniczą sądy i trybunały". To, co teraz się odpierdala, to ni mniej, ni więcej, ale zamach na ów trójpodział władzy. Nasze osobiste sympatie bądź antypatie polityczne nie powinny sprawiać, że będziemy na to ślepi. Bo jak będziemy na to ślepi, to nas wszystkich zabolcują prosto w dupę – czy atrapą, czy po prostu zwyczajnym chujem.

Całkiem możliwe, że Tusk długo miał w UE zielone światło na tzw. demokratyczne zmiany. Tyle że się zagalopował i to światło już gaśnie. Pytanie, czy do Tuska to dotarło. Bo do jego szczekaczy to na pewno nie.

Jak bardzo peron im odjechał, świadczy wycofanie z opiniowania Komisji Weneckiej tzw. ustaw sędziowskich, bo opinia się nie spodobała. Oddajmy zresztą głos Adamowi Bodnarowi: „Mam wrażenie, że ministerstwo nie do końca może wycofać ustawę z opiniowania, ponieważ to nie ministerstwo wnioskowało o opinię dotyczącą tej konkretnej ustawy" – mówił były minister w Polsacie, dodając, że po tym, jak komisja kodyfikacyjna ustroju sądownictwa i prokuratury przygotowała dwa projekty ustaw dotyczących statusu sędziów, Zgromadzenie Parlamentarne Rady Europy – organ odpowiedzialny za nadzór nad wykonywaniem wyroków strasburskich „spytało się polskiego rządu: to dajcie nam szansę na to, żebyśmy mogli taką ustawę zaopiniować".

„Komisja miała prośbę nie od rządu, tylko od Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy" – podsumował Bodnar.

Nie raz, nie dwa istotę problemu podnosiła też Helsińska Fundacja Praw Człowieka, informująca ni mniej, ni więcej, że w sprawach dotyczących władzy sądowniczej nie można iść na rympał i wylewać dziecka z kąpielą. Jak to się ładnie mówi: opinia Helsińskiej Fundacji Praw Człowieka jest zbieżna z opinią Komisji Weneckiej.

A całkiem ostatnio Marcin Wolny, prawnik właśnie z HFPC, stwierdził: „Nie ma obecnie konsensusu pomiędzy środowiskiem sędziowskim krytykującym i broniącym tzw. neosędziów. Nie ma płaszczyzny do porozumienia, ale ona gdzieś musi się pojawić. Inaczej my wszyscy będziemy na tym tracić"…

Ja, skromny żuczek, proponuję, żebyście panowie otrzeźwieli. Wszyscy po kolei! Choć może powinniście więcej pić? Zaprzyjaźnione wiewióry sugerują, że to jest powód, dla którego senator KO Bodnar ostatnio myśli tak jasno.

No, chyba że to ten kop w dupę od Tuska i kumpli, który sprawił, że pamięć, że kiedyś, kiedyś było się rzecznikiem praw obywatelskich – wróciła.

IZABELA SZOLC

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Kroniki Andruszkiewicza

Faflun

Kilka wypisów z politycznego życiorysu wiceszefa kancelarii prezydenta RP

Czerwiec 2019

Adam Andruszkiewicz, niegdysiejszy lider Młodzieży Wszechpolskiej i poseł z list Kukiz'15, wytypowany przez Jarosława Kaczyńskiego do „zagospodarowania" nacjonalistycznej młodzieży na potrzeby PiS, postanowił zająć się tematem patostreamingu.

Podaje dramatyczne statystyki: 23 proc. nastolatków miało kontakt z treściami obscenicznymi i brutalnymi w sieci. I dlatego on, w objazdowym stylu, z pakietem ekspertów i medialnym wsparciem, rusza w trasę po kraju.

Deklarowanym celem: „Walka o zdrowie psychiczne młodzieży". Faktycznym: klasyczna przedwyborcza objazdówka za publiczne pieniądze. Wszystko to pod hasłem troski, czułości i państwowej odpowiedzialności, która jednakowoż nie obejmuje własnego środowiska politycznego. Bo przecież właśnie z niego wywodzi się niejeden przykład patologii – od przemocy słownej po czyny karalne, a wszystko skrzętnie zarejestrowane na filmikach z marszów, stadionów czy ulicznych burd.

Gdyby Andruszkiewicz był naprawdę zatroskany o ten syf, jego edukacyjne krucjaty mogłyby objąć także sejmowe korytarze. W końcu niektóre wystąpienia Pawłowicz, Tarczyńskiego czy samego prezesa z jego „kanaliami" i „gorszym sortem" śmiało można by podpiąć pod definicję patostreamu.

Zresztą internet zna swojego bohatera – „Faflunem" zwą go z czułością użytkownicy, nawiązując do charakterystycznego sposobu mówienia – i nie daje się nabrać na te pijarowe teatrzyki. Zwłaszcza że wciąż czuć opary kibolskiego nacjonalizmu, spod znaku którego Andruszkiewicz przecież wypełzł.

Czerwiec 2021

Już jako sekretarz stanu odpowiedzialny za cyfryzację Andruszkiewicz wraca na rodzinne Podlasie, tym razem w obronie pamięci „Łupaszki".

Chodzi o ulicę w Białymstoku, którą część radnych chciała pozbawić patronatu w osobie majora Zygmunta Szendzielorza. W odpowiedzi Andruszkiewicz, za pomocą swojej młodzieżówki, przygotowuje mobilny banner zatytułowany „Lista hańby". Widnieją na nim nazwiska i zdjęcia miejskich radnych, którzy zagłosowali przeciwko „bohaterowi".

Wypowiedź polityka, z charakterystycznym zaśpiewem i emfazą w głosie, jest przewidywalna do bólu: „To skandal, że człowiek, który walczył o wolną Polskę, jest dziś atakowany przez tych, którzy nie zasłużyli się niczym".

Zero refleksji, zero kontekstu historycznego, żadnego słowa o tym, że ofiary „Łupaszki" to często cywile: dzieci, kobiety, osoby narodowości litewskiej i białoruskiej.

A to właśnie w Białymstoku, mieście wielokulturowym, gdzie w radzie miejskiej zasiadają także prawosławni, banner z takim przekazem niesie ze sobą więcej niż tylko oburzenie; niesie groźby.

Rys. TOMASZ WIATER

Gdyby prokuratura miała więcej odwagi wobec rządzących, może i postawiłaby zarzuty karalne za tę listę. Na razie jednak mamy tylko symboliczny początek, nieco mniej spektakularny niż katowickie szubienice europosłów, ale jednak w tym samym duchu.

Lipiec 2021

Tym razem Adam Andruszkiewicz pojawia się w Drozdowie (woj. podlaskie), gdzie rozdaje symboliczne czeki: 4 mln zł z Regionalnego Funduszu Inicjatyw Lokalnych i 600 tys. zł z Funduszu Patriotycznego – wszystko na rzecz nowego muzeum poświęconego Romanowi Dmowskiemu i rodzinie Lutosławskich.

W budynku obecnego muzeum przyrodniczego flora i fauna muszą ustąpić miejsca „polskości emanującej z każdej cegły". Powstaje kolejna placówka krzewienia XIX-wiecznych idei, jakby Polska w trzeciej dekadzie XXI w. miała wracać do doktryn z epoki Dmowskiego, a nie zmierzać ku wyzwaniom przyszłości.

Gadka-szmatka prawicowych notabli wybrzmiewa jak echo z innej planety: „Cieszę się, że to miejsce jest tak biało-czerwone, tak emanuje polskością" – cieszył się Andruszkiewicz. „Potrzebujemy takich materialnych śladów, dowodów obecności wielkich osób czy wielkich idei, i cieszę się, że tu w pobliżu Łomży, gdzie Ruch Narodowy miał swoich wielu zwolenników, takie muzeum powstanie" – radował się z kolei wice-Czarnek Dariusz Piontkowski.

Swoim szczęściem podzielił się też Tomasz Madras, wicewojewoda podlaski: „W skromnym Drozdowie, w sercu Ziemi Łomżyńskiej, dotykamy kawałka historii. Mamy szczęście, że w tym miejscu losy swoje związał z nami Roman Dmowski".

W tej wizji przyszłości, przeszłość jest nie tylko święta – jest jedynym kierunkiem.

Sierpień 2023

W przededniu wyborów parlamentarnych Adam Andruszkiewicz odpala kolejną patriotyczną ofensywę: akcję „Rozsławianie Polskich Bohaterów". Na początek – „Inka". Staje z kandydatami PiS pod białostockim dworcem jej imienia i napiętym głosem snuje narrację o młodej dziewczynie, która „kochała życie, ale jeszcze bardziej Polskę".

Oczywiście o ofiarach „wyklętych" – zwłaszcza w kontekście Podlasia – ani słowa. Trzeba przecież dbać o przekaz. Akcja ma iść dalej, z ulotkami w różnych językach, bannerami i zagranicznymi występami. W końcu patriotyzm trzeba eksportować.

Wydatki? Pokryje je Fundacja Grupy PKP. Bo ani Andruszkiewicz, ani emerytowani piłkarze z Allstars Jagiellonii, którzy w projekcie też maczają palce, nie zamierzają dołożyć się do niego. Jest publiczna kasa, to jest i „misja".

Grudzień 2024

Mija dekada od wszczęcia śledztwa w sprawie fałszowania podpisów pod listami Komitetu Wyborczego Ruchu Narodowego z 2014 r. Sprawa krąży po prokuraturach jak widmo. Wciąż jednak żyje.

Zeznania dwóch oskarżonych wprost wskazują na Adama Andruszkiewicza, ówczesnego lidera MW i późniejszego ministra. Mimo to nie został nawet przesłuchany. Przez lata chronił go parasol Ziobry. Ale zmiana układu w prokuraturze sprawia, że grunt się zaczyna pod nim nieco chwiać. 400 podpisów określono mianem fałszywych, śledztwo przedłużono do marca 2025 r., a wraz z utratą wpływów przez ludzi Ziobry „Faflun" może przestać być nietykalny.

Sierpień 2025

Na początku sierpnia Adam Andruszkiewicz składa mandat poselski i ląduje na bezpiecznym stołku w Kancelarii Prezydenta RP. Prezydentem jest Karol Nawrocki – były prezes IPN z pisowskiego namaszczenia, a więc z tej samej patriotyczno-nacjonalistycznej bajki.

Teraz Andruszkiewicz będzie wiceszefem jego kancelarii. Na całe pięć lat i bez większych obowiązków. Immunitet – póki co – zostaje. Wiatr historii może się zmienił, ale „Faflun" jak zawsze spadł na cztery łapy.

JMP

eprasa.pl bf69553f1f

Rys. TOMASZ WIATER

Czarna dziura w moście

Od pedofila przez poetę do piechura. Krótka historia kapelanów prezydenckich.

Prezydentura Andrzeja Dudy kosztowała Polaków 312 baniek rocznie – więcej niż Brytyjczyków kosztuje monarchia Karola III. Kancelaria prezydenta zatrudnia 420 urzędników – prawie batalion. Wśród nich jest kapelan, tak potrzebny jak piąte koło u wozu.

Co robi kapelan prezydenta?

W belwederskiej kaplicy odprawia mszę dla prezydenta, jego bliskich i współpracowników. Spowiada tego, kto chce, chrzci dzieci, daje śluby, uczestniczy w pogrzebach.

Ks. Zbigniew Kras, kapelan prezydenta Dudy: „Codziennie odprawiam mszę św. w kaplicy prezydenckiej. Tak się umówiłem z panem prezydentem, że ja codziennie – z nim albo bez niego, bo pan prezydent ma wiele obowiązków i nie zawsze jest na miejscu – będę się modlił za ojczyznę i prezydenta. W tych mszach często uczestniczą pracownicy pałacu prezydenckiego, czasem są goście z zewnątrz. Zawsze jest kilka, kilkanaście osób. Nigdy nie odprawiałem mszy św. sam, dlatego wiem, że jestem tu potrzebny. Nie jestem tylko kapelanem pana prezydenta, ale też wszystkich pracowników pałacu. Oni bardzo potrzebują nie tylko tych mszy św., ale także mojej posługi duszpasterskiej, spotkania, rozmowy, spowiedzi. W tej kaplicy miały już miejsce i chrzest św., i pierwsza komunia św. Za mojej kadencji nie było jeszcze ślubu, ale wszystko przed nami”.

W zamian za ten raczej wąski wachlarz usług kapelan dostaje pensję doradcy prezydenta (XI kategoria zaszeregowania), czyli wraz z dodatkami 15 tys. zł miesięcznie na rękę.

Łzy przy obieraniu Cybuli (1990–1995)

Gdy w roku 1990 wybory prezydenckie wygrał Lech Wałęsa, prędzej nie wziąłby ze sobą do pałacu żony i gromadki dzieci niż spowiednika, który został pierwszym w III Rzeczypospolitej kapelanem prezydenta. Ks. Franciszek Cybula, proboszcz parafii Gwiazda Morza w Sopocie. Miało być jak przed wojną. A było jak w średniowieczu.

Cybula razem z szefem gabinetu Wałęsy Mieczysławem Wachowskim i rzecznikiem prasowym Andrzejem Drzycimskim należał do najbliższych współpracowników głowy państwa. Podróżował z prezydentem, jadł z nim posiłki, brał udział w naradach, dyskusjach i konferencjach. Prawdziwy zausznik, kurde balans… W swojej książce „Ksiądz w Belwederze” (1993) Cybula przedstawia się jako prawy kapłan i państwowiec, zatroskany o honor, Boga i ojczyznę. Opowieść w przaśnym tonie i podniosłym nastroju. Bestseller to nie był.

A mógłby być przy odrobinie szczerości. Po latach okazało się, że ten niespecjalnie bystry klecha był współpracownikiem peerelowskiej Służby Bezpieczeństwa (przez 11 lat, do końca komuny) o niewymyślnym pseudonimie Franek. Tego, na kogo i co donosił, nie wiadomo, gdyż w wichrze historii zaginęła jego teczka osobowa. Kto ją zniszczył i co za to dostał? Nie patrzcie na Wałęsę. Mówi, że o Franku wiedział tyle samo, ile o Bolku, czyli nic.

Były prezydent przysięga, iż nie wiedział także tego, że Cybula, gdy już przestał być kapelanem, dymał chłopców. W głośnym filmie dokumentalnym „Tylko nie mów nikomu” (pierwsza emisja w 2019 r., reżyseria Tomasz Sekielski) jest dźwiękowy zapis konfrontacji księdza oprawcy z ofiarą. Wielebny nie zaprzecza winie, mamrocze, że przecież obaj, on i dziecko, chcieli się bzykać, no tak, no tak, a jeśli tak, to może teraz da mu parę groszy i wszyscy o wszystkim zapomną. No, nie zapomną…

Do molestowania doszło około roku 2010, gdy Cybula miał 70 lat i za sobą całkiem udaną karierę kościelną. Po przygodzie z prezydenckim kapelaństwem był proboszczem parafii wojskowej świętych apostołów Piotra i Pawła w Gdańsku, penitencjarzem – cokolwiek to znaczy – w bazylice archikatedralnej w Gdańsku Oliwie, członkiem kapituły archikatedralnej oraz prałatem honorowym.

Niewykluczone, że bzykał młodzież wcześniej. Na ten haczyk prawdopodobnie złowiła go bezpieka.

Na marginesie: solidarnościowi księża w Trójmieście mieli ze sobą wiele wspólnego. Antysemityzm, tępy nacjonalizm, zamiłowanie do przepychu i seksu z nieletnimi. Na przykład starszy od Cybuli o cztery lata słynny prałat Henryk Jankowski; ale akurat jemu było wszystko jedno, czy molestował chłopców, czy dziewczynki. Żeby tylko życie miało smaczek…

W służbie ateisty (1995–1999)

W państwie post-Solidarności komuchom było mniej wolno. Nikt więc nawet nie przypuszczał, że niewierzący Aleksander Kwaśniewski mógłby nie powołać kapelana. Dla przyzwoitości tylko zmienił mu oficjalny tytuł

– ks. płk Tadeusz Dłubacz został kapelanem Urzędu Prezydenta RP. Jako zwierzchnik sił zbrojnych Kwaśniewski ściągnął Dłubacza do pałacu z Ordynariatu Polowego Wojska Polskiego, gdzie z kolei ściągnął go w 1991 r. z probostwa w Dębicy bp Sławoj Leszek Głódź.

Ks. Dłubacz spełnił pokładane w nim nadzieje: nie wtrącał się do polityki, nie rozmawiał z mediami, w ciszy uprawiał poletko Pana Boga, o którym przy Krakowskim Przedmieściu pamiętała już chyba tylko pierwsza dama Jolanta Kwaśniewska.

4 lipca 1999 r. ksiądz pułkownik nagle zmarł, a dwa dni później na pogrzebie prezydent odznaczył go Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Tajemniczy spowiednik (1999–2005)

Następcą Dłubacza został również pułkownik z ordynariatu polowego – ks. Jan Domian. Podobnie jak poprzednik, nie mieszkał w pałacu prezydenckim, nie latał z prezydentem za granicę (z wyjątkiem wizyt w Watykanie), nie udzielał się w mediach. Raz tylko, zagadnięty o to, czy spowiada się u niego pierwsza dama, ksiądz odpowiedział, że jest to „tajemnica serca”.

Coś jednak musiało być na rzeczy, skoro w roku 2005, wkrótce po śmierci papieża Jana Pawła II, Kwaśniewska namówiła męża do wzięcia ślubu kościelnego. Nie, nie, Kwach nie musiał uwierzyć w rzymskiego Boga. W ceremonii, w której wziął udział również Głódź, występował w roli małżonka świeckiego.

Za to pierwsza dama nigdy nie ukrywała swojej wiary, była dumna z tego, że spotkała się z papieżem Polakiem aż 25 razy. Faktycznie: Wojtyła darzył Kwaśniewskich szacunkiem i sympatią, pozwolił im nawet towarzyszyć sobie w przejeździe papamobile podczas jednej z pielgrzymek do Polski i podarował prezydentowi figurę Chrystusa Zmartwychwstałego, która znalazła się w pałacowej kaplicy.

Funkcja kapelana pomogła Domianowi w jego karierze wojskowej. Został dziekanem Garnizonu Warszawa i „delegatem Biskupa Polowego ds. Duszpasterstwa Wojskowego i Funkcjonariuszy przy Urzędzie Prezydenta RP i Biura Bezpieczeństwa Narodowego”, czyli jednak nie do końca rozstał się z prezydencką fuchą.

Aż do końca (2005–2010)

Prezydent Lech Kaczyński wziął sobie na kapelana proboszcza swojej parafii – ks. Romana Indrzejczyka z kościoła Dzieciątka Jezus na warszawskim Żoliborzu. Można powiedzieć, że Indrzejczyk został kapelanem rodziny Kaczyńskich, znał bowiem dobrze nestorkę rodu Jadwigę oraz prezesa Jarosława – i się z nimi często widywał.

Nie wtrącał się jednak do spraw państwowych. W jednym z nielicznych wywiadów prasowych powiedział: „Przyjąłem zasadę i takie jest niepisane prawo między mną a panem prezydentem, że ja nie pośredniczę, nie ułatwiam żadnych spotkań ani nie dostarczam prywatnych listów. Zastrzegłem sobie też, że w sprawach politycznych ani osobistych nie zabieram głosu. Bo nie roszczę sobie pretensji do bycia szarą eminencją”.

Indrzejczyk miał się również za poetę. Pisał utwory sentymentalno-moralizatorskie, banalne aż do bólu. Gdzie mu tam do ks. Jana Twardowskiego! Już raczej był grafomanem w rodzaju Karola Wojtyły. Przykład twórczości:

„Do was, nieznajomych, o których nic nie wiem…
I do was, wątpiących czy można w coś wierzyć?
I do oszukanych, co już nie chcą myśleć…

Zwracam się z pokorą. Choć bardzo stanowczo –
Pozwólcie mi wierzyć, że ludzie są dobrzy
i że świat miłości, dobra i pokoju
jest ciągle możliwy,
jest do osiągnięcia” („Do was, ludzi…”, 2006)

Indrzejczyk zginął razem z 95 innymi osobami w katastrofie smoleńskiej 10 kwietnia 2010 r.

Na miejscu Lutra (2010–2015)

Kapelanem powołanym przez prezydenta Bronisława Komorowskiego miał być ks. Andrzej Luter, intelektualista, doktor teologii ekumenicznej i wykładowca Wyższego Seminarium Duchownego w Łowiczu, publicysta „Więzi”, „Tygodnika Powszechnego” oraz „Gazety Wyborczej”. Nazywany spowiednikiem polskich dziennikarzy. Jeśli nie znawca, to co najmniej entuzjasta polityki, znany był z dość ostrych i nietypowych dla księdza katolickiego poglądów: opowiadał się przeciwko dzikiej lustracji, upolitycznianiu mediów oraz „terrorowi głupoty w życiu publicznym”.

Podobno Luter był już po słowie z Komorowskim, ale na takie kapelaństwo nie zgodził się episkopat, z którym prezydent najwyraźniej wolał nie zadzierać.

Kapelanem – z powrotem Urzędu Prezydenta RP – został do dziś szerzej nieznany ks. ppłk Krzysztof Kacorzyk.

Jaki pan, taki pleban (2015–2025)

Kapelanem prezydenta, a także jego „spowiednikiem i kierownikiem duchowym” został ks. Zbigniew Kras, proboszcz parafii św. Andrzeja Apostoła w Lipnicy Murowanej w diecezji tarnowskiej. Klasyczny Mister Nobody – tak jak jego pryncypał. Trochę kaznodzieja, a trochę szołmen. Chętnie wypowiadał się w mediach, oczywiście tych prawomyślnych: katolickich i narodowych. Z tych wywiadów można go poznać i dowiedzieć się o:

– prześladowaniu katolików: „Zdarza się, że katolicyzm jest w Polsce – gdzie większość ludzi deklaruje przynależność do Kościoła katolickiego – wyśmiewany czy atakowany”,

– świętych krowach: „Obserwuję, że są pewne religie czy grupy społeczne, których nie można deprecjonować ani krytykować, ale katolików wolno, a w pewnych kręgach nawet należy to do dobrego tonu”,

– religijności Dudy: „Gdy jeden z tygodników podniósł na swoich łamach rzekomy problem religijności pana prezydenta, której ten nie kryje, i religijności jego rodziców, pan prezydent odpowiedział w mediach społecznościowych autorce tekstu: »Dziękuję, że promuje Pani wartości, które są dla mnie najważniejsze«”.

– największej trosce Dudy: „Ojczyzna i jej dobro”.

– obowiązkach wobec ojczyzny: „Powinniśmy stawiać nie tylko na armię, ale także na modlitwę”.

Na pytanie, czy prezydent ułożył już własną modlitwę za ojczyznę, Kras odpowiedział: „Jeszcze jest na to czas”.

Usta pełne trywialnych wielkich słów, lecz ani słowa o Ruchadle Leśnym, Dzikiej Foczce i „gejowej łafce z sosny”… Dlaczegóż, ach, dlaczegóż?

Kapelan Dudy jest piechurem, żeby nie powiedzieć wędrowcem. W roku 2023 przez 12 dni szedł z Warszawy do Lipnicy Murowanej, „by prosić o ustanie wojny na Ukrainie”. Krasowi towarzyszył oficer Wojska Polskiego, który na pielgrzymkę przeznaczył część urlopu.

Mimo tych poświęceń Pan Bóg nie wysłuchał próśb. Nic więc dziwnego, że rok później, znowu w intencji „pokoju na świecie, zwłaszcza zakończenia wojny w Ukrainie i Palestynie”, kapelan prezydenta wybrał się w kolejną wędrówkę, która wiodła od krzyża nad Bałtykiem do krzyża na Giewoncie, liczyła prawie 800 km i trwała 25 dni.

Katolicka Agencja Informacyjna: „Kapłan szedł w upale i w deszczu”.

Kapłan, który szedł i doszedł: „To nie była łatwa droga, trzeba tak powiedzieć, niezmiernie trudna”.

Pasterz Batyra i innych kiboli

Nowy prezydent przestawił nowego kapelana – ks. Jarosława Wąsowicza. Jest wiernym kibicem Lechii Gdańsk i jednym z najbliższych przyjaciół Karola Nawrockiego. Prezydent mówi, że gdyby mógł, to przyznałby Wąsowiczowi Pokojową Nagrodę Nobla.

A co mówi kapelan? „Kibice są wierni wartościom, honorowi, nieprzekupni. Są lojalni, nie opuszczają się nawzajem, kiedy komuś powinie się noga, kiedy ktoś popełni błąd, kiedy ktoś zachoruje albo nawet kiedy trafi do więzienia”.

Tak samo mówił don Vito Corleone. O gangusach.

R.S.

Więcej o Wąsowiczu czytaj na str. 14–15.

eprasa.pl bf69553f1f

Równość małżeńska? Związki partnerskie? Zapomnijcie!

Po ogryzkach ich poznacie

Wiadomo już, że społeczność LGBT nie dostanie w tej kadencji sejmowej nic z tego, na co tak bardzo liczyła przed październikiem 2023 r. Nie będzie ani równości małżeńskiej, ani związków partnerskich, ani ustawy o uzgodnieniu płci, ani zmian w kodeksie karnym dotyczących mowy nienawiści i przestępstw nią motywowanych. Wszystko to, co budziło taką nadzieję jeszcze niespełna dwa lata temu, dziś leży w gruzach.

Kwestię mowy nienawiści pogrzebał jeszcze były Duda, odsyłając ustawę do Trybunału Konstytucyjnego. Sprawa ustawy o uzgodnieniu płci – po korzystnym dla osób transpłciowych rozstrzygnięciu Sądu Najwyższego z marca 2025 r. – w ogóle gdzieś zniknęła. W koalicji mówi się już tylko o związkach jednopłciowych. Jednak sposób, w jaki się mówi, woła o pomstę do nieba.

Rozpaczliwiec Kotuli

Przekształcona z ministrzycy w pełnomocniczkę do spraw równości Katarzyna Kotula zabiega o to, by uchwalić jakąkolwiek ustawę stwarzającą możliwości życia w związkach dla par jednopłciowych. Jest gotowa na daleko idące ustępstwa, aby tylko ustawa powstała i miała szanse na prezydencki podpis. Kotulę można zrozumieć, w końcu włożyła sporo osobistej pracy, by spełnić ten postulat społeczności LGBT przy obojętności jej macierzystego ugrupowania (Lewica), obstrukcji koalicjantów (PSL) i tumiwisizmie bossa (Donald Tusk). Dlatego przygotowuje teraz ustawę o umowie partnerskiej podpisywanej u notariusza, a nie o związkach zawieranych w urzędzie stanu cywilnego, jak to wcześniej planowano.

Trudno jednak zrozumieć to, co wyprawia szef Lewicy. Jego Czarzastość Włodzimierz zdradził pod koniec lipca w Radiu Zet, że wybiera się na pogaduchy w tej sprawie z Kosiniakiem-Kamyszem Władysławem, szefem ludowców. I że chce tę sprawę definitywnie zakończyć. – Chcielibyśmy, i osobiście zacznę się w to angażować, sprawę zarówno kwestii dostępu do aborcji, jak i kwestii związków partnerskich do końca tego roku uregulować – powiadał.

Rozumiecie? Szef lewicowej formacji po półtora roku kompletnej bezczynności „osobiście zacznie się angażować" w coś, w co powinien być po uszy zaangażowany od dawna. No ludzki pan! A jak to zaangażowanie wygląda? Ano tak, że jak już wybierze się na pogawędkę z Kosiniakiem-Kamyszem, to łaskawie zabierze ze sobą Kotulę, żeby mogła pochwalić się przed pierwszym chłopem III RP przygotowywanym projektem, który jest dowodem całkowitego oddania pola PSL-owi. Przypomnijmy, że PSL od początku trwania tej nieszczęsnej koalicji jest przeciwny związkom partnerskim, ich zawieraniu w urzędach stanu cywilnego, przyjmowaniu nazwiska jednego z partnerów przez drugiego i przysposobienia dzieci jednego z partnerów przez drugiego. Czyli jest przeciwny wszystkiemu, co jakoś tam satysfakcjonowałoby osoby LGBT pragnące żyć w związku jednopłciowym, jeżeli już nie mogą mieć równości małżeńskiej. O ile jednak Kotula chce już tylko umowy partnerskiej rejestrowanej notarialnie, o tyle PSL nie zgadza się nawet na to i od miesięcy bredzi coś o ustawie o statusie osoby najbliższej. Co to za franca i w jaki sposób miałaby odpowiadać na zapotrzebowanie społeczności LGBT, tego nikt nie wie, bo peeselowcy do tej pory nie przedstawili jej założeń, choć ciągle o niej gadają.

Twarz Czarzastego

Na lewicy przebąkuje się o kompromisie z ludowcami w tej sprawie, choć doprawdy trudno zrozumieć, dlaczego kompromisem w tej formacji nazywa się całkowite ustępstwo wobec aroganckiego PSL-u.

Te rozmowy między koalicjantami dla społeczności LGBT sprowadzają się do jednego: oczekiwania, czy koalicja rzuci im ogryzek w miarę świeży, czy lekko nadgniły.

I zapewne dlatego przygotowywany obecnie przez Kotulę projekt już zyskał środowiskowe miano ustawy ogryzkowej.

Właściwie nie wiadomo, co jeszcze Czarzasty chce z ludowcami negocjować. Przecież jeżeli Władysławowi dwojga nazwisk nie przypadną do gustu propozycje Kotuli, to Lewica ostatecznie porzuci własne projekty i zgodzi się nawet na tę enigmatyczną ustawę o statusie osoby najbliższej. Wygląda więc na to, że Czarzasty, umawiając się z Kosiniakiem-Kamyszem, ma na celu w zasadzie już tylko zachowanie twarzy wobec społeczności LGBT. Choć to, że jakąkolwiek twarz zachowuje, pozostaje już tylko w sferze jego fantazji. Oczekiwało się od niego, i oczekuje nadal, znacznie bardziej zaangażowanej i twardszej postawy. Niech więc raczej zajmie się już tym, co mu wychodzi najlepiej – zabiegami o stołek marszałka sejmu na drugą część kadencji. Wiadomo przecież, że nie tylko cała społeczność LGBT, ale też wielkie rzesze obywateli wszech stanów nie mogą spokojnie spać, nie będąc pewnymi, że szefunio Lewicy posadzi swe dupsko na marszałkowskim stolcu. Aby do jesieni!

Trudno dziś wskazać partię, która miałaby bardziej przechlapane w społeczności LGBT niż Lewica, oraz polityka bardziej skompromitowanego niż Czarzasty. Nastroje te najlepiej obrazuje fragment postu zamieszczony na facebookowym profilu Stowarzyszenia Miłość Nie Wyklucza: „Jeśli Nawrocki będzie chciał jakkolwiek zająć się tematem, dogada się z PSL-em w sprawie projektu ustawy o »osobie najbliższej« i żadne koncesje ze strony Lewicy nic tu nie zmienią. Po prostu wspólnymi siłami wprowadzą nam na lata bubel. Zadanie sojuszników w rządzie nie powinno polegać na legitymizacji takich posunięć".

Prawica LGBT

A właśnie, à propos neoprezydenta Nawrockiego: ewentualność zarysowana w zacytowanym poście wcale nie jest taka nierealna. Przecież prezio jeszcze w czerwcu deklarował (w rozmowie z Wirtualną Polską) że jest gotowy na porozumienie z rządem w sprawie

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

GADMAN

Och, Karol!

Nie będzie w Polsce politycznych wakacji

Prezydentura Karola Nawrockiego ma być jak dobry film grozy. Zacząć się politycznym trzęsieniem ziemi. A potem z minuty na minutę będzie jeszcze straszniej. Zwłaszcza dla premiera Tuska i jego koalicji rządzącej.

Zaraz po zaprzysiężeniu prezydent Nawrocki przypomni liderom i fanom Koalicji Obywatelskiej obiecywane przez nią „Sto konkretów" w czasie parlamentarnej kampanii wyborczej. Na pierwsze sto dni jej rządzenia. Większość z nich nie została przez rząd Tuska zrealizowana, choć dwa lata ich rządzenia miną niebawem.

Salwą konkretów

Dlatego Karol Nawrocki już zapowiedział swym fanom z klubów „Gazety Polskiej", że to on zrobi „Donaldowi Tuskowi te konkrety". Będzie obficie korzystał ze swego konstytucyjnego uprawnienia do inicjatywy ustawodawczej.

Będzie systematycznie przesyłał do sejmu projekty ustaw konkretyzujące przedwyborcze obietnice Donalda Tuska. Na zasadzie pokerowego „sprawdzam".

Preferował będzie projekty ustaw hojnie rozdające budżetowe pieniądze. Doskonale wiedząc, że już teraz obciążony licznymi wydatkami na zbrojenia i transfery socjalne budżet państwa polskiego skutecznie pogrąża się w deficycie.

Pomimo tego prezydent cynicznie zaproponuje Polakom i rządzącej koalicji ustawy zwiększające kwoty zarobków wolnych od podatków, obniżające stawek VAT na najpopularniejsze towary i usługi, prodemograficznie zwalniające z podatku dla rodziców posiadających dwójkę i więcej dzieci, a nawet kuglarską ustawę o obniżeniu cen prądu. Wszystkie wymagające dodruku niemałych pieniędzy.

Oczywiście takie ustawy będą gorącymi kartoflami dla rządu Tuska i koalicji. Przegłosowanie ich to kolejne rujnowanie budżetu. Dlatego rząd i jego media spróbują wyłożyć wyborcom swe racjonalnie brzmiące racje.

Ale Nawrocki ma przygotowane już gotowe odpowiedzi na fundamentalne pytanie: „Skąd wziąć dodatkowe pieniądze na nowe wydatki?". Swych fanów z „Gazety Polskiej" zapewniał z szelmowskim uśmiechem, że on i jego ekipa wszystko mają już policzone. Przecież wystarczy jedynie nie kraść i „zasypać lukę VAT". Zacząć efektywnie walczyć ze skrytą, gigantyczną „mafią VAT-owską". Ze złodziejstwem, na jakie obecna rządząca ekipa przyzwala.

Propagandowo z „mafią VAT-owską" podobnie jest jak z „nielegalną emigracją". Trudno ją zobaczyć, trudniej wyliczyć szkody przez nią wyrządzane, a najtrudniej ją ostatecznie wyplenić.

Dlatego tak użyteczna jest w politycznej propagandowej walce. Nawrocki i jego ekipa nie będą przecież o budżecie państwa merytorycznie dyskutować. Wystarczy im przekonać swych fanów i wkurzonych na władzę rodaków, że wielka kasa jest w zasięgu ręki. Tylko antypolski rząd Tuska chroni zaprzyjaźnionych złodziei. Podobnie jak chroni „nielegalnych migrantów".

Salwą memów

Andrzej Duda olewał swą codzienną promocję. Korzystał z zaprzyjaźnionych, zwłaszcza pisowskich, mediów. Ożywiał się w czasie kampanii wyborczych. Wtedy objeżdżał powiatową Polskę i trafiał tam w jej gusta.

Podczas swej dziesięcioletniej prezydentury pilnie przestrzegał postów i wakacji. Zwłaszcza sezonów narciarskich nie odpuszczał. Tych na śniegu i wodzie. Dawał wtedy polskiej klasie politycznej czas na wakacje. Relaks.

Prezydent Nawrocki odpoczynków nie planuje. Przynajmniej do czasu wyborów parlamentarnych. Zamierza walczyć z Tuskiem wszędzie, na „plażach, polach, ulicach". O każdej porze.

Prezydent Duda zasłynął jako internetowy korespondent z fanami typu „Ruchadło Leśne". U Nawrockiego nie będzie mowy o cieniu spontaniczności, improwizacji. Ma już swój team, któremu przewodzą Adam Andruszkiewicz, Anna Plakwicz, Dawid Dziama. Fachowcy od internetowej roboty. Nawet tej „mokrej", hejciarskiej.

Zapewne każda prezydencka pieniężna ustawa odrzucona przez koalicję szybko stanie się bohaterem internetu. Posłuży do hejtu na Tuska, do memów wyszydzających koalicję rządzącą. Podobnie jak każda skutecznie zawetowana przez prezydenta Nawrockiego progresywna obyczajowo ustawa, uchwalona przez obecną koalicję. Dzięki takim działaniom wyborcy mają nabrać przekonania, że ten rząd jest totalnie nieskuteczny. Niczego już Polakom nie załatwi. Dla dobra wszystkich, nie tylko narodowych katolików, trzeba szybko premiera i rząd zmienić.

Lider wkurzonych

Kandydat Nawrocki wygrał wybory, bo wielu wyborców uznało go za anty-Tuska. Wedle badań IBRiS ponad 57 proc. ankietowanych obywateli III RP uważa, że w ciągu ostatniego roku zbiednieli. Najbardziej pesymistycznie swą materialną sytuację oceniają ludzie w wieku 18–29 lat i 50–59 lat. Wśród najmłodszych aż 82 proc. deklaruje, że żyje im się gorzej. Najmniej pesymistyczni są seniorzy 70+. Ale ci są zwykle najbardziej konserwatywni obyczajowo i prokościelni. Też lubią Nawrockiego.

Pewnie dlatego ekipa Nawrockiego przebąkuje o wykreowaniu nowego prezydenta na lidera narodu wkurzonego przez sytych, wielkomiejskich liberałów. Liczą na przyciąganie niezadowolonych narzucanym „zielonym ładem", brakiem podwyżek w administracji państwowej i samorządowej, promowaniem progresywnej obyczajowości, oszczędnościami budżetowymi libków.

Karol Nawrocki – człowiek, który wbrew elitom stał się prezydentem RP – budzi nadzieje prawej strony. Dla Konfederacji jest programowo, mentalnie i wiekowo bliski. To w nim widzą lidera przyszłej prawicowej koalicji rządzącej.

O polityczny mariaż z nowym prezydentem zabiegają też liderzy PiS. Prezes Kaczyński zapowiedział wielką demonstrację zwolenników swej partii w Warszawie. W dniu uroczystego zaprzysiężenia Nawrockiego na prezydenta RP. Aby też nowemu prezydentowi zademonstrować siłę PiS. Ostudzić chęci do politycznych zdrad z konfederatami.

Brać głodem?

Pomysłów na skuteczną walkę z ofensywnym Nawrockim nie mają na razie liderzy skłóconej koalicji. Pojawił się jedynie koncept, aby przydusić go finansowo, co może ograniczyć jego polityczną działalność.

W 2025 r. budżet Kancelarii Prezydenta RP wynosi 312 mln zł. Pan prezydent dostaje z tego 26 200 zł miesięcznej pensji, liczonej brutto. Jest on też pracodawcą dla 365 zatrudnionych tam na etatach. Kosztują oni polskich podatników 63 mln zł. Dodatkowo prezydent Duda zatrudniał 17 etatowych doradców z pensjami ponad 10 tys. zł miesięcznie na rękę doradzającą. Nowy prezydent Nawrocki będzie mógł zatrudnić tylu, ilu mu się w budżecie zmieści.

Na podróże zagraniczne prezydenta zaplanowano w 2025 r. 2,9 mln zł – o 1,1 mln więcej niż w 2024 – ale, jak tłumaczyła Kancelaria, nastąpi intensyfikacja wyjazdów „w związku z kończąca się kadencją obecnego prezydenta i rozpoczęciem się kadencji nowego". To jednak kosztuje relatywnie niedużo, bo koszty prezydenckich podróży są pokrywane z puli innych wydatków wpisanych do budżetu Kan-

Rys. MARCIN CHUDZIK

eprasa.pl bf69553f1f

uregulowań dotyczących relacji partnerskich osób tej samej płci. Zastrzegł przy tym, że nie zgodzi się na żadne ideologiczne rozwiązania. Trudno wyrokować, co się za tym kryje (wszak w sprawach dotyczących LGBT ideologiczna jest tylko jedna rzecz: generalny sprzeciw prawactwa), ale domyślać się można, że Nawrockiemu najbliżej byłoby właśnie do tego zgniłego ogryzka proponowanego przez PSL.

Jeżeli tak się stanie, to będzie to nie tylko solidny kopniak w tuskowy tyłek, ale także upokorzenie dla Lewicy, której po takim popisie totalnej niemożności trudno będzie liczyć na jakiekolwiek zaufanie środowisk LGBT.

Nie mam wątpliwości, że wobec takiej ewentualności spora część elgiebetów zrozumie, że to, co dostaje, to jedyne, na co polskie państwo jest w stanie zdobyć się w tej chwili – i po prostu z tego skorzysta. Dziękując jednak w najbliższych wyborach nie tym, którzy tyle naobiecywali i nic nie zrobili, ale tym, którzy im to w końcu dali, choć nie obiecywali niczego. Byłby to fatalny scenariusz, ale nie jest niemożliwy.

Jakkolwiek wydawałoby się, że lewica i centrum to naturalny wybór dla osób LGBT, to jednak bądźcie pewni, że osób o konserwatywno-prawackich ciągotach wśród nich nie brakuje. Jeżeli nawet, licząc na zapewnienie im ich podstawowych praw, opowiadały się do tej pory po stronie centrowo-lewicowej, to nie będą mieć teraz żadnych skrupułów, by całkowicie przejść na prawą stronę rzeczywistości. Pamiętajmy zaś, że społeczność LGBT wraz z przyległościami to wciąż parę milionów wyborców. Nawet tylko część z nich jest siłą mogąca zadecydować o przekroczeniu przez któreś ugrupowanie progu wyborczego lub choćby załapaniu się na państwową subwencję.

EDYTA BAKER

celarii. Zapraszany za granicę prezydent RP utrzymywany jest tam przez obcych podatników, podobnie jak zapraszani przywódcy obcych państw żrą u nas na koszt podatników polskich.

Zatem jeśli mały pałac – kancelaria premiera Tuska – będzie chciał finansowo przydusić wrogiego mu prezydenta, to skutecznie może jedynie zamrozić wynagrodzenia jego ekipy. Wtedy znów za grzechy króla oberwą poddani. To popularności wyborczej koalicji rządzącej nie przyniesie.

Sojusz wrogów?

Bardzo skutecznym hamulcem ekspansji politycznej Nawrockiego był sojusz polityczny jego możnych wrogów: zagrożonego wojną ustawodawczą premiera Donalda Tuska i prezesa Jarosława Kaczyńskiego. Też zagrożonego polityczną aktywnością Nawrockiego.

Bo nowy prezydent, po osłabieniu rządzącego koalicją premiera, może zechcieć osłabić ciągle rządzącego prawicową opozycją prezesa. Być tym twardzielem, który wreszcie ukradnie prezesowi jego partię. Albo przynajmniej jego młodsze zaplecze.

Na razie znawcy polskiej sceny politycznej przestrzegają, aby dziś nie przywiązywać się do notowań przedwyborczych obecnych partii politycznych. Bo do czasu wyborów parlamentarnych na pewno powstaną w Polsce nowe sojusze i koalicje wyborcze. Z nowymi liderami zapewne.

PIOTR GADZINOWSKI

Zabijaki

Murem za mundurem, a z tyłu trupy sznurem

Pod koniec lipca w Sosnowcu policja została wezwana do szaleńca z maczetą. Maczeta okazała się rurką, którą szaleniec zniszczył mienie w postaci czterech zaparkowanych samochodów oraz autobusu miejskiego linii numer 35. Policjanci oddali pięć strzałów, szaleniec zmarł. Prokuratura wszczęła śledztwo w sprawie uszkodzenia samochodów i autobusu – ale także w sprawie zabicia człowieka przez policję.

To ostatnie oburzyło ministra Kierwińskiego. „Policjanci każdego dnia narażają życie i zdrowie, broniąc obywateli i ich mienia. Zawsze będą mieli moje wsparcie w tych działaniach. Nic nie uzasadnia ataku na funkcjonariuszy" – pryncypialnie skarcił trupa na X.

Bohaterowie w kajdankach

Dwa tygodnie wcześniej odbyła się inna awantura na linii prokuratura–MSW. Funkcjonariusze Biura Spraw Wewnętrznych KGP na polecenie prokuratora zatrzymali cztery osoby – trzech czynnych policjantów i jednego byłego. Wszyscy zostali wyprowadzeni w kajdankach, trzech z domów, jeden z komendy.

Zapanowało powszechne oburzenie, które podsycał Onet tekstami zatytułowanymi mniej więcej tak: „Funkcjonariusze w kajdankach i z zarzutami za skucie zabójcy. W środowisku wrze. »To kompromitacja«". A potem jeszcze było o tym, że funkcjusze „usłyszeli zarzuty przekroczenia uprawnień przy obezwładnianiu sprawcy głośnego zabójstwa na plebanii sprzed… sześciu lat". (Uwielbiam użycie wielokropków w środku zdania w celu podkreślenia, że napięcie rośnie.) Z bardzo długiego tekstu Onetu dowiadujemy się ze szczegółami, czego dopuścił się wspominany zabójca – który ewidentnie znajdował się w epizodzie psychotycznym; został zresztą uznany za niepoczytalnego – i jak heroiczna była interwencja policjantów.

Dalej pojawia się informacja, że „by nad nim zapanować i nie dopuścić do eskalacji jego agresji, co mogło się zakończyć kolejną tragedią, obezwładnili go" – a konkretnie: „przełożyli stopy leżącego brzuchem na ziemi pokrzywdzonego za kajdanki zapięte na jego ręce z tyłu. To okazało się skuteczne. W pewnym momencie Jan B. stracił przytomność. Później okazało się, że powodem była niewydolność krążeniowo-oddechowa. W związku z tym jego także przewieziono do szpitala. Lekarze wprowadzili go w stan śpiączki farmakologicznej, z której po pewnym czasie go wybudzili". I jeszcze, że „generalnie nie wiadomo, co by się wydarzyło, gdyby nie interwencja policjantów". A także, że prokuratura się tłumaczy, iż ta technika obezwładnienia była niedopuszczalna, więc policjanci „mieli w ten sposób działać na szkolę interesu prywatnego Jana B." – podsumowuje ironicznie autor tekstu.

Gazowy waterboarding

I wreszcie gdzieś dalej czytamy, że – zdaniem rzecznika prokuratury – „jeden z policjantów, Piotr M., miał użyć wobec Jana B. chemicznego środka obezwładniającego w postaci ręcznego miotacza gazu w taki sposób, że spryskał nim bluzę pokrzywdzonego, którą następnie przykładał do jego głowy w sytuacji, gdy Janowi B. były już zapięte kajdanki służbowe na ręce trzymane z tyłu".

I jeszcze dalej – tam już naprawdę mało kto dojdzie – jest kolejny cytat z rzecznika: „Okoliczność użycia gazu pieprzowego nie została odnotowana w żadnej dokumentacji pointerwencyjnej, pomimo takiego obowiązku. Żaden też z interweniujących policjantów przesłuchiwany w charakterze świadka w postępowaniu toczącym się przeciwko Janowi B. o tej okoliczności nie wspominał, została ona zatajona". To odkrycie stało się przyczyną decyzji o jednoczesnym doprowadzeniu; chodziło to, żeby kolesie nie mogli uzgodnić zeznań.

W tekście Onetu próżno szukać informacji o tym, że w wyniku zagazowania u Jana B. „doszło do ciężkiego kalectwa w postaci naczyniopochodnego uszkodzenia mózgu, co spowodowało ślepotę korową, padaczkę, niedowład lewostronny ręki i nogi oraz chorobę Parkinsona".

Nie wiem, jak Państwo, ale ja sobie myślę, że jeśli psy poprzez gazowy waterboarding doprowadziły do tego, że klient jest ślepy i połowicznie sparaliżowany – a do tego ukryły fakt użycia gazu przed prokuraturą – to coś jest z tymi facetami nie tak.

Nie są to osoby najwyższego zaufania społecznego, którym powinniśmy powierzać odpowiedzialność za nasze bezpieczeństwo.

Nie kulą go, to kolbą

A co na to przełożony psów?

„Nie ma zgody Komendanta Głównego Policji, ale i całej naszej formacji na to, by wykonywany przez nas zawód był okolicznością obciążającą w postępowaniu karnym. Policjanci każdego dnia z narażeniem życia służą innym i mają prawo być traktowani tak samo jak reszta obywateli" – zapienił się gen. insp. Marek Boroń.

A może bardziej obiektywnie wypowiedział się minister od policji – w końcu cywil?

„Ci ludzie bronią naszego bezpieczeństwa i muszą mieć pewność, że w sytuacji, w której narażają własne życie, państwo stanie po ich stronie" – ogłosił Kierwiński. I dodał, że odbędzie na ten temat poważną rozmowę z ministrem Żurkiem. Bo wprawdzie „rząd przywiązuje wielką wagę do niezależności prokuratury", tym niemniej jednak on, Kierwiński, „nie może zrozumieć decyzji jednego z prokuratorów o zatrzymaniu policjantów, którzy ujęli sprawcę przestępstwa".

Minister Kierwiński nie jest w tej filozofii osamotniony. Parę tygodni temu przy granicy białoruskiej polski żołnierz najpierw wygarnął do Afgańczyka z broni gładkolufowej, a kiedy ten upadł, zaczął go tłuc kolbą po głowie, aż koledzy musieli go odciągać – co jest na nagraniu. Wicepremier Kosiniak-Kamysz nie zwlekał z wyrażeniem oburzenia. Wobec prokuratury, która wszczęła śledztwo przeciwko żołnierzowi: „Polski żołnierz został zaatakowany, moi drodzy, ja jestem po stronie polskiego wojska, po stronie polskich żołnierzy i po stronie bezpiecznej Polski, i tej strony będę bronił. Liczę, że prokuratura i wszystkie służby będą działać, żeby chronić polskich żołnierzy, którzy bronią od ponad trzech lat polskiej granicy, za co im się należy wsparcie i ja stoję jasno i wyraźnie po tej stronie"…

W tym miejscu muszę zapytać z ludową szczerością: ludzie, czy wyście ochujeli?! Policjanci, którzy rozstrzeliwują faceta z rurką, policjanci, którzy duszą i oślepiają, żołnierz, który katuje leżącego kolbą karabinu – to jest ten mundur, za którym jesteście murem? Serio?

Pytanie jest retoryczne. Oczywiście, że serio.

Trup się ściele

W grudniu 2023 r. Hanna Machińska, była zastępczyni rzecznika praw obywatelskich, mówiła w OKO.press o 111 potwierdzonych przypadkach zgonów w trakcie lub w wyniku interwencji policji. I przestrzegała, że będzie ich więcej, „o ile się nie zmieni cały system, a winni nie poniosą konsekwencji". Postanowiłam sprawdzić, czy miała rację.

Poniżej – efekt 30 minut pobieżnego researchu w necie. Na pewno niekompletny.

W Inowrocławiu w maju 2024 r. zmarł 27-latek potraktowany paralizatorem o parę razy za dużo. W Człuchowie w grudniu tego samego roku 37-latek został zastrzelony, bo miał nóż i pokłócił się z ojcem. W Płocku przed zeszłoroczną wigilią 32-letni mężczyzna był przez 40 minut przyduszany do schodów, bo się narzucał byłej dziewczynie; w pewnym momencie okrakiem siedziało na nim trzech funkcjonariuszy. Zsiniał i przestał oddychać. W Wąbrzeźnie w Wielki Piątek 2025 r. 18-letni chłopak został obezwładniony przez policjantów. Krzyczał, że go duszą, ale się nie przejęli, zmarł na SOR-ze. W Straszynie koło Gdańska w maju 29-latek sam się zadźgał podczas zatrzymania. W Strzegomiu, w czerwcu, 37-latek „zaczął tracić funkcje życiowe i przestał oddychać", kiedy policjanci użyli chwytów obezwładniających. W lipcu w Gnieźnie zmarł 42-latek potraktowany chwytami obezwładniającymi i gazem. I jeszcze jeden w lipcu, w Kielcach: 36-latek, który usiłował uciekać przed policją, więc go przygazowali i przydusili do krawężnika, zmarł w szpitalu…

Za każdym razem – z chlubnym wyjątkiem sprawy z Inowrocławia, gdzie Komenda Wojewódzka w Bydgoszczy wydaliła sprawców ze służby – zwłoki jeszcze nie ostygły, a przełożeni psów już ogłaszali, że interwencja była prowadzona zgodnie z przepisami i generalnie wszystko jest w pytkę.

Żurek kontra Lucyfer

Nie jestem entuzjastką ministra Żurka. Nie lubię szeryfów, zwłaszcza w wymiarze sprawiedliwości. Tym niemniej jednak fakt, że sędzia Żurek uchodzi za twardziela, w tej akurat sprawie może okazać się pożyteczny.

Brutalność, bezduszność, nadużywanie uprawnień stały się problemem systemowym służb mundurowych. Zrobiłam kwerendę tylko po trupach – ale ile osób dostało od policji ciężki, albo i lekki wpierdol, co nigdy i pod żadnym warunkiem nie jest dopuszczalne? Ilu obywateli panowie władza zastraszyli lub upokorzyli – bo mogli?

Cała narracja z gatunku „murem za mundurem" jest absolutnie toksyczna. Dawanie ludziom – zwłaszcza umundurowanym i uzbrojonym – poczucia wszechmocy i bezkarności kończy się tylko w jeden sposób: źle. Philip Zimbardo udowodnił to swoim eksperymentem więziennym w 1971 r., a rozwinął w wybitnej książce „Efekt Lucyfera: Dlaczego dobrzy ludzie czynią zło?" w roku 2007. Był czas, żeby się z efektami jego badań zapoznać.

Ale jeśli ktoś z ministrów siłowych nie zdążył – to w największym skrócie, cytując Zimbardo: nie da się być słodkim ogórkiem w beczce octu. System, który daje swoim funkcjonariuszom ten rodzaj władzy nad drugim człowiekiem, niszczy i demoralizuje nawet przyzwoite z natury jednostki, skłania je do dehumanizacji osób zależnych od ich woli. Ekstremalny przykład tej sytuacji cały świat zobaczył na zdjęciach z więzienia w Abu Ghraib.

Czy można liczyć na to, ze szeryf Żurek będzie twardy także wobec psów?

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Rys. WIDGET

eprasa.pl bf69553f1f

Chęć do życia

Nie pozwólmy ludziom umierać z biedy i wstydu

SŁOWO CZERWONE

Pod każdą smutną opowieścią o ludziach, którzy popadli w długi i stracili dach nad głową, pojawiają się komentarze określające dłużników jako pijaków, leni, słowem – patologię. Trudno się więc dziwić, że ludzie zapytani przez ankieterów, jak im się wiedzie, odpowiadają, że znakomicie, bo kłopoty finansowe są przez większość opinii publicznej postrzegane jak zaniedbania ze strony zadłużonych.

Skąd taka pogarda wobec osób, którym się źle powodzi? Chodzi o to, żeby hejtując biednych, niewypłacalnych, przekonać innych i siebie, że nam poniżenie związane z brakiem pieniędzy nie grozi, bo my „staramy się", „jesteśmy w porządku". W ten sposób potwierdzamy nieoczywistą wszak tezę, że kapitalizm jest sprawiedliwy. I jeżeli komuś się dzieje krzywda, to na własne życzenie.

Syn pani Ali był geniuszem komputerowym. Matka z dumą opowiadała, jak świetnie mu się wiedzie w Hiszpanii. Miał firmę, klientów, pieniądze i związany z tym prestiż. Aż tu pewnego razu, na początku bieżącego roku, pojawił się u niej w rodzinnym Włocławku. Goły i bosy. Jego biznes się załamał. Stracił niszę, z której korzystał i zakotwiczył u matki, gdzie leczył depresję. Cierpiał, wstydził się, bo z króla życia stał się ciężarem dla starej matki. Aż pewnego dnia wyszedł z domu w krótkich spodenkach i wszelki słuch o nim zaginął. Po miesiącu jego zwłoki wyłowiono z Wisły.

W Choszcznie grasowała banda lichwiarzy. Pożyczyli sąsiadom pieniądze, po czym – kiedy tamci nie oddawali – zabrali im całą pszenicę zebraną z 560 hektarów, a obu braci dłużników wywieźli do lasu i kazali im sobie kopać grób. Jeden z braci usiłował popełnić samobójstwo, ale go w porę odcięto. Drugi nie miał tyle szczęścia i pod wpływem gróźb wierzycieli odebrał sobie życie, wieszając się nieopodal miejsca, gdzie ów grób sobie kopał.

W Mińsku Mazowieckim komornik napisał do dłużniczki, że nazajutrz zostanie na oczach wszystkich sąsiadów wyeksmitowana na bruk. Kiedy przyszedł rano, kobieta już nie żyła. Powiesiła się. List był kłamliwy, bo sąd przyznał dłużniczce lokal socjalny.

Bogdan mieszkał na Pradze z żoną i kilkorgiem dorosłych już dzieci. Po pierwszej eksmisji zamieszkali u znajomych, ale tłok był tak wielki, że włamali się do lokalu, z którego ich wyrzucono. Kiedy znów przyszedł komornik, zablokowaliśmy jego czynność. Gość był uzależniony od alkoholu. Miał długie okresy abstynencji, ale potem nałóg wygrywał i rodzina popadała w ruinę. Po kolejnym zawiadomieniu o egzekucji komorniczej poszedł nad Wisłę, skoczył do wody i już nie wypłynął.

Wielu ludzi odbiera sobie życie z powodu samotności, biedy i związanego z tym upokorzenia, wstydu. Ludzie ci nie mają za co żyć albo nie mają dla kogo żyć. Wreszcie mają na chleb, ale nie wystarcza im na godne życie. Wolą ulicę niż przytułek, gdzie odbiera im się część wolności. Alkohol bywa przyczyną, ale też skutkiem znalezienia się poza wspólnotą, poza społeczeństwem.

W czasach, gdy tryumfował mit dobrego systemu i złych ludzi,

kiedy siadaliśmy na schodach, by obronić kogoś przed eksmisją, sąsiedzi na nas pluli. Byli przekonani, że jeżeli ktoś ma eksmisję, to widocznie zasłużył. Dziś są takie miejsca w Warszawie, Łodzi czy Sosnowcu, gdzie sąsiedzi siadają wraz z nami i blokują.

Rys. WIDGET

To miejsca, gdzie istnieje jeszcze życie społeczne, gdzie ludzie się znają i nie pozwalają sobie na pochopne potępienie, pogardę wobec ofiary bezdusznego systemu.

W osiedlu zakładowym Huty Pokój w Rudzie Śląskiej jedna z lokatorek była zagrożona eksmisją z powodu zadłużenia czynszowego. Kilkudziesięcioosobowa delegacja mieszkańców i pracowników przekonała dyrekcję zakładu, żeby jej dać szansę, żeby nie wyrzucać.

Na Pradze sąsiadki blokowały wraz z nami eksmisję samotnej kobiety. Ubrały się bardzo elegancko i przyszły na blokadę. Jedna z nich powiedziała, że ta eksmitowana to bardzo dobry człowiek. I że gdyby wszyscy tacy byli, świat byłby lepszy.

Kiedyś na początku budowania przez Polskę nowego wspaniałego świata młodzi chłopcy w Głogowie skopali bezdomnego na śmierć. Dlaczego uszło im to praktycznie na sucho? Bo bezdomny był już wykluczony ze społeczeństwa, a więc jego życie nie było wiele warte.

Gdy dziś czytam komentarze pod opowieściami o ludzkich nieszczęściach związanych z ubóstwem, czuję, że dla dużej części z nas biedni nie są już częścią stada. Są poza nawiasem i dlatego tak wielu ich obraża i nimi gardzi. Bo według tych, którzy nie chcą mieć z nimi nic wspólnego, są niewarci, żeby żyć.

Wielu starych, samotnych ludzi chodzi po lekarzach, żeby mieć z kim porozmawiać. My w Kancelarii Sprawiedliwości Społecznej też przyjmujemy takie wizyty. I staramy się słuchać bez zniecierpliwienia. Bo kto wie, może te rozmowy przywrócą komuś chęć do życia?

PIOTR IKONOWICZ

Wieszakowe lub estetyczne

Polskie wspólnoty

Kiedy 1 sierpnia o godz. 17.00 zawyły syreny w całej Polsce – ku zdziwieniu wielu ludzi, niemających pojęcia, czemu zakłóca się im spokój, pałaszowanie kiełbaski z grilla czy oglądanie Netfliksa – pomyślałam sobie, że w ten sposób władza przypomina nam o poczuciu wspólnoty z warszawskimi powstańcami. To właśnie dzięki nim, jak się można domyślać, mamy dzisiaj wolność – smartfony, ulice Jana Pawła II i Piłsudskiego zamiast Róży Luksemburg czy Manifestu PKWN, Unię Europejską, pełne badziewia półki w sklepach – i powinniśmy być im za to wdzięczni.

À propos Manifestu PKWN – jego kolejną rocznicę obchodzili niedawno co bardziej sentymentalni ludzie, z rozrzewnieniem wspominający święto 22 Lipca i Polskę Ludową. Ich pamięć jest dzisiaj wyklęta, choć przed laty była tożsama z oficjalną linią rządzących.

15 sierpnia będzie z kolei świadkiem efektu synergii między Świętem Wojska Polskiego (rocznica tzw. cudu nad Wisłą, gdy Piłsudski pogonił Ruska) i Wniebowzięciem Najświętszej Marii Panny. Przekaz będzie prosty: Najświętsza Panienka i niezwyciężona armia polska pokonają wszelkie zło. Przy czym niejeden klecha, powiedzmy typu abp Jędraszewskiego, wskaże, że szatan może nie musi być czerwonym ze Wschodu, obecnie to raczej tęczowy z Zachodu.

Ten natłok dat i sprzecznych lub nachodzących się na siebie narracji skłania mnie do zastanowienia się nad polskimi wspólnotami, przy czym przewodnikiem po nich niech będzie książka Zygmunta Baumana „Wspólnota. W poszukiwaniu bezpieczeństwa w niepewnym świecie".

Co ciekawe, patrząc historycznie, od początku nowoczesności próbowano na wszelkie sposoby niszczyć tradycyjne wspólnoty (ograniczone terytorialnie i dość niezależne), aby ustąpiły miejsca narodom. Dziś jednak mamy do czynienia z procesem odwrotnym – wspólnoty nie jawią się jako problem, ale jako rozwiązanie wszelkich problemów. Może nie na zawsze, ale przynajmniej na chwilę, a wciąż nam się wtłacza do głów, że nasze życie składa się z ciągu słabo powiązanych ze sobą epizodów.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Domowe ciepełko

Wybitny znawca studiów kulturowych Raymond Williams podkreśla, że funkcjonujące od XIV w. w języku angielskim słowo „wspólnota" (*community*) tym się różni od swych synonimów, jak choćby społeczeństwo, że ma wyłącznie jednoznacznie pozytywne skojarzenia. Dobrze być częścią wspólnoty, warto jej poszukiwać.

Bauman w całej rozciągłości zgadza się z Williamsem, pisząc poetycko: „Wspólnota to przede wszystkim »ciepłe« miejsce, przytulne i wygodne. Jest jak dach, pod którym chronimy się przed ulewnym deszczem, jak kominek, przy którym w mroźne dni grzejemy dłonie. Tam, na ulicy, czyhają wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwa; gdy wychodzimy, musimy być czujni, uważać, z kim rozmawiamy i kto z nami rozmawia, w każdej chwili mieć się na baczności. Tutaj, wewnątrz wspólnoty, możemy się odprężyć – jesteśmy bezpieczni".

Powyższe słowa pozwalają lepiej rozumieć, skąd w ludziach – choćby największych indywidualistach (przynajmniej we własnym mniemaniu) – taka tęsknota za ciepełkiem wspólnoty, tej bezpiecznej przystani w bezdusznym świecie. We wspólnocie rozumiemy się bez słów, oczywiście nie mówię tu o tzw. wspólnocie mieszkaniowej, którą większość olewa, a pojedyncze osoby, aktywiści i aktywistki, zamęczają pozostałych swoją działalnością.

Tu pojawia się też pewien problem natury językowej. To, co po angielsku określa się mianem „ogrodzonych wspólnot" (*gated communities*), u nas przyjęło się nazywać grodzonymi osiedlami. Te dobrowolne niby getta (prawdziwe getta są przymusowe i ludzie w nich się nie próbują schronić, lecz z nich uciec) gromadzą ludzi podobnych do siebie, co pozwala nie męczyć się próbowaniem współżycia z ludźmi różnymi od nas. Taka grodzona wspólnota może czuć pokrewieństwo z sąsiadem, który jeździ podobnym SUV-em, należy do klasy średniej i też ma małe dziecko, odcinając się od tych nieszczęśników, którzy żyją za bramą i gnieżdżą się w lokalach komunalnych.

Ważne jest, że w jakimś istotnym sensie tego słowa wspólnota przypomina wyidealizowany krąg rodzinny. Skądinąd wykorzystują to pracodawcy w Polsce, często bowiem skłaniają podległych sobie pracowników do traktowania firmy jak jednej wielkiej wspólnoty rodzinnej. Jak pisała o tym Zofia Smełka-Leszczyńska w książce „Cześć pracy. Kultura zap***dolu", jest w tym duża doza manipulacji. Zanika konflikt między szefem (chcącym jak najmniej płacić za jak najwięcej pracy) i podwładnym (chcącym jak najmniej pracować za jak największą płacę). Objaśnię to na przykładzie: kiedy kierownik dzwoni w naszym czasie wolnym, byśmy coś zrobili, to spełniamy jego życzenie, w końcu to jakby nas prosił brat lub ojciec, a nie obcy facet, który żyje z tego, że nas wyzyskuje.

Piękne gole lub gadżety

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że kultura komercyjna dzierży palmę pierwszeństwa w tworzeniu i podsycaniu uczuć wspólnotowych, szczególnie jeśli idzie o tzw. wspólnoty estetyczne. Są one chwilowe, do skonsumowania na miejscu, wiążą się z kwestiami tożsamościowymi.

Oddajmy głos Baumanowi: „Bez względu na to, wokół czego się one skupiają, kolektywnym rysem wspólnot estetycznych jest powierzchowność, pobieżność, a także przelotność więzi zarysowujących się między ich członkami. Więzi są kruche i krótkotrwałe. A że jest rzeczą zrozumiałą i uzgodnioną zawczasu, iż na żądanie można się ich pozbyć, tego rodzaju więzi stanowią niewielką niedogodność i budzą niewielki lub zgoła żaden lęk".

Łatwo to wyjaśnić na przykładzie. Mamy chęć iść na jakiś koncert modnego artysty czy artystki. W trakcie występu nucimy hity, a może je odśpiewujemy razem z innymi. Czujemy się dobrze w grupie podzielających nasze gusta. Lecz w momencie, gdy koncert się kończy, przestajemy mieć z tymi ludźmi cokolwiek wspólnego.

Fani poszczególnych piłkarzy czy drużyn mają tak samo. W trakcie meczów skandują hasła, machają szalikami, z dumą noszą koszulki klubowe, dopingują swoich idoli. Niemniej jednak za tym nic więcej nie idzie – żadne długotrwałe zobowiązanie. W każdej chwili możemy przestać kibicować Lewandowskiemu i zacząć Kylianowi Mbappe, a żaden z nich nie ma prawa się na to obrazić. To nasza suwerenna decyzja konsumencka.

eprasa.pl bf69553f1f

Demokracja dla słodziaków

Ja, skrzeczący dziaders

Nastała moda na obniżanie wieku, w którym uzyskuje się prawa wyborcze. W kilkunastu krajach, od Austrii po Argentynę, to już nie 18, lecz 17, a nawet 16 lat. Fala idzie i z pewnością kiedyś dotrze również do Polski. Czeka nas stosowna dyskusja i te same argumenty co wszędzie indziej.

Partie popularne wśród młodzieży, a więc najczęściej radykalne – libertariańskie bądź komunistyczne – przymilają się do młodych, upewniając ich, że są mądrzy i dojrzali, ich głos musi zostać wysłuchany, a ich interesy muszą być reprezentowane. Partie bardziej umiarkowane przypominają, że jednak z tą dojrzałością młodzieży to niezupełnie się zgadza, a prawa obywatelskie są silnie powiązane z pełnoletniością i wynikającą z tego niezależnością i wolnością osobistą. A jednak populizm, jak zawsze, zwycięży i za dekadę lub dwie i tak już infantylne i głupie kampanie wyborcze zdziecinnieją ze szczętem. Założę się, że do połowy XXI w. w Polsce i w całej Unii Europejskiej czynne prawo wyborcze w wyborach parlamentarnych i samorządowych będzie przysługiwać szesnastolatkom. I będzie to gwóźdź do sosnowej trumny, do której wspólnymi transatlantyckimi siłami składamy właśnie liberalną demokrację.

Populizm, czyli zdobywanie i sprawowanie władzy za pomocą poklasku niewyrobionej politycznie, kierującej się emocjami i egoistycznymi pobudkami publiczności, ma wiele twarzy i łowi na wielu łowiskach. To jedno – nastolatki – nie zostało jeszcze zagospodarowane. Czemu więc nie pobawić się trochę w podlizywanie się młodzieży, jaka to ona jest ważna, jaką to jest przyszłością narodu i jak bardzo państwo musi o nią zadbać? Najpierw załatwić młodym prawo do głosowania, potem naopowiadać im, jacy są wspaniali, mądrzy i dorośli, a na koniec naobiecywać stypendiów, obiektów sportowych, bonów na koncerty, zioło i co tylko jeszcze papier i internet zniosą. Ba, raz złapani w sidła, będą pewnie głosować na „partię rozumiejącą potrzeby młodzieży" również w kolejnych wyborach. Złoty interes!

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Z konstytucyjnego i etycznego punktu widzenia przyznawanie praw politycznych osobom niedorosłym jest zupełną niedorzecznością i skrajną nieodpowiedzialnością. Zresztą propagatorzy tej mody sami się ze swoją niepowagą zdradzają, mówiąc, że uczestnictwo nastolatków w wyborach będzie ich „uczyć zaangażowania". Wybory to nie ćwiczenia z WOS! To nie metoda wychowawcza ani gra edukacyjna. Czy naprawdę od tego protekcjonalizmu i belferskiego niańczenia młodzieży politycy zatracili poczucie powagi państwa? Na to wygląda.

Otóż prawa wyborcze są z samej swej istoty powiązane z samodzielnością. Kobiety uzyskały te prawa, gdy wywalczyły dla siebie najpierw prawa cywilne. Gdy ich nie miały, nie były też obywatelkami. Bo obywatel to nade wszystko człowiek wolny i stanowiący o sobie. A kim jest szesnastolatek? Jest niedorosłą osobą, poddaną bardzo daleko idącej władzy rodzicielskiej i życiowo niesamodzielną. I to całkiem niezależnie od tego, jak bardzo jest dojrzały czy bystry. Po prostu nie stanowi o sobie, a jego wybory – takie jak wybór szkoły czy sposobu spędzania czasu – są w dużej mierze wyborami rodziców. Podobnie byłoby w kwestach politycznych.

Rodzice głosującego nastolatka mieliby pełne prawo oczekiwać od niego – w ramach przysługujących im praw do wychowywania dzieci wedle własnych przekonań i wartości – oddawania głosu na tę partię, na którą sami głosują.

I tajność wyborów niczego tu nie zmienia. Nacisk by istniał, i w dodatku byłby uprawniony. Tym samym rodzice nastolatków mieliby faktycznie większe prawa wyborcze niż pozostali obywatele.

Jeśli zaś chodzi o dojrzałość, to – choć sprawa ta ma znaczenie drugorzędne w porównaniu z wyłuszczonymi właśnie obiekcjami związanymi z samą istotą demokracji i praw politycznych – warto zauważyć, że wszystko ma się tu dokładnie odwrotnie, niż to się twierdzi. Młodzież dojrzewa dziś o wiele dłużej i później wchodzi w dorosłość, choć wcześniej zaczyna korzystać z różnych rozrywek, dawniej dostępnych tylko dorosłym.

Tylko że głosowanie to nie jest rozrywka, tak jak piwo i dyskoteka. Osiemnastolatki, choć wyposażone w pełnię praw wyborczych, w bardzo niewielkim procencie czytają gazety i interesują się polityką. Ich wiedza w tym zakresie jest, statystycznie biorąc, minimalna. Jakieś pojęcie o tym, co się w kraju dzieje, jakie są partie i jacy politycy, zwykle przychodzi kilka lat później. A szesnastolatki? Zdarzy się jeden z drugim o wiele mądrzejszy od własnych rodziców, ale to rzadkość. Ot, bywa, że jajko mądrzejsze jest od kury. Jednak typowy niedorosły nastolatek po prostu skroluje media społecznościowe i lajkuje jakieś filmiki, na których ktoś sprzedaje mu tanie obietnice, podlane uwielbianym przez młodzież sosem szydery. Chce usłyszeć, że jest dorosły, ważny i mądry. I za taką nawijką chętnie zagłosuje, jeśli tylko stworzy mu się taką możliwość. A najchętniej uskuteczni to w internecie, w trybie podobnym do lajkowania. Tego chcemy? Do tego dążymy? Owszem! Właśnie do tego.

Pomysł, żeby pozwalać na udział w wyborach osobom niedorosłym, jest nie tylko podszyty amoralnymi nadziejami na łatwe wyborcze łupy, lecz przede wszystkim świadczy o postępującym zdziecinnieniu klasy politycznej. Filisterska demokracja opiera się na budyniowych uśmiechach, minoderii i przymilaniu się do ugrzecznionych, a nawet i całkiem niegrzecznych wyborców. Wszyscy są cacy i wszyscy zasługują na więcej. A już zwłaszcza na „wysłuchanie" i „zrozumienie". Wszyscy mają potrzeby, którym „trzeba wyjść naprzeciw". Tylko jeden Hartman to skrzeczący dziaders i zacofaniec, poszczekujący jak stary kundel zza płota. Bo nie wyobrażajcie sobie, że ta „demokracja słodyczy" jest wolna od agonu, czyli wrogości, opresji i plemiennej solidarności. Kto słodziak i słodzi ten z nami, a kto nie słodziak i nie słodzi, ten przeciwko nam!

JAN HARTMAN

Niestety, malkontenci mogą mieć rację, że pół biedy, kiedy tworzy się wspólnota estetyczna wobec żywego (czy tam martwego – patrz np. Kurt Cobain z Nirvany), ale rynki konsumpcyjne odkryły, że bardziej plastyczne i przewidywalne są postacie fikcyjne (jak bohaterowie komiksów Marvela), a nawet rzeczy martwe – ciuchy, kosmetyki i gadżety.

Niektóre marki, w tym Apple, uczyniły bardzo wiele, aby ich produkty stały się wzniosłymi obiektami pożądania, czego najbardziej kuriozalnym dowodem jest Ukrainiec, który w 2016 r. zdecydował się zmienić imię i nazwisko na iPhone 7 (iPhone Sim), aby dostać ten smartfon. Jak donosiła agencja Associated Press, choć początkowo jego bliscy byli tym zaszokowani, lecz – jak wyjaśniła jego siostra Tetyana Panina – skoro każdy na świecie szuka sposobu, aby się wyrazić, czemu nie uczynić tego w ten sposób?

Rzecz jasna, im bardziej nasza słabość ku czemuś jest dziwaczna, tym większa jest żarliwość, z jaką ją wyznajemy i jesteśmy gotowi bronić z uporem godnym lepszej sprawy. Mój kolega, który badał społeczności LGBTQ+ w mediach społecznościowych, wyodrębnił grupę gejów, fetyszystów obuwia sportowego. Składała się ona z dwóch zupełnie odrębnych wspólnot: facetów kochających nowe, najlepiej białe buty (najchętniej z logo łyżwy) i mających słabość do obuwia starego, schodzonego, rozklekotanego. Moim zdaniem politycznym odpowiednikiem tych waśni jest różnica między Grzegorzem Braunem a Sławomirem Mentzenem.

Wieszak zwany swojskością

Bardzo ciekawym przykładem wspólnot są tzw. wspólnoty wieszakowe. Jak zaznacza Bauman, wydarzenia i zainteresowania służą jako wieszaki (*pegs*), „na których ludzie pozostawiają na chwilę swoje indywidualne zmartwienia i troski, z jakimi się w pojedynkę borykają – żeby wkrótce ponownie je zabrać i zawiesić gdzie indziej".

Jeżeli dobrze się rozejrzeć, nasz kraj jest przepełniony wspólnotami wieszakowymi. Takimi wspólnotami są te wszystkie – niestety, cieszące się dużym poparciem społecznym – ruchy antyimigranckie i antyuchodźcze. Te wszystkie Leszki i Agnieszki, które w kolejce do lekarza narzekają, że obcy się tu panoszą, zabierają nam pracę, żyją z socjalu, a pewnie jeszcze gwałcą nasze kobiety i mordują nasze dzieci. Tu nie idzie o religię – uchodźcy z państw latynoamerykańskich to często prawowierni katolicy – tu idzie o ciepełko swojskie, nasze, polskie. W przypadku ludzi o ciemniejszym kolorze skóry sprawa jest banalnie prosta – takim wieszakiem jest biała skóra.

Innym wieszakiem jest męska heteroseksualność. Piszę męska, bo ta zgraja homofobów lubi oglądać lesbijskie porno i nie marzy o niczym innym niż trójkąt z dwiema kobietami, aby dowieść, jakie z nich ogiery, co za jednym zamachem potrafią obskoczyć dwie laski.

Co tam się dzieje podskórnie, wyjaśniają punkowcy z zespołu Ye.Stem w piosence „Polscy chłopcy":

„Walczy dla kraju i dla Boga,
Lecz ma do siebie wielki żal.
Chce zabić gejów i obcych,
Lecz pociągają go chłopcy,
Tylko chłopcy, polscy chłopcy".

Żeby być uczciwym i pokazać pełne spektrum, istnieją też wspólnoty wieszakowe wegańskie czy nawet frutariańskie (jedzących same owoce), często połączone z jakimiś klimatami ezoterycznymi, marnowaniem godzin na mantry i afirmacje, aby w ten sposób przyciągnąć bogactwo, zdrowie i szczęście.

Swoistą wspólnotą wieszakową z pewnością są też fanki partii Razem, które o kurwie powiedzą zawsze pracownica seksualna, będą szły na konsultacje lekarskie tylko do chirurżki i nigdy nie stwierdzą, że są wykładowcami, lecz wykładowczyniami akademickimi. A ich marzeniem jest zostać ministrą (a może, co ambitniejszych, premierką lub prezydentką). Stoją one na straży czystości doktrynalnej, szukając wszędzie aktów zaprzaństwa i zdrady ideałów. Szeregi powinny być zwarte, wykształcone, kochające różnorodność (zwłaszcza orientacji seksualnych i płci społeczno-kulturowych, tj. genderów, ale i neuroróżnorodność).

Oczywiście, z daną wspólnotą wieszakową nie łączą się żadne długotrwałe etyczne zobowiązania wobec jej członków. Ot, dają nam one coś w konkretnej chwili, pozwalają uśmierzyć lęki (np. narodowców, że przez gejów naród wyginie), lecz tylko na chwilę.

W ramach podsumowania zacytuję ostatni raz Baumana, piszącego o wspólnocie prawdziwie godnej swego miana, czyli wspólnocie etycznej, która „musiałaby być spleciona z długotrwałych zobowiązań, z niezbywalnych praw i niemożliwych do odrzucenia obowiązków, które dzięki ich przewidywanej (a najlepiej zagwarantowanej instytucjonalnie) trwałości można by traktować jako stałe wielkości, gdy planuje się przyszłość i układa projekty".

Fajnie, tylko gdzie jej, kurwa, szukać w tym popierdolonym kraju?!

KATARZYNA KOENIG

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl bf69553f1f

Chory kult zdrowia

Czy można kupić nieśmiertelność?

Pamiętam, jak moja koleżanka, która ma już pięćdziesiątkę na karku, chwaliła swego czasu postępy medycyny: – Kiedy miałam grypę jako 20-latka, musiałam u lekarza się rozebrać, teraz wystarczy, że pokażę gardło.

Faktycznie medycyna – nawet w Polsce – poczyniła w ostatnich dekadach oszałamiający progres. Zwłaszcza w dziedzinie diagnostyki, choć po części i leczenia. Co ważniejsze jednak, rzeczywistość wokół nas coraz bardziej się zmedykalizowała; doszliśmy do punktu, w którym koncerny farmaceutyczne wynajdują najpierw leki, a potem wymyślają nowe choroby, aby można było nabyć ich produkty.

Suplementy żywieniowe to zaś rynek globalny warty w zeszłym roku grubo ponad 480 mld dol. Za niespełna dekadę – według prognoz – ma osiągnąć kosmiczną wartość 816 mld dol. W Polsce też można na nich suto zarobić – rynek w 2024 r. był wart 21 mld zł. Do 2030 r. sięgnąć ma – przy założeniu 5–8 proc. wzrostu rocznie – ok. 30 mld zł. Najwięcej przynosi sprzedaż witamin i minerałów, ziół i adaptogenów, odżywek sportowych, probiotyków i suplementów funkcjonalnych.

Opowieści dziwnej treści

Kiedy przeglądam główne polskie portale internetowe, jestem atakowana – niczym palestyńskie dzieci stojące po jedzenie w Gazie przez izraelskie rakiety – tysiącami materiałów redakcyjnych o zdrowiu. Co powoduje raka, co chroni trzustkę, co szkodzi wątrobie, ile czasu trzeba ćwiczyć dziennie po sześćdziesiątce, by zachować zdrowe kości. Ile kroków dziennie zrobić, by mieć serce jak dzwon. Co wzmacnia układ odpornościowy, co go zaś osłabia. Co obniża zły cholesterol itd., itp. Towarzyszą temu, rzecz jasna, odpowiednie reklamy.

Oto pierwszy przykład z brzegu. Na stronie internetowej Radia ZET czytam, co w naszej diecie ograniczyć, a najlepiej wyeliminować. A są to: margaryna, wędliny, popcorn z kuchenki mikrofalowej, napoje „gazowe" (chyba chodziło o gazowane, ale nie bądźmy drobiazgowi), pomidory z puszki, łosoś hodowlany, smażone potrawy, czipsy i frytki, żywność „dietetyczna", czerwone mięso, biała mąka.

Dodam do tej nieszczęsnej białej mąki, że – wraz z białym cukrem i solą wespół – znane są one jako biała śmierć. Jak nie wierzycie, przeczytajcie dzieło dr Hansa-Ulricha Grimma „Cukrowa mafia. Jak lobby cukrowe niszczy Twoje zdrowie". Grimm to autor kolejnych pożytecznych pozycji, z których można się dowiedzieć, czy glutaminian sodu (E621) „odpowiedzialny jest za choroby neurodegeneracyjne mózgu, chroniczny ból i alergie" („Chemia w pożywieniu. Jak działają dodatki do żywności i dlaczego nam szkodzą") i dlaczego „zdrowe jedzenie" nam szkodzi. Wegan ucieszy kolejna jego pozycja, a mianowicie „Mięso pełne kłamstw. Jak nie dać się otruć przemysłowi mięsnemu".

A taki Nand Kishare Sharma napisał wydaną też po polsku książkę „Mleko – cichy morderca", reklamowaną opinią prof. Pierre'a-Henriego Rollanda: „Mleko zawiera kazeinę, rodzaj proteiny, która produkuje w organizmie niesłychanie szkodliwą molekułę zapychającą naczynia krwionośne – homocysteinę. Blokuje ona żyły i tętnice, a także osłabia tkankę łączną. Spożywanie mleka przyspiesza zatem wszelkie choroby krążenia i zawały serca"…

O alkoholu nie ma nawet co wspominać – twarde badania jasno pokazują, że dla zdrowia jedyna dopuszczalna dawka alkoholu to zero.

No dobrze, załóżmy, droga Czytelniczko i drogi Czytelniku, że osobiście nie ulegliście manii zdrowego odżywiania. Ale przecież jako odpowiedzialni i inteligentni ludzie słuchacie lekarzy i robicie nieprzyjemne – ale wszak konieczne! – badania: mammografię, różne prześwietlenia czy kolonoskopię. Jeśli tak się dzieje, to mam dla Was złą wiadomość: nie istnieją poważne dowody na to, że postępujecie rozumnie i zdrowo.

Nie musicie, rzecz jasna, wierzyć mi na słowo. Sięgnijcie do właśnie wydanej książki Barbary Ehrenreich „Z przyczyn naturalnych. Ludzka obsesja dobrego samopoczucia i nadludzkie wysiłki, aby żyć dłużej". Ta pozycja powinna być obowiązkową lekturą dla każdego studenta medycyny i lekarza! Można choćby z niej się dowiedzieć, że często warto obniżyć własną odporność, bo to właśnie układ autoimmunologiczny chce nas zabić.

Obrazoburczyni

Tzw. zdrowy styl życia w rozwiniętym późnym kapitalizmie stał się nową religią. W niepamięć poszła XIX-wieczna mądrość, że wszystko, co przyjemne, jest niemoralne, nielegalne lub – co gorsza – tuczące. Zdrowie utożsamia się z cnotą, szlachetnością. W zdrowiu, parafrazując słynną wypowiedź Prezesa o sobie, jest czyste dobro. Klasa wyższa i papugująca ją klasa średnia ochujała na punkcie działań prozdrowotnych, utożsamiając styl życia klasy pracującej – nie wspominając o podklasie – z czymś grzesznym, niższym, amoralnym.

Żeby nie było nieporozumień. W całej rozciągłości popieram systemowe działania na rzecz zdrowia publicznego, ale mój głęboki sprzeciw budzi prywatyzacja troski o zdrowie, a nade wszystko traktowanie dobrego samopoczucia jako obowiązku. To gruba przesada. Osobiście hołduję zasadzie, że jak się budzisz po czterdziestce i nic cię nie boli, to znaczy, że nie żyjesz.

Ehrenreich uświadamia nam bolesną, nieoczywistą prawdę: zdrowy człowiek to poważny problem dla nastawionego na zysk systemu opieki zdrowotnej. Lekarz, szpital, producent leków lub sprzętu medycznego chcą go wycisnąć jak cytrynę, a ten podlec czy ta suka na nic się nie uskarża, choć wiadomo od lat, że nie ma ludzi zdrowych, są tylko niedokładnie zbadani.

Oddajmy głos autorce książki: „Kiedy korzysta się z bardzo czułych technologii, w rodzaju tomografii komputerowej, wykrycie niewielkich nieprawidłowości staje się niemal nieuniknione i prowadzi do kolejnych badań, recept i wizyt u lekarza. Przy czym tendencja do nadmiernego testowania wzrasta, kiedy lekarz bądź lekarka zlecający testy ma finansowe powiązania z ośrodkiem prowadzącym badania lub wykonującym zdjęcia, do którego kieruje ludzi".

Ehrenreich idzie krok dalej: „nie tylko odrzucam udręki zmedykalizowanej śmierci, ale też odmawiam zgody na zmedykalizowane życie, przy czym mój upór z wiekiem jedynie się umacnia.

W miarę jak kurczy się czas, który mi pozostał, każdy miesiąc i każdy dzień staje się zbyt cenny, żeby spędzać go w pozbawionych okien poczekalniach i pod nadzorem zimnych maszyn. Bycie dość starą, żeby umrzeć, jest osiągnięciem, nie klęską,

a zatem warto celebrować wolność, którą ono przynosi".

Śmierć jest dla plebsu

Bogaci, a zwłaszcza superbogaci, mają piękne jachty oceaniczne, równie piękne i równie drogie żony, pieniędzy więcej, aniżeli kiedykolwiek będą w stanie wydać. Ziemia dla nich za ciasna – Elon Musk oferuje im kolonizację Marsa. Przypomina mi się jednak fraza zaczerpnięta z książki Jerzego Kosińskiego. Jego zdaniem bogaci wciąż się muszą martwić o swoje pieniądze, śmierć zaś jest dla nich ogromną tragedią, bo naprawdę wiele tracą. A skoro tak, to pojawił się pomysł, by ostatecznie wykazać swoją wyższość nad resztą gatunku ludzkiego i stać się nieśmiertelnym.

Miliarderzy dolarowi – m.in. Jeff Bezos z Amazona, Larry Page z Google'a, Larry Ellison z Oracle czy Peter Thiele z Palantiru – wydają krocie, aby oszukać śmierć. Wierzą, że nowe technologie, nowe terapie i w ogóle przemysł długowieczności (a najlepiej – nieśmiertelności) pomoże przedłużyć im życie nie tylko do setki, lecz pozwoli egzystować lat 200 czy 300.

Klinicznym – dosłownie i w przenośni – przykładem powyższej tendencji jest biznesmen z Doliny Krzemowej Bryan Johnson. Wydaje on 2 mln dol. rocznie, aby żyć wiecznie. Jest być może najlepiej przebadanym człowiekiem na kuli ziemskiej, jego codzienne funkcjonowanie wiąże się z przyjmowaniem dziesiątków suplementów, przestrzeganiem skrajnie rygorystycznej diety i przechodzeniem niekończących się badań. Stał się on tak sławny, że Netflix nakręcił o nim dokument.

Johnsonowi tak odjebało, że wstrzyknął sobie osocze nastoletniego syna, aby obniżyć swój wiek biologiczny, a w twarz zaaplikował sobie czyjś tłuszcz, aby wyglądać młodziej. Każdego dnia spożywa 130 gramów białka, 206 gramów węglowodanów i 101 gramów tłuszczu. Chodzi głodny, a najsmutniejszą częścią jego życia – jak sam przyznaje – jest ostatni kęs. Do tego dodajmy gromadzenie próbek stolca i korzystanie z urządzenia monitorującego erekcje.

Facet twierdzi, że tak naprawdę biologicznie starzeje się co roku o jedynie osiem miesięcy. Najlepsze jest to, że kiedy się rzuci okiem na jego foty, abstrahując od muskułów (efektu codziennego, morderczego treningu), chłop wygląda naprawdę niezdrowo… Jak na niego patrzę, to miałby człowiek lżejsze życie, gdyby skorzystał z usług jednego specjalisty – psychiatry.

Zdrowe podejście

Sprzed lat pamiętam taką punkową koszulkę promującą Klub Przyjaciół Negatywnych Odjazdów. Dwa ludziki rozmawiały ze sobą w dole o kształcie penisa. Jeden mówi do drugiego: „Ale dół", drugi odpowiada: „No, dół jak chuj".

Doła jak chuj można załapać, gdy się pomyśli, że panowie tego padołu łez i rozpaczy będą żyli znacznie dłużej, a co za tym idzie, zgromadzą jeszcze więcej bogactwa, za którym nieodmiennie idzie wpływ polityczny i społeczny. Rzecz jasna ich marzenie byłoby koszmarem dla innych, ale również i dla nich, co dokładnie wyłuszcza przewrotna komedia „Ze śmiercią jej do twarzy". Zwierzęciu zwanemu człowiekiem można przedłużyć nieco życie, ale nie życie w zdrowiu.

Mój dziadek i mój najlepszy przyjaciel zmarli na raka po długiej i wycieńczającej walce o życie. O ile ten pierwszy w jakimś sensie na niego zapracował (wypalał ponad trzy paczki popularnych bez filtra dziennie), ten drugi zapadł na śmiertelną chorobę, nie wiadomo dlaczego. Życie jest podłe i niesprawiedliwe, kanalie chlają, ćpają i cieszą się długim życiem, wspaniali ludzie odchodzą nieraz o dziesięciolecia przedwcześnie.

Oddziały onkologii pełne są osób kurczowo trzymających się życia; trzeba ich wspierać, jak się da. Należy jednak uszanować wybór tych, którzy wolą skrócić swoje życie o parę miesięcy czy też lat, lecz cieszyć się za to w pełni tym przeraźliwie krótkim czasem, jaki im pozostał.

À propos raka, zacytuję Ehrenreich punktującą nieporozumienie, jakim jest utożsamienie wielkości guza z jego złośliwością: „Jak się jednak okazuje, rozmiar nie jest wiarygodnym wskaźnikiem poziomu zagrożenia. Mały guz może być wysoce agresywny, wielki zaś może okazać się »niemrawy«, co oznacza, że wiele osób przechodzi terapię guzów, które prawdopodobnie nigdy nie wywołałyby żadnych problemów. Jedno z nowszych badań wykazało, że prawie połowa mężczyzn powyżej 66. roku życia, leczonych na raka prostaty, z dużym prawdopodobieństwem i tak nie będzie żyła na tyle długo, żeby zachorować. Pożyją jednak dostatecznie długo, żeby ucierpieć z powodu niepożądanych skutków leczenia".

Przypomnijmy sobie bułhakowskiego bufetowego teatru Variete, Andrzeja Fokicza, któremu Woland przepowiedział, że umrze za dziewięć miesięcy na raka wątroby w klinice Pierwszego Moskiewskiego Uniwersytetu Państwowego na sali numer cztery. Szatan miał dla niego wyborną propozycję, z której bufetowy na swoje nieszczęście nie skorzystał: „Zresztą nie radziłbym panu kłaść się do kliniki. Co za sens umierać na szpitalnej sali, gdzie słychać tylko jęki i rzężenie śmiertelnie chorych? Czy nie lepiej wydać ucztę za te dwadzieścia siedem tysięcy, a potem zażyć truciznę i przenieść się na tamten świat przy dźwiękach strun, wśród oszołomionych winem pięknych kobiet i wesołych przyjaciół?".

KATARZYNA KOENIG

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl bf69553f1f

A gdybyśmy tak myśleli, zamiast się oburzać?

Kłamstwa polaryzacji

Nie ma polityki bez przekazu myśli, wiedzy, idei, informacji. Nie ma polityki bez mediów. W polityce, która polaryzuje społeczeństwo, media są jednocześnie źródłem polaryzacji, jak i jej skutkiem. Spolaryzowane media nakręcają polaryzację i są jej ofiarą – ale co ważniejsze my jesteśmy ofiarą tych mediów i takiej polityki. Albowiem polityczna polaryzacja to upadek myśli, ponieważ tworzy niemal bezmyślną przestrzeń między dwoma silnie naładowanymi biegunami. W tej przestrzeni umiera część wiedzy i informacji – one znikają albo zamieniają się w fałsz.

Zanik wielu ważnych myśli to nie jedyny jej skutek. Im silniejsza polaryzacja, tym silniejsze napięcie między jej biegunami – tym silniejsze emocje. I nie spodziewajmy się tu dobrych emocji; polaryzacja przynosi gniew, nienawiść, agresję.

Nauka psychologii nie może pochwalić się imponującą liczbą dowiedzionych niezbicie psychologicznych prawd. Jednak w tej sprawie dowiedziono, że agresja wyzwala agresję o przeciwnym znaku. A zatem my, ofiary tej polaryzacji, nie tylko nie dowiadujemy się całej prawdy i nie poznajemy wielu faktów, nie tylko bywamy karmieni fałszem, ale także wkręcani jesteśmy w nienawiść. Celem polityków jest władza, narzędziem środki przekazu, a my materią, kontentem niezbędnym w ich grze. Zgoda –

nie wszyscy politycy uczestniczą w tej polaryzacyjnej grze o tron z cynicznych, egoistycznych powodów. Są tacy, którzy wierzą, że w ten sposób najlepiej służą ludziom, państwu, prawdzie i zgodzie społecznej. Tylko zastanawiam się w tym kontekście, co gorsze: cynizm czy głupota.

Rys. WIDGET

Istnieją jednak na szczęście wyspy medialne wolnej myśli, których jeszcze nie pochłonęła pasja nienawiści i polaryzacji, bo nie unicestwił ich turbokapitalizm. Może kiedyś jak Feniks z popiołów zerwą się do lotu, by odmienić ten świat?

Powiało trochę filozofowaniem, a zatem teraz trochę przykładów. Przykładów myśli zaginionych w przestrzeni polaryzacji, albowiem spolaryzowane media podnoszą tylko wygodne z ich punktu widzenia argumenty, pomijając niewygodne.

Weźmy na przykład sprawę trumpowskich ceł. Z bieguna europejskich mediów słyszymy tylko rozważania o tym, ile straci na tym europejska czy polska gospodarka i jak poszkodowani wzrostem cen będą amerykańscy konsumenci. Europejscy ekonomiści ubolewają nad możliwym spadkiem woluminu sprzedaży europejskich firm – notabene intencjonalnie błędnie nazywając zmniejszoną sprzedaż stratami. Natomiast z bieguna trumpowskiej opcji słyszymy jedynie hymny pochwalne dla idei wielkiej Ameryki. Taki dialog gubi wiele ważnych myśli. Nie słychać w naszych mediach na przykład odniesień do faktu, że pobrane cła, z tej czy z tamtej strony ekonomicznego sporu, zasilać będą państwowe budżety – a to stwarza ważne, określone skutki. Nie słychać prawie nic o tym, jakie korzyści czy straty poniosą poszczególne warstwy czy grupy społeczne albo konsumenci poszczególnych dóbr. Dla przykładu nie widzę istotnego problemu z cłami na towary luksusowe: amerykańskimi cłami na francuskie wina, polską wódkę czy historyczne dzieła sztuki albo europejskimi cłami na amerykańskie awionetki, papierosy czy wołowe steki. Nie mam z tym problemu, choć wiem, że może to ograniczyć sprzedaż i produkcję danego asortymentu ze wszystkimi tego skutkami, bo rozumiem, że sumy opłat celnych pokaźnie zasilą budżety. Interesuje mnie natomiast, co z wpływami z ceł zrobi Ameryka czy Europa, jeśli też takie cła nałoży.

A inny przykład? Wiem, że nasi geniusze biznesu z liberalnej opcji przymierzają się, aby obłożyć cłem całość chińskich produktów sprzedawanych przez takie firmy jak Temu czy AliExpress. Domyślam się, że niebawem usłyszymy bajki o tym, jak złej jakości są te produkty i jak szkodzą polskiemu konsumentowi. No i oczywiście, jak zabijają polski biznes. Nie będzie natomiast mowy o tym, że obkładanie cłem całego chińskiego eksportu uderzy w niezamożnych polskich konsumentów. Chronić polskich wytwórców można przecież obkładając cłem poszczególne rodzaje konkurencyjnych produktów, a nie wszystkie towary – ale o tym nie będzie mowy. W polaryzacji ideowej ważne jest bowiem, aby znajdować tylko argumenty potwierdzające własne racje. Tak robi się nam wodę z mózgów.

Inna zagubiona myśl może dotyczyć, na przykład, wzrostu płacy minimalnej w Polsce. Liberalna propaganda powie ci, że biznesu na to nie stać i że grozi to inflacją. Być może zagrozi bezrobociem ale nie powie raczej, że wyższe ustawowo płace zmuszą biznes do inwestycji w automatyzację i informatyzację oraz podniesienia wydajności pracy przez lepszą jej organizację.

I tak, czego nie dotkniesz w spolaryzowanym świecie mediów, to okaże się, że brakuje prawdy! Medialna i polityczna ściema to niekoniecznie oczywisty fałsz czy kłamstwo, to także – a może nawet przede wszystkim – przemilczenie i niepodejmowane niewygodnych tematów, ślizganie się po powierzchni zjawisk i faktów. Taka polityka umacnia i radykalizuje bieguny polaryzacji. Zatruwa nasze mózgi i serca – mami i ogłupia.

Ale przecież jest nie tylko tak. Jest jeszcze gorzej, bo mamy do czynienia już nie tylko z cenzurą myśli, opinii i niewygodnych faktów. Jak dowiodła polityczna praktyka, w warunkach ostrej polaryzacji można też stworzyć nielegalne instytucje: jak choćby sprzeczną z konstytucją wersję Krajowej Rady Sądownictwa, która od 2018 r. demoluje system wymiaru sprawiedliwości i przez to nierzadko ludzkie losy.

A jeśli dodamy do tego, że spolaryzowana i zantagonizowana polityka potrafiła wykreować zmyślone wydarzenia i nieistniejące „fakty", które posiadają ogromny ładunek złych emocji – to naprawdę powinniśmy się bać. Mieliśmy i mamy okazję widzieć, jak politycy walczący o władzę oddziałują na ludzkie emocje. Wykreowali przecież dla nas obraz tłumów dzikich migrantów na naszych granicach, gejów jako ideologię zagrażającą polskiej rodzinie czy obraz płaczących ludzkich zarodków. Wskutek tego żyjemy w oparach agresywnych emocji, które budzą agresję. Ta reakcja łańcuchowa prowadzi do eksplozji. Czy zdołamy ją zatrzymać?!

ANNA GRODZKA

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Codziennie większy wyzysk

Małe żuczki z Biedronki

„Codziennie niskie ceny" – głosi hasło Biedronki, które zna każde dziecko i większość nieszczęśliwych dorosłych. Ale to niecała prawda. Bo zanim klientka kupi tanią parówkę udającą kabanosa, zanim dziadek upoluje ogórka o teksturze gumy do żucia, zanim wszystko to trafi na półkę – ktoś musi to załadować, przewieźć i wypchnąć na rampie o czwartej nad ranem. I ten ktoś nie ma niskiej ceny. On ma niską pensję. Codziennie.

Zmowa cenowa? Ależ skąd. Przecież to tylko przypadek, że wszystkie firmy logistyczne pracujące dla Biedronki – a jest ich kilka – płacą dokładnie tyle samo. Przypadek, że od czterech lat nie było żadnej realnej podwyżki. I przypadek, że gdy ktoś zaczyna pytać o lepsze warunki, natychmiast wypada z grafiku jak zepsuty skaner.

Podwykonawcy? Niby niezależni. A w praktyce: pas transmisyjny bieda-standardu. Biedronka trzyma stawki tak nisko, że jedyne, co może rosnąć, to frustracja.

Kierowcy wykonują kursy o zmiennej długości, często pracując w rytmie trudnym do pogodzenia z życiem prywatnym. Magazynierzy z kolei funkcjonują w systemach zmianowych, które – jak mówią ludzie z branży – podporządkowane są przede wszystkim efektywności, nie dobrostanowi pracownika. Wszystko – jak zauważają obserwatorzy rynku – zaprojektowane jest tak, żeby tanio przewieźć, szybko wyładować i drogo sprzedać. Tylko człowiek się w tym arkuszu czasem nie mieści.

Przez lata model działania był ten sam: stawki za kurs ustalane niejawnie, presja na samozatrudnienie, minimalna kontrola warunków pracy w całym łańcuchu dostaw. Kierowcy jeżdżący dla różnych firm, ale tych samych centrów dystrybucyjnych Biedronki, dostawali identyczne oferty. A jeśli próbowali się przenieść do konkurencyjnego przewoźnika, nagle dowiadywali się, że „jest zakaz".

Wreszcie w czerwcu 2024 r. do akcji wkroczył Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. UOKiK wszczął postępowanie wyjaśniające wobec Jeronimo Martins Polska (właściciela Biedronki), 32 firm transportowych i ośmiu menedżerów. Zarzuty? Podejrzenie zawarcia nielegalnego porozumienia ograniczającego konkurencję o kierowców – tzw. zmowy „no-poach", czyli porozumienia o niezatrudnianiu pracowników z rzekomo konkurencyjnych firm.

Według UOKiK mogło to prowadzić do sztucznego utrzymywania niskich wynagrodzeń, a także blokowania kierowcom możliwości zmiany pracy. Urząd nie tylko prowadzi dochodzenie, ale przeprowadził przeszukania siedzib firm z pomocą policji. To nie żart

– po raz pierwszy od dawna państwo realnie zainteresowało się tym, że człowiek na rynku pracy to nie tylko koszt w arkuszu kalkulacyjnym.

Ale jak to możliwe, że największa sieć w Polsce przez lata funkcjonowała w logistyce, gdzie nikt nic nie wie, nikt nic nie słyszał, a ludzie zarabiają grosze, mimo że pracują po kilkanaście godzin dziennie? Odpowiedź to klasyka polskiego kapitalizmu: samozatrudnienie i outsourcing.

Kierowcy i magazynierzy formalnie nie są pracownikami Biedronki. Nawet nie są pracownikami firm logistycznych. Bardzo często to „partnerzy biznesowi": jednoosobowe działalności gospodarcze, które same podpisują umowy – i same odpowiadają za wszystko. Od godzin pracy przez sprzęt po to, czy wrócą do domu przed północą. W razie wypadku – sami sobie winni. W razie spóźnienia – kara. W razie buntu – wypowiedzenie „współpracy".

A bunt to w tym układzie prawie jak zbrodnia. O związkach zawodowych można zapomnieć – są fikcją albo działają wyłącznie na papierze. Ludzie się boją, że jeśli zaczną się upominać o cokolwiek, wypadną z grafiku szybciej, niż ochroniarz zdąży złapać za kołnierz. Bo w tym systemie jedno jest naprawdę elastyczne: nie czas pracy, tylko czas wymiany człowieka na innego.

Czy będą kary? Może. Ale na razie jesteśmy w fazie „wyjaśniania". Firmy – jak zwykle – wszystkiemu zaprzeczają, Jeronimo Martins tłumaczy się „brakiem ingerencji w politykę płacową podwykonawców", a kierowcy nadal zasuwają. Codziennie. Po taniości.

Bo „wolny rynek" w Polsce działa tylko w jedną stronę: dla bogatych. Firmy mogą się zmówić, dogadać, przycisnąć koszty pracy do gleby i jeszcze klepać się po plecach za „optymalizację zatrudnienia". A pracownik? Ma wolność milczenia. Jak się wychyli, to zaraz mu przypomną, że w kapitalizmie każdy ma wybór – może albo zapierdalać, albo wypierdalać.

DAMIAN DUSZCZENKO

eprasa.pl bf69553f1f

Udręki czarnej roboty

Czarownice już wypalono, dziś wypalają się księża

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Wypalenie zawodowe to jedno z najbardziej powszechnych zjawisk współczesności. A księża z socjologicznego punktu widzenia to taka sama grupa zawodowa jak inne, choć sami lubią przedstawiać się inaczej. Głodne kawałki o powołaniu, służbie i misji dobrze się sprzedają na spędach katolickiej młodzieży, ale w praktyce klecha, pismak czy inżynier to po prostu grupy zawodowe ze swoimi problemami. Tylko że kler dorabia do swojego zawodu nadprzyrodzoną ideologię.

Handlarze cudów

Naukowo rzecz przedstawia się następująco: „Cechą charakterystyczną posługi księdza jest to, że praca duchownego nie jest limitowana w czasie, nie jest też finalizowana w postaci wymiernego efektu. Oczekiwania adresatów posługi nie są jednorodne, poważne obciążenie może stanowić świadomość ich niespełnienia. Istotnym zagadnieniem jest kwestia szeroko pojętej pomocy, której posługujący ma udzielać przez wejście w relację z wiernymi. Obciążenie poważnymi, często traumatycznymi przeżyciami ludzi to norma w posłudze księdza. Dochodzą do tego problemy osobiste duchownego, jego emocjonalność i seksualność, samotność oraz wymóg dbałości o rozwój osobowy i duchowy” – czytamy w pracy „Jakość snu i zaburzenia depresyjne u księży Archidiecezji Katowickiej”. Można się spodziewać, że

wciskanie ludziom kitów, w które samemu się nie wierzy, ma podobny wpływ na psychikę co wciskanie cudownych garnków na pokazach z celebrytami. Albo się człowiek staje kompletnym cynikiem i brnie w to, co przynosi pieniądze, albo popada w depresję.

Jak pisał Sztaudynger: „Mistyk wystygł. Wynik: Cynik”.

Fenomen ten dostrzegli francuscy biskupi, którzy kadry mają nie dość, że nieliczne, to w dodatku pozbawione zapału. Francuski episkopat przeprowadził badania, z których wynika, że spora część ich personelu ma depresję, przeżywa wypalenie zawodowe, zmaga się z uzależnieniami czy otyłością. Nastrój księżom pogarsza atmosfera wokół Kościoła, którą sami wcześniej zgotowali. „Doświadczyliśmy poważnego kryzysu zdrowotnego (z COVID-19); do tego dochodziła trudna sytuacja międzynarodowa, wyzwania stojące przed Kościołem, a czasem skandale, które są oczywiście bardzo smutne i nieprzyjemne” – stwierdza bp Benoît Bertrand. Francuscy purpuraci są taktowni jak Mentzen, mówiąc o aferach pedofilskich jako „smutnych i nieprzyjemnych”. Zapewne nie jest przyjemnie czytać czy słuchać inwektyw w swoją stronę, ale przecież nikt im nie każe pracować w tej akurat firmie. We Francji nawet biskupi rezygnują z urzędu z powodu wypalenia zawodowego, polscy zaś nie mają czasu na takie fanaberie, bo muszą tuszować skandale.

Demon depresji

Zainspirowany francuskimi badaniami, nad zdrowiem psychicznym polskiego kleru pochylił się portal misyjne.pl. „Choć zdrowie psychiczne staje się coraz ważniejszym tematem w publicznej debacie, wciąż zbyt rzadko mówi się o jego kondycji wśród księży. Tymczasem duchowni w Polsce zmagają się dokładnie z tymi samymi problemami co ich koledzy we Francji czy Włoszech: z depresją, wypaleniem, samotnością, uzależnieniami. Problem jest realny, a systemowego wsparcia praktycznie brak. W dodatku w samym Kościele temat ten bywa ignorowany lub ośmieszany – jako »wymysł« albo »przywilej słabych«” – piszą redaktorzy katolickiego portalu. Ponoć i nad Wisłą księża cierpią psychiczne katusze, i nikt nie płacze nad ich losem, nie wyciąga pomocnej dłoni. Zatroskanym o dobrostan sutannowych przypominamy, że wielu z nich odradza wizyty u psychiatrów czy psychologów, kierując zamiast do specjalistów, do egzorcystów. Choroby psychiczne nazywają opętaniem, a skrzywdzonych takim podejściem można liczyć na pęczki. Zanim więc zaczną budzić współczucie, muszą sami zrewidować swoje poglądy na temat zdrowia psychicznego.

Głębszy problem

Zresztą polscy hierarchowie, nawet ci rzekomo progresywni, zdają się nie zauważać istoty problemu. Kard. Grzegorz Ryś, wynoszony teraz pod niebiosa za list w obronie imigrantów, mówił kilka lat temu: „Jest teraz takie modne określenie, które często słychać w gronie księży, że ktoś się wypalił zawodowo. To znaczy co się wypaliło? Tak naprawdę to musiało się wypalić to spotkanie z Jezusem, które przestało być doświadczeniem żywym”. Tak że tego…

Swoją drogą w dowodzonej przez Rysia archidiecezji łódzkiej funkcjonuje „seminarium 35+” dla mężczyzn, którzy wypalili się w innym zawodzie i poszukują metafizycznej zajawki i sensu na resztę życia. Pomysł ten zapożyczono od brytyjskich anglikanów, którzy w szeregach swojego duchowieństwa mają masę byłych menedżerów w korporacjach znudzonych jałowością swoich działań. W myśl wyrażoną w serialu „07 zgłoś się” – „nic tak życia nie upiększy, jak nowa dupa i jeden głębszy” korpoludki szukają nowych wyzwań i emocji, bo u sąsiada trawa jest zawsze bardziej zielona. Zmiana korporacji na korporację „Kościół katolicki” może się jednak skończyć jeszcze większym rozczarowaniem życiem. Wejście w tę strukturę spowoduje, że nawet nowa dupa i jeden głębszy nie pomogą.

ŁP

Działania wyrzuconego z księżowania księdza mogą być dla Kościoła mocno niemiłe.

Suspendowanie – to taki kościelny odpowiednik wykopania z branży. Ksiądz nie może odprawiać mszy, nie może udzielać sakramentów, nie może robić nic, co sprawia, że jest księdzem. Ale nadal jest księdzem. Formalnie. Co więcej – zawieszonym nie za herezję, nie za grzech przeciwko wierze, ale najczęściej za naruszenie dyscypliny. Zatem za coś, za co setki wiernych pójdą za nim w ogień.

Zmartwychwstały przed śmiercią

Ksiądz Łukasz Prausa, dawniej pallotyn, od niedawna nie żyje. Ale zanim rak zdołał go dopaść, wcześniej zrobił to Watykan. Wyświęcony w 2015 r., błyskawicznie awansował z anonimowego wikariusza do roli charyzmatycznego uzdrowiciela. Msze o uwolnienie, nabożeństwa z modlitwą za bezpłodnych, samotnych i cierpiących, wizje Jezusa w każdy piątek i stygmaty na rękach. Tłumy waliły drzwiami i oknami. Najpierw w Łodzi, potem już w halach sportowych, a na końcu – w lesie pod Sieradzem. Im Kościół bardziej się dystansował, tym ludzie podchodzili bliżej.

W 2021 r. zakonnicy uznali, że dość. Prausa został suspendowany. Teoretycznie kapłan pozostał duchownym, ale nie mógł tego pokazać światu. Ale Prausa, choć formalnie odcięty od Kościoła, nie przestał głosić. Jego nabożeństwa organizowane po cichu, z wcześniejszymi zapisami, przypominały rytuały tajnych wspólnot. Wierni nie znikali – wręcz przeciwnie. Na Facebooku mnożyły się relacje o uzdrowieniach, łzach, cudach. Prausa, który jeszcze niedawno był wewnątrz instytucji, teraz stał się jej antytezą – duchownym bez zgody hierarchii, ale z błogosławieństwem tłumu.

W czerwcu 2023 r. został usunięty z zakonu pallotynów. Oficjalne komunikaty głosiły, że nie słucha przełożonych, że przekracza granice. Kościół, zamiast zmierzyć się z fenomenem, próbował go schować. „Nie pełni żadnej funkcji” – powtarzała kuria. Ale funkcje, jak się okazało, to jedno, a wpływ – to drugie. Ludzie przyjeżdżali na jego msze, bo czuli, że tu coś się dzieje. Gdy zachorował, Facebook zalały modlitwy o jego zdrowie. Przez ostatnie lata Prausa żył na marginesie. Ale – niczym w polityce – to margines, który puchnie, i z wolna zaczyna wyglądać jak centrum.

Ekspresjonista

Daniel Galus to jeden z tych księży, którzy bardziej niż koloratkę noszą w sobie przekonanie, że są bezpośrednim przekaźnikiem woli Bożej. Osiadł w pustelni w Czatachowej i szybko zaczął przyciągać ludzi, którzy szukali czegoś więcej niż standardowa homilia o grzechu i odkupieniu. U niego było o uzdrowieniu. O uwolnieniu. O walce z demonem, który – jak się okazało – nie mieszkał wyłącznie w telewizorach i liberalnych gazetach, ale najczęściej we własnym wnętrzu.

W Pustelni Świętego Ducha stworzył coś na kształt osobistego sanktuarium, gdzie nie obowiązywała ani cisza konfesjonału, ani porządek mszy. Zamiast tego – dźwięki ekstazy, modlitwy w językach nieznanych, głosy przypominające wycie, mdlenia, drżenia, uniesienia. I coraz więcej ludzi. Tłumów. Z całej Polski. Bo kto dziś wierzy w cuda, musi mieć do nich choć jedną ścieżkę. A Galus ową ścieżkę wytyczył bez pytania kurii o zgodę.

Kościół przyglądał się temu z coraz większą irytacją. Już w 2017 r. kuria częstochowska wydała oświadczenie, że wspólnota „Miłość i Miłosierdzie Jezusa” nie jest wspólnotą katolicką. Ma znamiona sekty. Zakazano jej używania słowa „katolicka”, a samego Galusa wezwano do posłuszeństwa. Bezskutecznie. Bo Galus uznał, że słucha Boga, a nie biskupa. I nie przestał odprawiać. Nie przestał głosić. Nie zamknął drzwi pustelni, lecz otworzył je jeszcze szerzej.

W 2022 r. nadeszła oficjalna odpowiedź: suspensa. W teorii – duchowna śmierć. W praktyce – dla Galusa początek. Został, gdzie był. Wciąż organizował nabożeństwa, spotkania, „ewangelizacje”, które bardziej przypominały masowe transy niż niedzielne nabożeństwa.

Spotkania Galusa przeniosły się z pustelni w Czatachowej do parków i boisk. Ostatnio – do Wadowic. Tam, gdzie nie pozwolono mu wcześniej wejść, znalazł inne wejście. Nie ogłasza lokalizacji, by nie przeszkodzili „wrogowie”. I rzeczywiście – kto raz zobaczył modlitwę z wyciem i jękami, ten rozumie, że nie chodzi tu o estetykę liturgii. Chodzi o siłę. O bycie na haju bez dragów.

Prorok habilitowany

Zaczynał jako wzorowy kapłan i teolog. Wykształcony, habilitowany, pracowity. Ukończył Papieską Akademię Teologiczną w Krakowie, gdzie zdobył tytuł doktora nauk teologicznych. Przez lata wykładał historię Kościoła XIX i XX w., a w 2004 r. uzyskał habilitację z nauk humanistycznych w zakresie historii. Był autorem kilkunastu książek, setek artykułów, poważnym badaczem dziejów Kościoła, adiunktem na Wydziale Historii i Dziedzictwa Kulturo-

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Prokuratura Okręgowa w Tarnobrzegu skierowała do Sądu Okręgowego akt oskarżenia przeciwko 73-letniemu Krzysztofowi P., byłemu proboszczowi parafii Narodzenia Najświętszej Maryi Panny w Jeżowem (woj. podkarpackie). Duchowny jest oskarżony o przywłaszczenie ponad 600 tys. zł należących do parafii. Pieniądze pochodziły z odszkodowania za nieruchomości przejęte pod budowę drogi ekspresowej S19. Kolejny paragraf wobec klechy wystosowano za wyczyszczenie dokumentów finansowych, w tym księgi rachunkowej. Zawiadomienie o podejrzeniu przestępstwa złożył Sandomierski Sąd Biskupi. Krzysztof P. nie przyznaje się do winy. A mówią, że kruk krukowi oka nie wykole.

✚ 2 lipca 2025 r. w Sądzie Rejonowym w Wołominie zapadł wyrok w sprawie księdza Jana Ś., byłego proboszcza parafii Matki Bożej Królowej Polski w Otwocku oskarżonego o molestowanie seksualne dziewczynki poniżej 15. roku życia. 75-letni duchowny został uznany winnym doprowadzenia do innych czynności seksualnych wobec osoby małoletniej, a także o seksualne wykorzystanie osoby małoletniej z nadużyciem zaufania lub w zamian za korzyść majątkową lub osobistą albo jej obietnicę. Sąd wydał wyrok skazujący klechę na dwa lata pozbawienia wolności w zawieszeniu na lat pięć. Ponadto sąd uznał, że oskarżonemu należy uniemożliwić jakąkolwiek pracę z dziećmi i orzekł wobec niego zakaz prowadzenia wszelkiej działalności związanej z wychowaniem małoletnich i opieką nad nimi. Mało, ale zawsze coś.

✚ W mediach społecznościowych pojawił się nowy trend. Zainspirowana viralowymi nagraniami bachornia wspina się na wysokie konstrukcje i pozuje w pozycjach przypominających ukrzyżowanie Chrystusa. Na zdjęciach i filmach zamieszczonych w sieci można zobaczyć młode osoby, które zwieszają się na znakach drogowych, billboardach i masztach telefonii komórkowej. Część z nich pokonana przez grawitację kończy z urazami ciała. Według psychologów z fundacji Kids Alert specyfika trendu jest tak skonstruowana, że ma związek z religijnym aspektem odejścia do nieba i manifestacją dumy z cierpienia. Na TikToku zabawa ma wiele różnych hasztagów – można ją znaleźć pod hasłem #angel albo #jezus. Apelujemy: stop chrystianizacji internetu!

✚ W nocy z 26 na 27 lipca doszło do dewastacji krzyża znajdującego się w Podzamczu na terenie parafii Przemienienia Pańskiego w Ogrodzieńcu w diecezji sosnowieckiej. Kuria diecezjalna współpracuje z organami ścigania w celu wyjaśnienia okoliczności zdarzenia. Pragniemy złożyć wyrazy współczucia wspomnianym organom i wyrazić oburzenie faktem, iż żaden z polityków prawicy nie wspomniał jeszcze o opiłowywaniu katolików.

✚ Prokuratura Europejska przy wsparciu śląskiej policji zatrzymała sześć osób podejrzanych o defraudację unijnych i krajowych funduszy przeznaczonych na pomoc żywnościową. Zatrzymani to działacze i wolontariusze Kościoła Starokatolickiego, w tym duchowny Jacek B., który według ustaleń śledczych kierował procederem. Ojciec Jacek B., lider Zakonu Kalatrawy, w ostatnich miesiącach przed aresztowaniem promował się jako „ambasador na wielki region Bałkanów” organizacji International Human Rights Commission (IHRC). Strona internetowa IHRC sugerowała powiązania z ONZ, co okazało się bzdurą. Żywność finansowana z funduszy UE i rządu RP oznaczona jako „nie do sprzedaży” trafiała z magazynów Kościoła Starokatolickiego na sklepowe półki i do hurtowni, również za granicą. Kościół stracił umowy z Krajowym Ośrodkiem Wsparcia Rolnictwa. Wartość wyprowadzonego na lewo towaru oszacowano na ponad 18 mln zł.

KLECHA

Wieści na pożytek pasterzy i owieczek czerpiemy z prasy lokalnej.

W meczu o Polskę piłka jest po stronie kiboli

Szalik i stuła

Karol Nawrocki umeblował swoją kancelarię. Jednym z ostatnich mebli jest salezjanin Jarosław Wąsowicz – prezydencki kapelan. Nominacja ta wzbudziła wiele komentarzy i głosów oburzenia – jak wszystko, co robi Nawrocki u początku kadencji. Ale dobór przybocznego księdza był całkiem przewidywalny.

Kapelan walczący

„To duchowny i naukowiec. Człowiek odważny, oddany Panu Bogu patriota. Antykomunista, były członek Federacji Młodzieży Walczącej. Dyrektor Archiwum Salezjańskiej Inspektorii Pilskiej. Były członek Rady Muzeum II Wojny Światowej. Pomysłodawca akcji społecznej »Serce dla Inki«, Organizator ogólnopolskich pielgrzymek kibiców na Jasną Górę oraz wyjazdów wakacyjnych dla dzieci z polskich rodzin mieszkających na Wileńszczyźnie” – reklamuje go nowy prezydent. Wąsowicz reprezentuje wszystko to, co lubią zwolennicy Nawrockiego, a zarazem to, czego nie lubią jego przeciwnicy. Dotychczasowy dobór współpracowników wskazuje na to, że nie będzie to prezydent wszystkich Polaków, a nominacja Wąsowicza przypieczętowuje obranie tej drogi. Nowy prezydencki kapelan został w 2015 r. odznaczony przez Dudę Krzyżem Wolności i Solidarności. Teraz ma otwartą drogę do kolejnych zaszczytów, a przede wszystkim może być łącznikiem prezydenta ze środowiskiem kibicowskim, by nie powiedzieć kibolskim.

Wąsowicz to rasowy publicysta, nieszczędzący klawiatury przy wyrażaniu własnych poglądów i mieszania z błotem cudzych. W 2018 r. z okazji Wielkanocy życzył czytelnikom „Gazety Polskiej”: „Zmartwychwstania naszej ukochanej Ojczyzny, bez KOD-ów, fałszywych autorytetów, płatnych zdrajców. Zmartwychwstania chrześcijaństwa w Europie, która idzie ku samozagładzie. Europy bez multi-kulti, islamistów, lewaków i poprawności po-

eprasa.pl bf69553f1f

Księża wyklęci

wego Papieskiej Akademii Teologicznej. W strukturach Kościoła uchodził za człowieka poważnego, z naukowym zapleczem i duszpasterską misją. A potem coś się urwało. Dziś ks. Piotr Natanek nie ma już prawa odprawiać mszy ani nosić koloratki. Ale kogo to właściwie obchodzi?

W Grzechyni, niewielkiej miejscowości w Małopolsce, stanęło coś, co nie przypomina już ani klasztoru, ani kaplicy, ani domu rekolekcyjnego. To twierdza. Rozrośnięta samowola budowlana oblepiona figurami, basztami, grotami, krzyżami i bramami. Powiatowy Inspektorat Nadzoru Budowlanego w Suchej Beskidzkiej puchnie od spraw – jest ich ponad 40. A każda kolejna kończy się odwołaniem, apelacją, nowym postępowaniem. Bo ks. Natanek z sądami się nie spiera. On je ignoruje.

Od 2011 r. objęty jest suspensą – zakazem sprawowania jakichkolwiek funkcji kapłańskich. Kilkanaście tysięcy wyznawców w Polsce i wśród Polonii ma to gdzieś i traktuje go jak proroka. Do Grzechyni zjeżdżają regularnie – setki, czasem ponad tysiąc osób – ubrani w czerwone płaszcze z wizerunkiem Chrystusa Króla. Kupują krzyże za dwa tysiące, uczestniczą w nabożeństwach, przystępują do „Rycerstwa". I nikt nie pyta, co na to biskup.

Ks. Natanek zresztą nie robi nic, by się ukrywać. Jego kazania są transmitowane online, jego wypowiedzi – często pełne obelg, gróźb i ostrzeżeń apokaliptycznych – trafiają do dziesiątek tysięcy widzów. W 2022 r. nazwał dzieci poczęte metodą in vitro „zwierzętami". W kwietniu tego roku usłyszał za to wyrok – 20 tys. zł grzywny i nawiązka na Polski Czerwony Krzyż. Wcześniej miał pracować społecznie, ale odmówił. Porównał wpłatę na organizację wspierającą in vitro do „płacenia na Auschwitz".

Kościół próbował z nim rozmawiać, potem milczał, w końcu wykluczył. Ale Natanek znalazł sobie inny Kościół – własny. Z flagami, wiernymi, z własnymi regułami. Z tytułami, które sam nadaje, z porządkami, które sam ustala. Grzechyńska Pustelnia Niepokalanów nie ma nic wspólnego z odosobnieniem. To epicentrum ruchu, który dla wielu jest jedyną ostoją prawdziwej wiary.

Rys. OBYWATEL JANEK

Ksiądz z kościołem

Gdy ksiądz Jacek Stasiak, suspendowany przez arcybiskupa Jędraszewskiego, wychodzi do ołtarza w swoim prywatnym kościele w Aleksandrowie Łódzkim, trudno nie odnieść wrażenia, że to raczej on trzyma władzę duchową w mieście, a nie lokalny proboszcz. Mówią, że to „ksiądz burmistrza", „pasterz opornych", „polski Luter bez młota i drzwi katedry".

Zaczęło się w cieniu. Stasiak był duszpasterzem, katechetą, wychowawcą, nauczycielem. Służył w Parzniewie i Zgierzu, potem wyjechał na Zachód. Gdy wrócił do rodzinnego Aleksandrowa, szybko wszedł w rolę lokalnego aktywisty: zakładał szkoły, księgarnie, fundacje, prowadził zakład rehabilitacji. I właśnie wtedy, gdy wszystko wyglądało na zgodne z doktryną i samorządowym rozsądkiem, zaczęła się wojna.

Zobaczył ruiny. Dawny kościół ewangelicki rozpadał się na jego oczach. Zamiast pisać pisma do kurii, porozumiał się z ewangelikami, odkupił świątynię, zdobył miejskie wsparcie i wyremontował za 2,5 mln zł. Miało być miejsce kultury, ekumenii, muzyki. Ale ksiądz Stasiak nie byłby sobą, gdyby nie postanowił, że oto znów będzie tam odprawiana msza.

Nie pytał biskupa o zgodę. Bo, jak powiedział publicznie, „posłuszeństwo to nie ślepe wykonywanie rozkazów, tylko odpowiedzialność za dobro wspólnoty". Pojawił się dekret: zakaz odprawiania mszy, nakaz zakończenia działalności gospodarczej i przeprowadzki do Łodzi. Ale Stasiak odpowiedział własnym pismem, w którym nazwał suspensę „fikcją prawną", podpisaną „pod wpływem środków przeciwbólowych".

Od tej pory po jednej stronie rynku stoi kościół parafialny – podległy kurii. Po drugiej kościół księdza Stasiaka – niepodległy. Msze odbywają się regularnie. Co niedziela przychodzi kilkuset wiernych. A władze miasta, zamiast wchodzić w spór, przeniosły do jego świątyni uroczystości szkolne, patriotyczne i samorządowe. Dla wielu mieszkańców to właśnie on, a nie proboszcz, jest twarzą duchowości w mieście.

Kuria zagroziła, że udział w takich mszach to grzech ciężki. Kościół wciąż grozi Stasiakowi sądem, a jego Kościół – ten nieformalny – ma się całkiem dobrze. I w Aleksandrowie nie biskup, a wierni decydują, kto jest ich księdzem.

Bez koloratki, ale z amboną

Najpierw był niewygodny. Potem nieposłuszny. W końcu został uznany za zagrożenie. Dla zakonu – herezja, dla biskupów – problem, dla Watykanu – schizmatyk. Ale dla garstki wiernych – nadal ksiądz. Michał Woźnicki, były salezjanin, z sutanną jak zbroją i kazaniami jak pałką, pokazuje, że w Polsce można być kapłanem bez Kościoła. I mieć swoich wiernych. Bo Kościół – choćby nawet z Rzymu – nie ma już monopolu na autorytet.

Woźnicki wierzył, że prawda ma moc, a liturgia w rycie rzymskim – sens. Niestety, nie pasował do ram Kościoła. Zaczął odprawiać po swojemu, mówić „po Bożemu", czyli – jego zdaniem – wbrew nowoczesnym deformacjom. Gdy zakonnicy kazali się dostosować, powiedział „nie". A potem mówił już tylko coraz głośniej.

W 2018 r. wyrzucili go z zakonu. W 2022 – eksmitowali. Komornik, ślusarz, policyjna asysta. Woźnicki wcześniej wywiózł wszystko – ławki, ołtarz, ornaty – i wyszedł z celi, jakby szedł do katedry. Potem wstąpił do kawiarni. A wieczorem znów odprawił mszę – nielegalną i bezprawną, ale dla jego wyznawców wciąż prawdziwą.

Gdy Watykan – osobiście papież Franciszek – zdecydował o wydaleniu go ze stanu duchownego, Woźnicki już dawno nie mówił w imieniu Kościoła. On mówił w imieniu Boga – swojego Boga. Bo jego Kościół to kamera, internet i mikrosłuchawka. Jego ambona to YouTube. Jego parafianie – subskrybenci. Kazania pełne są ognia. I nienawiści. O Żydach mówił „pasożyty", o policjantkach – „ladacznice". Prezydent Duda, premier Tusk, marszałek Hołownia – wszyscy „gnojki, śmierdziele, faryzeusze". Sądy reagowały. Pięć wyroków. Prace społeczne. Ale internet wyroków nie uznaje.

W Sądzie Okręgowym w Poznaniu, gdzie sądzono go za znieważenie władz RP, pojawił się w sutannie. Choć już jej nosić nie ma prawa. Ale to nie ksiądz ma prawo do sutanny – to sutanna ma prawo do księdza. Tak działa teatr. Miał ze sobą świtę. Dwóch mężczyzn modlących się na głos.

Na pytanie, dlaczego ignoruje zakazy, odpowiada pytaniem: „Liczył pan, że będę się jarał sekretarką prokuratora, co wygląda jak z burdelu?". Tak wygląda jego ewangelizacja.

Po eksmisji zapowiedział pieszą pielgrzymkę. Nie ruszył. Zamiast tego wciąż nagrywa kazania, publikuje, przemawia. Już nie z zakonu, nie z celi – ale z jakiegokolwiek miejsca, które da mu dach i kamerę. Sutannę ma nadal. Wiernych – garstkę, ale oddaną. Dla nich jest ofiarą systemu, prawdziwym prorokiem, może nawet męczennikiem. Bo co z tego, że biskupi go nie chcą, skoro wciąż słuchają go setki, może tysiące?

Wszyscy miłośnicy katolicyzmu martwią się, że na msze chodzi coraz mniej ludzi, że na religię dzieci nie chodzą i w ogóle wszystko świecczeje.

Mało kto zauważa, że Kościół szlag trafia również od środka. Bo skoro hierarchia nie ma wpływu na suspendowanych duchownych, skoro ci wyrzuceni potrafią zbudować jeszcze silniejsze wspólnoty wiernych, to gdzie w tym wszystkim jest moc władzy Kościoła instytucjonalnego?

Dziś suspendowany ksiądz nie znika, a często staje się legendą. Autorytetem, który nie musi się tłumaczyć. Nie ma biskupa nad sobą, nie ma przełożonego, nie ma obowiązku wypełniania dekretów. A wierni – ci najbardziej zdeterminowani – właśnie tego szukają.

Kościół może mówić, że to sekta. Ale w oczach wyznawców to raczej bastion. Miejsce, w którym Bóg nie musi się podporządkowywać administracji. Suspendowani nie znikają. Na gruzach watykańskiej poprawności kościelnej budują własne, pełne wyznawców świątynie.

TADEUSZ JASIŃSKI

litycznej". Zasiadał wówczas w radzie Muzeum Drugiej Wojny Światowej, któremu szefował Karol Nawrocki.

Sierpem i młotem

W kontekście dotychczasowego życia i aktywności następcy Dudy znaczący jest fakt, że jego kapelan jest zarazem kapelanem i przyjacielem kibiców, a także kibicem Lechii Gdańsk, ulubionej drużyny Nawrockiego (ale i Tuska). To podczas organizowanej przez Wąsowicza dorocznej pielgrzymki kibiców na Jasną Górę na początku roku lansował się ówczesny „kandydat obywatelski". Na tej imprezie w częstochowskim sanktuarium wybrzmiało huczne: „raz sierpem, raz młotem czerwoną hołotę". Nawrocki się uśmiechał pod wąsem, Wąsowicz nie reagował. Po spotkaniu kandydat obywatelski zbył wszelkie zarzuty tłumaczeniem: „Zachciało się wam cenzurować hasła na stadionach, to za dużo. Kibice są także obywatelami RP. Spotkałem się z nimi i będę się z nimi spotykać. Bardzo cenię kibicowski i stadionowy zmysł do tego, aby podejmować wiele tematów w sposób bardzo autonomiczny".

Pod nosem Wąsowicza na tej samej imprezie 11-letni chłopczyk otrzymał od przyszłego prezydenta przyrzeczenie, że „nie dopuści lewackiej ideologii do szkół". Przeor Jasnej Góry reagował po tym wiecu tak, by nie zareagować. „Coroczna Pielgrzymka Kibiców łączy w wymiarze religijnym bardzo liczne, różnorodne, a czasami nawet niechętne wobec siebie środowiska, zaś Prezes Instytutu Pamięci Narodowej jest jej gościem od lat (…) Jako zarząd sanktuarium nie angażujemy się w polityczne spory i odmawiamy tym, którzy oczekują, że przed kimkolwiek zamkniemy drzwi. Zaś przychodzących tutaj prosimy o uszanowanie tego niepolitycznego i duchowego charakteru miejsca" – pisał paulin Samuel Pacholski po licznych głosach oburzenia na kibolską konwencję Nawrockiego.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Stadion bez tęczy

Ks. Wąsowicz za kibicami stoi murem, biesiaduje z nimi, towarzyszy im, a w publicystyce i kazaniach broni jak niepodległości. Na stwierdzenie, iż ludzie zarzucają mu, że brata się z chuliganami, odpowiadał w 2013 r. w „Dzienniku Bałtyckim": „Bo tak naprawdę nic nie wiedzą o kibicach. Wciąż funkcjonuje zafałszowany przekaz, lansowany przez media, o wiecznych awanturach, zadymach na stadionach, ustawkach. Tak wyglądał, niestety, świat kibiców w Polsce lat 90. I dziennikarze, w większości przypadków, zatrzymali się na utartych schematach. Na szczęście środowisko kibiców się zmienia. Powoli, ale systematycznie. Ruch kibicowski ma dziś zupełnie inną twarz i warto to zauważyć. Nawet policja przyznaje, że ekscesy chuligańskie na stadionach są dzisiaj sporadyczne. Duży w tym udział mają stowarzyszenia kibiców, które są inicjatorami wielu pozytywnych inicjatyw".

Chwali też czystość orientacyjną kibiców, stwierdzając, iż „środowiska homoseksualne i lewicowe zdobyły już przyczółki niemal wszędzie, ale świata kibiców nigdy nie opanują", a „obecnie to sodomici boją się kibiców i dlatego podsycają ten konflikt".

Nie pozostaje nam nic innego jak kibicować Polsce, żeby jakoś tę kadencję przetrwała.

MATT KOBOSKO

Z CZARNEJ DUPY SIĘ WYRWAŁO

■ *Infantylni są ci, którzy z powodu zabójstwa dokonanego przez księdza, głoszą proimigracyjne hasła.* ***Jakby zbrodnia duchownego cokolwiek zmieniła w podejściu Polaków do polityki UE o imigracji. Polacy w odróżnieniu od tych komentatorów nie mają umysłu skażonego niedorzecznościami.***

ks. Daniel Wachowiak, X, 27 lipca

■ ***Deforma Nowackiej: w klasach IV–VI nie będzie lektur obowiązkowych! Szkoła pod Barbarą Nowacką przypomina system, który stosowali w szkolnictwie hitlerowcy podczas II wojny światowej. Głupim narodem łatwiej rządzić.*** *Rodzice, którym zależy na solidnym wykształceniu swoich dzieci oraz patriotycznym i mądrym wychowaniu, będą zmuszeni posyłać swoje dzieci na korepetycje (jak tajne komplety) już praktycznie z każdego przedmiotu.* ***Słuszną alternatywą pozostaną katolickie szkoły prywatne (…).***

ks. Jacek Dąbrowski, X, 31 lipca

■ *Na dłuższą metę może rozwijać się społeczeństwo tylko oparte o kryterium prawdy. To jest sprawa fundamentalna.* ***Tak jak dziecko nie wybiera, czy chce chodzić na matematykę lub fizykę, tak samo powinno obowiązkowo chodzić na religię lub etykę.***

ks. Dariusz Kowalczyk, posiedzenie Parlamentarnego Zespołu ds. Dziedzictwa Świętego Jana Pawła II, sejm, 25 lipca

■ *Wszelka działalność społeczna nie wyda owoców, jeśli nie będzie oparta na wartościach, na dobrze uformowanym sumieniu.* ***I te najważniejsze wartości, one tak na dobrą miarę naprawdę są wspólne, ale dbają o nie w ogromnej mierze środowiska związane z edukacją katolicką, chrześcijańską.***

ks. Paweł Stypa, posiedzenie Parlamentarnego Zespołu ds. Dziedzictwa Świętego Jana Pawła II, sejm, 25 lipca

■ *Obrona polskiej granicy to obrona podstawowego wymiaru naszej niepodległości. Tracąc nad nią kontrolę, przestajemy panować nad swoimi losami. (…)* ***Roztropność to jedna z czterech cnót kardynalnych w chrześcijaństwie. A oznacza ona rozpoznanie konsekwencji swoich działań. Naiwny absolutyzm moralny, który tym się nie zajmuje, jest odwrotnością roztropności. Nauka społeczna Kościoła nie odwraca się od polityki, nie neguje jej, ale usiłuje nasycić ją chrześcijańskimi treściami.***

Bronisław Wildstein, „Sieci" nr 31/2025, 28 lipca–3 sierpnia

■ ***Ostatnio rozmawiałem z lekarzami, którzy wyrazili niepokój, że w Polsce zaczyna się tendencja akceptacji eutanazji.*** *To bardzo ważna kwestia, gdy mówimy o cierpieniu. Wielu ludzi obawia się, że w krytycznych momentach, nie widząc nadziei, będzie chciało pozbyć się cierpienia.* ***Ale to nie jest żadne rozwiązanie, to wejście w jeszcze większą rozpacz. Dlatego tak ważne jest, aby głosić nadzieję i pokazywać ludziom, że nadzieja z Chrystusem – zwłaszcza w cierpieniu – przeprowadza do światła i spotkania z Bogiem.***

bp Artur Ważny, Deon.pl, 29 lipca

■ *Mamy w Kościele nieprzebrany skarbiec doświadczeń, myśli i rozwiązań, stanowiących odpowiedź na współczesne problemy. (…)* ***Wiara katolicka nie jest mętną, dziecięcą marą, lecz wyznacznikiem ładu i prawości.*** *Są w tym nauczaniu prawa i obowiązki, są nieprzekraczalne granice i zobowiązania. „Kościół otwarty" te granice rozmywa od lat.* ***Im więcej relatywizmu, tym więcej chaosu, zaburzeń i destrukcji. Dlatego każdy głos kapłanów, mających odwagę odeprzeć napór ideologii rozbijających naszą tożsamość, jest niezwykle cenny.***

Marzena Nykiel, red. naczelna wPolityce.pl, 22 lipca

KLECHA

eprasa.pl bf69553f1f

Słowo to bagatel

Dla uczczenia święta wniebowzięcia publikujemy niepublikowany wcześniej wywiad z Jerzym Urbanem, przeprowadzony w 2016 r. przez Kamila Niewińskiego do książki, która nigdy nie powstała. Bardziej à propos byłoby z okazji zmartwychwstania, ale nie mamy cierpliwości czekać do wiosny.

– Proszę powiedzieć, z jakim wyzwiskiem pan do mnie przyszedł.

– Nie rozumiem.

– Wie pan, ja wszedłem w tak paskudny wiek, że odwiedzają mnie już tylko dwa rodzaje gości: ci, którzy chcą sobie na starość powspominać, i tacy, którzy chcieliby zdążyć mnie zbluzgać, zanim zdechnę. Nie znamy się, więc zaliczyłem pana do tych drugich.

– Niestety pochopnie.

– Pan chyba nie docenia wartości pochopnych ocen.

– A powinienem?

– Oczywiście. Jak zresztą każdy człowiek, który się zabiera za myślenie. Bo ta pochopność, proszę pana, jest praprzyczyną każdego buntu, a więc też rewolucji. Jest motorem zmian. Zdrowy rozsądek zapewne podpowiadał małpom, żeby siedzieć na drzewach.

My z ZMP

– I przez kilka dekad komunizmu nie zdołał się pan zbuntować?

– Nieprawda. Już wtedy, gdy wstępowałem do ZMP w 1948, był to motyw typowo kontestacyjny. Oczywiście dla ludzi niepochodzących ani ze środowisk robotniczych, ani z chłopskich.

– Co to za forma kontestacji, która gra jedną partię z systemem? Przeciwko czemu taki bunt ma być skierowany?

– Przeciwko temu, co wtedy nazywaliśmy mieszczaństwem. Ówczesne pierwociny tej organizacji młodzieżowej miały charakter awangardowy i buntowniczy w rozumieniu obyczajowym. Zacząłem wtedy palić, co mi nie przeszło. Jako piętnastolatek kończyłem dzień działalności politycznej, idąc do baru i pijąc wódkę. Seks był bardzo atrakcyjnym atrybutem zrywania z tradycją, z mieszczaństwem. Szkoła opierała się jeszcze o podręczniki przedwojenne, więc kontestacja treści tych podręczników była częścią buntu. Czytanie pierwszych marksistowskich prac, a przede wszystkim funkcjonowanie w obrębie nurtu, który był mniejszością. Nie wstępowałem do organizacji z konformizmu, ale z buntu i nonkonformizmu.

– I długo się tak buntowaliście?

– Niestety nie. ZMP bardzo szybko stała się organizacją ludzi tresowanych. Nie zbuntowanych, tylko najpilniej podległych, stosujących się do rygorów szkolnych, społecznych, politycznych itd. Stawała się atrakcyjna dla ludzi, którzy wydobywali się z koszmaru życia wiejskiego, i stwarzała dźwignię do tego, by zacząć pracować, poznawać życie miejskie, zdobywać wykształcenie. Środowiska, które nie zajmowały się ideami, które ledwo zaczynały czytać i pisać, podążały za organizacją, która dawała lepsze możliwości życiowe i lepsze samopoczucie społeczne. Nie dominowały już „kontestacje paniczyków", tylko interesy młodzieży wiejskiej. Wtedy ze strony mojej i moich kolegów rozpoczęły się bunty polityczne. Głównie wobec stalinizmu w jego wydaniu represyjnym, duszeniu się w jego grotesce. Zresztą ten sprzeciw doprowadził mnie w roku 1955 do tygodnika „Po prostu", który zwalczał ZMP. Zajmował się kontestacją ustroju przynajmniej w jego totalitarnych elementach.

– To był świadomy bunt?

– Wpierw stanowiliśmy wspólną paczkę i wspólny ośrodek polityczny, który miał sieć klubów inteligencji w całym kraju. Piliśmy wódkę, siedzieliśmy całe noce i dyskutowaliśmy. Nasz bunt kierował się w stronę idei, nasiąkał polityką. I oczywiście poważniał. Gorąco lewicowi, ateistyczni, uważaliśmy, że potrzebna jest demokracja ograniczona do zróżnicowanych sił prosocjalistycznych.

– A później narosły podziały?

– Jednorodność zaczęła pękać w 1956 roku przed dojściem Gomułki do władzy. To nie były podziały ostre, one się dopiero zarysowywały. Niektórzy uważali, że hasła narodowe mają większe znaczenie niż demokracja. Reszta uważała, że ważniejsze są mechanizmy demokratyczne i podejrzliwie patrzyła na skłonności narodowe, jako tradycjonalne dla Endecji i piłsudczyków. Wtedy zespół zaczął się według tej linii dzielić. Nasza grupa antynacjonalistyczna, bardziej kosmopolityczna, ostatecznie wygrała w redakcji, okazała się silniejsza. Chcieliśmy dalej prowadzić ostre reformy o charakterze demokratycznym, w łączności z eurokomunizmem czy socjaldemokracją. Tylko że Gomułka nie chciał. I w końcu pismo zamknięto, ponieważ nieugięcie krytykowaliśmy wszystkie posunięcia partii, które likwidowały zdobycze Października.

– Zbuntował się pan wtedy? Wyszedł na ulice?

– Nie, ponieważ oskarżono by nas o wywołanie zamieszek, a przecież zorganizowano je w naszej obronie. Wydaliśmy odezwę, która potępiała działania milicji, represje wobec studentów, sprzeciwialiśmy się zamknięciu pisma, ale nie wzywaliśmy do wychodzenia na ulice. Faktycznie braliśmy jednak udział w wiecach, koledzy przemawiali na Politechnice.

– A może zwyczajnie przestraszyliście się konsekwencji otwartego sprzeciwu wobec władzy?

– Nie. Byliśmy szczeniakami, którym bardzo imponowały walki uliczne. Dostałem nawet pałą na Placu Narutowicza. W pewnym momencie poprosiliśmy o ochronę milicji, ponieważ cała redakcja chciała przejść pieszo przez terytorium zamieszek i nie chcieliśmy, żeby to zostało uznane za przyłączenie się. Rzeczywiście przyszedł oddział milicji w hełmach i nas eskortował.

Żydokomuna

– A rok 68 i masowe wywózki Żydów z Dworca Gdańskiego nie nauczyły pana, że komunizm, pod którym – czy to z powodów kontestacyjnych, czy światopoglądowych – jednak się pan podpisywał, nie był systemem ponadklasowej i ponadnarodowej solidarności?

– Istniał niepokój wśród wszystkich ludzi mających żydowskie korzenie. Mnie wtedy postraszyli umyślnie, przez kolegę, że będą wsadzać ludzi o złym pochodzeniu, z łapanki. No i trzeba się usunąć. Uciekłem na granicę czechosłowacką. Wtedy zaczynała się wiosna praska i w razie czego mogłem przejść na czeską stronę, unikając aresztowania czy zatrzymania. Potem szybko wróciłem, bo widziałem, że to nie idzie ku żadnym łapankom.

– Nie myślał Pan kiedyś o emigracji?

– Nie.

– Nikt pana nie kusił?

– Wtedy nikt mnie z Polski nie wyrzucał. Jak byłem jeszcze nieletni, to rodzice przebąkiwali o wyjeździe do Francji. No to ja mówiłem, że zostanę. Jak mówili, że nie mam nic do gadania, bo jestem niepełnoletni, to mówiłem że ZMP mnie obroni przed wywózką. Potem propozycję, może nie emigracji, ale stypendium na Oxfordzie, złożył mi po zamknięciu „Po Prostu" Leszek Kołakowski. Odmówiłem, bo kochałem się w panience, bo nie znam ani słowa po angielsku. Bo czułem się tu ważny i bohaterski, a nie sądziłem, żebym w Oxfordzie był osobą o znanym nazwisku. Bo się bałem świata. Zaznaczyłem więc swoją obecność w tym konflikcie z „syjonistami" artykułem „Rodzaj Rasizmu" w „Polityce". Kończył się tym, że nacjonalizm, tak jak w Izraelu, może wykwitnąć w każdym kraju i jest to największe nieszczęście, jakie każdy naród może spotkać. W moim rozumieniu był to sprytny tekst, który nie pozwalał zdjąć go cenzurze. Bo antysyjonistyczny, antyizraelski. Jednocześnie zawierał konkluzję, którą trudno było ocenzurować ze względu na jej charakter, taki ogólny.

– Pan naprawdę wierzy w swój niezłomny nonkonformizm

– To nie ma nic wspólnego z wiarą.

– Tylko z czym?

– Ze świadomością życiowej spuścizny. Zapewne pan wie, że nawet do PZPR chciałem się zapisać dopiero pod koniec 1989 roku.

– Wiem również, że wcześniej nikt tam o pana nie zabiegał.

– Tu przyznam panu rację. Faktycznie nie chcieli mnie przyjąć. Na różnych etapach z różnych powodów. Kiedy pierwszy raz aspirowałem, to wpierw kazali mi poczekać, aż osiągnę przyzwoity stopień na studiach. To była jednak w jakimś stopniu elitarna organizacja. Potem odmówiono przyjęcia, ponieważ śpiewałem hitlerowskie piosenki w publicznym miejscu. Kiedy już nie było przeszkód, by mnie przyjąć, w redakcji tygodnika „Po Prostu" przyjaciele z podstawowej organizacji partyjnej odradzili mi kandydowanie, twierdząc, że zostanę zaraz wyrzucony. Później nigdy nie próbowałem wstąpić, ponieważ to nie rokowało już żadnych szans, aż do czasu, gdy wszedłem w skład rządu. Wówczas teoretycznie musieliby mnie przyjąć, ale w praktyce nie chcieliby dlatego, że potrzebny był bezpartyjny w rządzie. Ostatecznie więc zgłosiłem akces do PZPR w samym końcu 1989 roku, jako ripostę wobec szczurów uciekających z partii masowo. Zadeklarowałem publicznie w artykule z uzasadnieniem, że ja wstępuję, ale kiedy chciałem dokonać formalności, to okazało się, że już nie można, bo partia się chyli ku rozwiązaniu. Nie ma już podstawowych organizacji, które przyjmują, nie ma nawet ankiet do przyjmowania, odpowiednich dokumentów…

– I znów ten bunt. Bezdźwięczny.

– Rzeczywiście okazało się to inicjatywą nie na czasie, ale mi chodziło tylko o manifestację, a ta została dokonana.

Rzecznik od polewania

– Przejdźmy do pana pracy w funkcji rzecznika prasowego. Co było pana największym świństwem?

– Trudno mi wybrać… Myślę, że największym świństwem było kłamanie w sprawie Przemyka. To znaczy przedstawiałem wersję urzędową, wiedząc, że jest nieprawdziwa.

– I tak było zawsze? Musiał pan dokładnie czytać to, co zostało przygotowane?

– Ależ nie, ja miałem raczej dużą samodzielność.

– To tym gorzej. Nie uważa pan, że w obliczu takich działań należy się przeciwstawić, a nie ślepo recytować przed kamerami propagandowe formułki?

– W tej sprawie się postawiłem. W tym rozumieniu, że poszedłem do Jaruzelskiego i powiedziałem, że należy tych milicjantów przynajmniej zawiesić. Podjąć śledztwo. Bo te manipulacje z pogotowiem ratunkowym są żałosne. No i wyraziłem tę opinię, ale co się liczy? Liczy się publiczne stanowisko w sprawie. Rzecznik rządu wypowiada się według tego, co mówią resorty. Ani jego rolą, ani możliwością nie jest weryfikowanie informacji. Rzecznik może tylko coś wyczuwać i odpowiednio, jako rozumny pijarowiec, pewne rzeczy odsuwać, a pewne rzeczy przedstawiać. Ja podlegałem tylko Jaruzelskiemu i tylko z nim uzgadniałem. I z czasem miałem prawo do robienia polityki.

– Co pan ma na myśli?

– Przedstawianie interpretacji polityki rządu, którą sam formułowałem i uzgadniałem post factum. To jest znaczna władza polityczna. Oznaczało to, że poszczególni ministrowie z moich konferencji dowiadywali się, jaka jest ich polityka. Było to oczywiście przedmiotem odpowiednich buntów w radzie ministrów.

– Po prostu okłamywał pan więcej ludzi.

– Teza, że Urban kłamał, jest nieprawdziwa. Prawdziwa jest teza, że w wielu sprawach przedstawiałem nieprawdę. W wielu to znaczy w kilku. Ale to były nieprawdy przedstawiane mi tak, że ja nie miałem powodu w nie powątpiewać. Klasyczny przykład: ja stwierdziłem, że grupa opozycyjnych intelektualistów, Geremek i inni, tajnie spotyka się z amerykańskim szpiegiem Millerem. Co prawda nie twierdziłem, że oni są szpiegami, ale że to naganne. I żebym ja to ogłosił, to MSW sporządziło fałszywe raporty ze śledzenia tych osób.

– Panie redaktorze, czy pan się słyszy?

– To fałszerstwo było skandaliczne, bo jeśli policja polityczna kłamie czy robi inne rzeczy niegodziwe, to stara się robić to na własne ryzyko. Nie wciąga w to rządu. Jeśli SB wciągało rząd do swoich gierek z opozycją, no to działało wbrew regułom postępowania każdej policji, również totalitarnej jak Gestapo czy NKWD. Ja polemizowałem z Kiszczakiem publicznie na te tematy, mówiąc, że jak wpuszczają mnie w maliny, to ja nie mam instrumentów do weryfikacji. Natomiast moja wina polegała na czymś innym: ja mogę wyczuwać w tym jakieś operacje policyjne i trzymać mordę zamkniętą, a ochoczo brałem na siebie monopolizowanie informacji.

– Do funkcji rzecznika rządu w PRL przygotowywano?

– Nie przechodziłem żadnego szkolenia, bo nie było nauczycieli. Nie było wyobrażenia, co taki rzecznik w ogóle ma robić. Ja przechodziłem ewolucję. Z początku byłem tylko odpowiednikiem rzecznika Solidarności.

– A który z was miał trudniejsze zadanie?

– Oczywiście, że rzecznik rządu, bo struktura nowoczesnego państwa jest o wiele bardziej złożona, pełna sprzeczności i nasycona różnymi problemami niż taki masowy ruch opozycyjny. Na początku rzecznik Solidarności wydawał jakieś oświadczenie i ja wydawałem jakieś kontroświadczenie. Dopiero po stanie wojennym moją główną formą działania stały się konferencje prasowe i gra z zachodnimi korespondentami, którzy w istocie rzeczy wyrażali opozycję. To był pewien mechanizm polityczny, który z początku wzbudzał zgrozę w aparacie władzy u nas i w krajach bratnich. Z czasem to ja stałem się nauczycielem rzeczników. Klasykiem tej formy działania, politycznego PR. Zacząłem nawet jeździć w tej roli od Moskwy poprzez Budapeszt, Sofię, Pragę i Berlin Wschodni. Udzielałem takich porad nawet na Kubie.

– I czego pan dokładnie uczył?

– W zasadzie to próbowałem przebić głową mur. Proszę sobie wyobrazić, że w tamtych latach stara się pan wytłumaczyć na Kubie, że nie chodzi o znalezienie utalentowanego rzecznika, tylko o otwartą politykę informacyjną.

– A co rozumiał pan pod tym pojęciem?

– Żeby z opozycją publicznie dyskutować i się zmagać. Użyłem tam wówczas takiego sformułowania, że nieważny jest rzecznik. Jeśli dziennikarze zagraniczni będą wiedzieć,

eprasa.pl bf69553f1f

to coś
lnego

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

że barman w jakimś barze jest dobrze poinformowany i dobrze przekazuje istotne informacje, to będzie zupełnie skutecznym rzecznikiem rządu. Przylecą do niego i pijąc, będą go podpytywać. Oni to traktowali dosłownie i uważali, że z nich kpię. Że ja uważam, iż należy założyć bar, w którym funkcjonariusz władz będzie rozlewać wódkę.

Planu nie było i nie ma

– Proszę wybaczyć, ale wyście nie potrafili wprowadzić tych zasad nawet we własnym kraju.

– Bo w Polsce było podobnie.

– Czyli chaotycznie?

– No z tym się chyba zgodzimy…

– Pytam jednak o metodę, bo wyobrażam sobie działalność propagandową jako spójny projekt wprowadzania do przestrzeni publicznej informacji i dezinformacji dla celów kształtowania wizerunku władz…

– Nigdy nie było planu i dziś też go nie ma. To nigdy nie działało. Dla przykładu: przychodzę z jakimś wydarzeniem do Główczyka, który był sekretarzem KC i kierował propagandą. Głównie „Dziennikiem Telewizyjnym", bo oglądał go Jaruzelski. I nagle okazuje się, że wszyscy redagują tam wstępniak dla „Trybuny Ludu". Już od wielu godzin. Ciągle przybiegają jacyś funkcjonariusze z innych wydziałów z propozycjami zdań czy akapitów. Mnie też ciągnęli do tej roboty. W końcu mówię do tego Główczyka: „Janek, wszystkie gazety jutro skomentują to wydarzenie. Gdzie tu jest sens, żeby tyle osób siedziało nad tekstem, którego nikt nie czyta, nawet jeżeli każde pojedyncze zdanie ma w nim znaczenie, bo jest zdaniem władz?". To był przecież ten przysłowiowy wstępniak, który każdy omijał. A tam nikt nawet nie pomyślał, żeby przerwać. I oczywiście ma pan rację, to było potwornie głupie. Dlatego chciałem z tym walczyć. Na przykład ten „Dziennik Telewizyjny"… To była liturgia. I to miało się podobać władzy, a konkretnie jednemu człowiekowi – Jaruzelskiemu. Bo nawet gdyby wojna wybuchła, to by wyszedł z pokoju operacyjnego i poszedł oglądać, po czym denerwowałby się, że coś było nie tak, że kolejność była niewłaściwa i że czegoś zabrakło. Jaruzelski traktuje słowa sakralnie. On w ogóle uważa za ważniejsze wycyzelowanie przemówienia niż czyny polityczne. Dla niego robienie polityki to przede wszystkim były słowa. Posługiwał się słowem „rządzenie", sądząc, że jak on powie, to tak będzie. Tak jak w wojsku. Dlatego on robił notatki ze wszystkiego, co do niego docierało z prasy, z telewizji, z rozmów ludźmi, z raportów. Pisał sobie tezy na kartkach i przed różnymi gremiami mówił w kółko to samo. Jakby zapytać, co Jaruzelski powiedział na naradzie sekretarzy, to nikt nie byłby w stanie tego streścić, bo Jaruzelski powiedział sto słusznych ogólników. Dla mnie to była straszna dysharmonia.

– Dlaczego?

– Bo dla mnie słowo to jest coś bagatelnego, a dla niego to była świętość. Więc to miało charakter zdegenerowany. Nikt się nie martwił, co ludzie pomyślą, tylko co pomyślą zwierzchnicy. Bo grono redakcyjne nie było zależne od widzów, tylko od swoich zwierzchników. I to całej wysmukłej drabiny tych zwierzchników. Problemem jest też sposób, w jaki nauczyliśmy się w Polsce patrzeć na PZPR.

Ponieważ partia ostatecznie przegrała z historią, w społecznej świadomości utrwaliła się jako „wróg", „komuna". Jakiś spersonifikowany monolit. Gdy w rzeczywistości była to formacja skłócona wewnętrznie, nie mniej niż schyłkowa Solidarność. A naturą jej konfliktu był nieustanny burdel.

Pamiętam taką sytuację: rząd ma po stanie wojennym przywrócić samorządy w zakładach pracy. Tak jest w programie posiedzenia Rady Ministrów. Jaruzelski, jako premier, wychodzi z posiedzenia, bo chce oglądać „Dziennik Telewizyjny". Wicepremier prowadzi obrady. I nagle widzę, że ministrowie – jeden po drugim – sprzeciwiają się odwieszeniu. A ja już podałem do telewizji komunikat, że rząd postanowił uruchomić samorządy. Więc zgroza. Idę do wicepremiera nazwiskiem Obodowski, który prowadzi obrady, i mówię : „Słuchaj, ja już podałem komunikat". No to on nagle ogłasza, że tutaj towarzysz Urban już zdecydował i rząd nie ma już nic do gadania. Więc ja wybiegam do Jaruzelskiego. On mówi: „Dzwońcie do telewizji. Może jeszcze tego nie nadali". I w tym momencie w telewizorze leci. Kłopot był okropny, ponieważ konstytucyjni ministrowie uznali, że jest to moja umyślna manipulacja albo nawet mój spisek z Jaruzelskim.

– Jeżeli jesteśmy przy pijarze. Ponoć proponował pan Kiszczakowi plan, zmierzający do ocieplenia wizerunku SB, ZOMO i ORMO w oczach społeczeństwa. Jakimi metodami chciał pan ten wizerunek ocieplać?

– Nie pamiętam. To był mój projekt?

– Pan napisał list do Kiszczaka…

– …a to: żeby stworzyć tam ośrodek propagandy. Znam taki list, niedawno publikowany, gdzie ja proponowałem, żeby stworzyć taki ośrodek przy MSW. Chciałem wyzwolić część środków przekazu spod dosyć sztywnych sposobów funkcjonowania ich kierownictwa w KC. Raz zrobiłem alternatywny odcinek „Dziennika Telewizyjnego". W kompozycji bliżej do dzisiejszych programów informacyjnych. To upadło, bo posunąłem się trochę za daleko, łącząc się z szefem Wolnej Europy. I to przeszło granicę tolerancji. Oni mieli ambicję wpływania na telewizję i proponowali jakieś swoje ubeckie kompozycje. Ja chciałem stworzyć alternatywny ośrodek pod patronatem tak silnej instytucji jak MSW. Ocieplanie ich wizerunku miało być tu pretekstem, związanym z ich intrygami wewnątrz władzy. A policja chętnie nadstawia ucho i chce, żeby jej wizerunek był jak najlepszy.

Rozkapryszony watażka

– Pamięta pan swoje pierwsze spotkanie z opozycją?

– Co tu dużo mówić, pierwszym działaczem Solidarności, z którym spędziliśmy noc na wspólnych sporach – to jest wrzesień 1980 – był Jurczyk.

– A Wałęsa?

– Pierwsza wieść o Wałęsie to było przybycie z Gdańska mojego kolegi Krzysztofa Wróblewskiego, który opisywał Wałęsę jako jakiegoś dzikiego watażkę, rozkapryszonego, rozwalonego, który plecie jakieś trzy po trzy. No zgroza. Więc dużo takich elementów i efektów sprawiało wzrost mojego zacietrzewienia, choć ja raczej nie działałem emocjonalnie, a rozumowo. Publikowałem, że jest jakaś gorączka, jakiś stan histerii. W tych kategoriach się o to wszystko niepokoiłem. Uważałem, że to hamuje ewolucję korzystną dla kraju, ponieważ wzmacnia po stronie partyjnej tych bezwzględnych betonowych

– Których „betonowych"?

– No to był Tadeusz Grabski, Waldemar Świrgoń, Stefan Olszowski… Świrgoń chyba jeszcze nie. Albin Siwak…

– Czyli rozumiem, że ten beton partyjny to nie było obce zagrożenie, tylko jakaś realna siła, która mogła zagrozić reformom Jaruzelskiego i równowadze w kraju.

– Mogła zagrozić, jednak sądzę, że Jaruzelski przesadnie tę siłę oceniał. On się w każdym razie bardzo bał, ale miał przy tym wiedzę o ich kontaktach w Moskwie, której ja przecież nie miałem. Natomiast oni jeszcze w '81 roku, na przykład w czerwcu, próbowali realnie przejąć władzę i strącić kierownictwo.

– Pan był blisko Jaruzelskiego. Dopuszczono pana do planów wprowadzenia stanu wojennego?

– Ja nie byłem wtajemniczony. Traktowany byłem jeszcze z pewną nieufnością przez Olszowskiego i przez aparat. Przed wprowadzeniem stanu wojennego byłem za tym, że coś trzeba zrobić. Dyskutowaliśmy z Cioskiem, że powinno nastąpić przejęcie władzy przez armię, ale formalne. Zawieszenie Solidarności i partii.

– Partię też chcieliście zawieszać?

– Takie były pomysły. Był klincz w partii i jakoś trzeba było z tego wyjść, ale o samych przygotowaniach do stanu wojennego nie wiedziałem. Dowiedziałem się, że coś nastąpi, dopiero po południu 12 grudnia – ale też niedokładnie.

– A jak z dzisiejszego punktu widzenia ocenia pan przeprowadzenie stanu wojennego?

– Ja uważam, że zrobiono to właściwie. Najkrócej mówiąc: stały naprzeciwko siebie dwie siły, z których jedna była siłą obalającą władzę, już niepodlegającą hamulcom polityków stojących na jej czele. To była masowa, radykalizująca się rewolucja. Z drugiej strony stała siła słabnąca, jednocześnie niemogąca oddać władzy. Przy władzy niezwykle osłabłej, takiej, jaka była pod koniec '81 roku i Solidarności niezwykle silnej – a mającej poczucie siły jeszcze większej, niż w rzeczywistości miała – niemożliwe by było coś w rodzaju Okrągłego Stołu. Niemożliwe byłoby porozumienie, bo porozumiewać się mogą siły o podobnym potencjale, natomiast słaby z silnym nie może się porozumieć. Może tylko negocjować warunki kapitulacji. Wobec tego bieg zdarzeń, jaki po tym nastąpił, wymagał wcześniej stanu wojennego, czyli złamania potęgi Solidarności, która już nigdy nie powróciła do poprzedniego znaczenia. Wzmacniała się już tylko poprzez uwiąd socjalizmu realnego, poprzez jego historyczną przegraną.

– Chce Pan powiedzieć, że stan wojenny był zaplanowanym działaniem, mającym ułatwić Okrągły Stół?

– Scenariusz z Okrągłym Stołem byłby niemożliwy, gdyby stanu wojennego nie było, bo już wcześniej doszłoby do jakichś zdarzeń, które trudno by było przewidzieć. Ja miałem przed wprowadzeniem stanu wojennego taką obsesję grozy, którą sobie wyobrażałem – bo każdy sobie to jakoś wyobraża – jako kazus pijanego milicjanta. To znaczy wyobrażałem sobie to tak, że pijany milicjant na motocyklu wpada na chodnik i zabija dziecko, przechodnie linczują milicjanta i wtedy się zaczyna. Uruchamia się Solidarność. Ta dolna, robotnicza maszeruje na arsenały, zdobywa broń, zaczyna się wojna wewnętrzna. Tak sobie wyobrażałem zagrożenie. Chodzi mi o to, że w tym stanie napięcia wystarczy pijany, czy nawet trzeźwy milicjant, który na przykład zabije dziecko, i będzie jakiś wybuch typu powstańczego.

– Jak w kopalni Wujek?

– Jaruzelski i my wszyscy strasznie przeżywaliśmy Wujka, bo ambicją było, żeby to było bezkrwawe. Ale normalne manewry wojskowe odbywające się na tą skalę – a przynajmniej te, które odbywały się w tamtych czasach – powodowały więcej ofiar śmiertelnych niż cały stan wojenny. Można więc powiedzieć, że to się odbyło prawie bezkrwawo. Wielką traumę przeżyli tylko działacze Solidarności. Przeciętny Polak odczuwał oczywiście pewne niedogodności, ale nie utrwaliło się to w świadomości społecznej jako straszne przeżycie.

– Pan nagina prawdę. Stan wojenny utrwalił się jako czas nieustannego, choć z czasem słabnącego napięcia i powszechnej obawy o przyszłość.

– To było krótko, zrobione z pewnym umiarem, z pewną elegancją. Tak że, jak na polską nieudolność, to był sukces Jaruzelskiego.

Szantaż, sukces, bunt

– Uczestniczył pan w przygotowaniu obrad Okrągłego Stołu?

– Prowadziłem coś w rodzaju szkolenia części ekipy partyjno-rządowej przed Okrągłym Stołem w pałacu w Otwocku. Po prostu podzieliliśmy się na opozycję i władzę, i ćwiczyliśmy taką dyskusję inscenizowaną.

– Wygrywała władza?

– Wygrywała opozycja. Niestety miałem złe przeczucia, ponieważ nasi uczestnicy nabierali wigoru, kiedy trzeba było atakować. Wiedzieli, co trzeba atakować. Natomiast kiedy mieli bronić siebie, to było blado. Ja przygotowałem pewne posunięcia poprzez pracę w zespole trzech…

– A czyim sukcesem był rzeczywisty Okrągły Stół?

– Przede wszystkim był sukcesem strony partyjnej, bo trudniej było doprowadzić ją do porozumienia niż Solidarność. To wymagało zmagań i szantażu. Baza polityczna w przeważającej większości się buntowała i groziła obaleniem kierownictwa, które chce znowu legalizować Solidarność. Stąd to plenum KC, na którym większość opowiedziała się przeciw legalizacji. Wtedy dramatyczne szantaże, kierownictwo ustępuje, przerwanie posiedzenia, powtórne zwołanie, żeby w ogóle uzyskać mandat do rozmów. Takich trudności kierownictwo Solidarności – czy już wtedy raczej opozycji – nie miało. Ci, którzy rozdzielali szaty i byli tam przeciw Okrągłemu Stołowi, nie mieli żadnej siły i byli na marginesie. Ci wszyscy Gwiazdowie i ten od Solidarności Walczącej.

– To skąd w Polsce ta chęć do podważania zasług faktycznych konstruktorów transformacji? Może jednak czegoś zabrakło kolejnym rzecznikom?

– Nie potrafię ani potwierdzić, ani zaprzeczyć, że to była moja wina, bo to są rzeczy niemierzalne. Ja nie wyreżyserowałem niczego nietrafnego, bo wtedy nie operowało się tego rodzaju prowadzeniem postaci jak dziś. Spadek poparcia na przykład dla Jaruzelskiego raczej nie był wynikiem zaniedbań czysto pijarowskich. Szukając analogii historycznych: zaczyna się rewolucja francuska i poparcie dla Ludwika XVI spada gwałtownie, niezależnie co on zatańczy. A jeżeli chodzi o deptanie konstruktorów transformacji w ich pełnej rozpiętości, to cóż. Tak wygląda właśnie bunt przegranych. Mają do niego prawo. ❑

eprasa.pl bf69553f1f

Piramidy zabite śmiechem

Nie ma milionów, nie ma winnych i tylko samorząd trwa mać

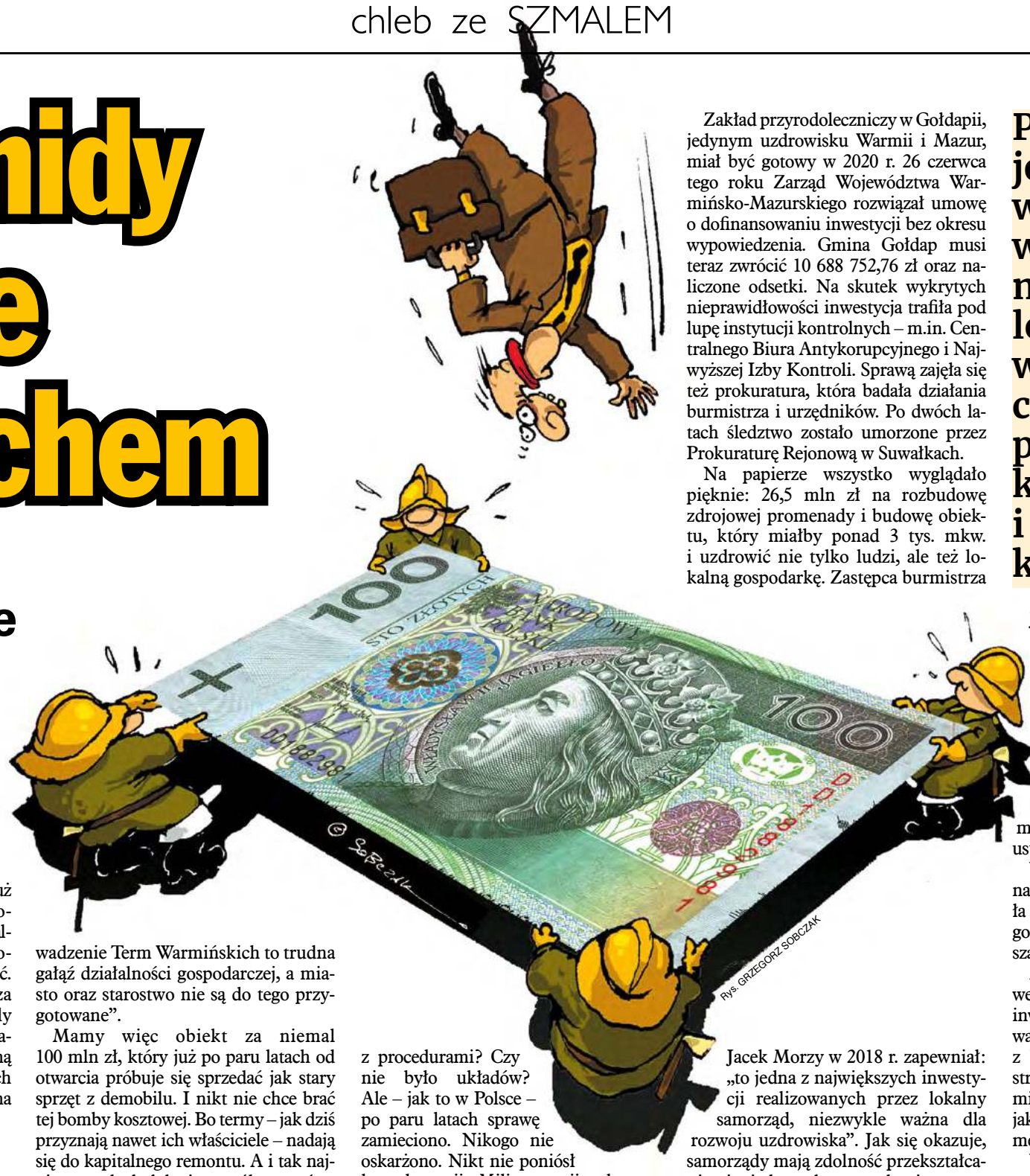
Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Powiat lidzbarski ogłosił trzeci już przetarg na sprzedaż kompleksu basenowo-hotelowego, który miał być regionalnym hitem turystyki zdrowotnej. Problem w tym, że nikt tego nie chce kupić. Nie chciał przy pierwszym przetargu za 46 mln zł. Nie chciał przy drugim, kiedy cena spadła do 41 mln zł. Teraz wystawiono termy za 38 mln zł – niemal jedną trzecią tego, ile lata temu kosztowało ich wybudowanie. I wszystko wskazuje na to, że chętnych nadal nie będzie.

Studzenie jest droższe?

Dlaczego? Bo projekt od początku był potężnym nieporozumieniem. Woda w „termach" miała mieć przynajmniej 30 st. C – tak wynikało z założeń. Ale starostwo zrezygnowało z badań. Odwiert zrobiono na ślepo. Gdy w końcu wodę zbadano, okazało się, że ma ledwie 20,7 st. C. Czyli do termalności ma tyle, co Bałtyk w maju. Sam starosta Jan Harhaj, zapytany o ten drobny szczegół, wypalił: „A to, że woda ma 21 stopni, to dobrze, bo taniej jest ją podgrzać niż ostudzić".

Owszem. Tylko że żaden rozsądny człowiek nie buduje uzdrowiska ze źródłem, które trzeba nieustannie podgrzewać. Bo koszt energii był i jest gigantyczny. Żaden z inwestorów prywatnych nie odważyłby się na taki ruch. Ale samorząd – karmiony unijnym zastrzykiem – nie czuł bólu wydawania. Władze powiatu najpierw szafowały hasłami o nowym symbolu regionu, a potem z pokorą przyznawały, że „prowadzenie Term Warmińskich to trudna gałąź działalności gospodarczej, a miasto oraz starostwo nie są do tego przygotowane".

Mamy więc obiekt za niemal 100 mln zł, który już po paru latach od otwarcia próbuje się sprzedać jak stary sprzęt z demobilu. I nikt nie chce brać tej bomby kosztowej. Bo termy – jak dziś przyznają nawet ich właściciele – nadają się do kapitalnego remontu. A i tak najpierw trzeba byłoby je w ogóle ogrzać.

Na etapie budowy nikt nie słuchał ostrzeżeń. Już w 2013 r. specjaliści alarmowali, że woda będzie za zimna, a inwestycja zbyt kosztowna w utrzymaniu. Ale Harhaj i jego ekipa parli do przodu. Inwestycję ogłoszono sukcesem, a wszystkie wątpliwości przemilczano. Samorządowcy, jak dzieci we mgle, rozdawali publiczne pieniądze bez ładu i składu. Oparto się na mitycznej wizji, że „przyjdą turyści, zostawią miliony, region rozkwitnie". Nie przyszli. Nie zostawili. Nie rozkwitł.

Mało tego – w 2015 r. niemiecki tygodnik „Der Spiegel" umieścił Termy Warmińskie na liście euroabsurdów. Zimne źródła, gorące obietnice, bańka marketingowa – i zero realizmu.

W pewnym momencie sprawą zajęła się prokuratura. Śledczy przyglądali się inwestycji, badali dokumenty, analizowali decyzje. Weryfikowali, czy ktoś nie działał na szkodę finansów publicznych. Czy wszystko przebiegło zgodnie z procedurami? Czy nie było układów? Ale – jak to w Polsce – po paru latach sprawę zamieciono. Nikogo nie oskarżono. Nikt nie poniósł konsekwencji. Miliony unijnych euro wyparowały. Winnych nie ma.

A Harhaj? Złożył dymisję. Oficjalnie „z powodów osobistych". Faktycznie – bo zrozumiał, że dalej się tego nie da ciągnąć. Ale dziś nikt już nie pyta, kto za to odpowiada. Kto podjął decyzje. Kto nadzorował prace. Kto podpisywał umowy. Kto odpowiada za klapę. A odpowiadają konkretni ludzie – z nazwiskami i funkcjami.

10 baniek do zwrotu

Termy Warmińskie nie są wyjątkiem. To symbol szerszego zjawiska – samorządowej manii budowania za wszelką cenę, byle wydać unijne pieniądze. Aquaparki, które świecą pustkami. Lotniska, z których nikomu się nie chce odlatywać. Ścieżki rowerowe prowadzące donikąd. Place zabaw pośrodku niczego. I ciepłe posadki dla krewnych i znajomych królika, którzy z tych inwestycji żyją.

Zakład przyrodoleczniczy w Gołdapii, jedynym uzdrowisku Warmii i Mazur, miał być gotowy w 2020 r. 26 czerwca tego roku Zarząd Województwa Warmińsko-Mazurskiego rozwiązał umowę o dofinansowaniu inwestycji bez okresu wypowiedzenia. Gmina Gołdap musi teraz zwrócić 10 688 752,76 zł oraz naliczone odsetki. Na skutek wykrytych nieprawidłowości inwestycja trafiła pod lupę instytucji kontrolnych – m.in. Centralnego Biura Antykorupcyjnego i Najwyższej Izby Kontroli. Sprawą zajęła się też prokuratura, która badała działania burmistrza i urzędników. Po dwóch latach śledztwo zostało umorzone przez Prokuraturę Rejonową w Suwałkach.

Na papierze wszystko wyglądało pięknie: 26,5 mln zł na rozbudowę zdrojowej promenady i budowę obiektu, który miałby ponad 3 tys. mkw. i uzdrowić nie tylko ludzi, ale też lokalną gospodarkę. Zastępca burmistrza Jacek Morzy w 2018 r. zapewniał: „to jedna z największych inwestycji realizowanych przez lokalny samorząd, niezwykle ważna dla rozwoju uzdrowiska". Jak się okazuje, samorządy mają zdolność przekształcania pieniędzy w beton – ale nie zawsze ten beton służy ludziom.

Pierwszy przetarg w 2017 r. zakończył się katastrofą. Oferty przebiły kosztorys jak czołg ogrodzenie. Ale rada miejska i burmistrz postanowili dołożyć brakujące 6 mln zł z miejskiej kasy. Można było unieważnić przetarg. Była na to procedura, był na to czas. Ale burmistrz – zamiast rozumu – wybrał pośpiech i brnięcie w finansowy absurd.

Efekt? Roboty wstrzymane na cztery lata. Oficjalnie z powodu problemów z dokumentacją. W praktyce dlatego, że samorządowcy z Gołdapi potrafili jedynie szastać cudzym groszem, nie mając pojęcia, jak się robi inwestycje. W sierpniu 2024 r. znów ogłoszono przetarg. Bez efektu.

Ekonomika małych ojczyzn

To wszystko nie byłoby może aż tak groteskowe, gdyby nie fakt, że Lidzbark i Gołdap to tylko kolejne z przykładów.

Polska pełna jest samorządowych Wunderwaffen, które miały odmienić losy gmin i powiatów, a skończyły jako pomniki niekompetencji i kreatywnej księgowości.

Jak patriotyczna ławka za 100 tys. zł w Olsztynie. Z wbudowanym głośnikiem. Bo jak wiadomo, miłość do ojczyzny najlepiej wyraża się poprzez sprzęt grający w przestrzeni publicznej.

A Katowice? Strefa relaksu pod wiaduktem za 66 tys. zł. Miało być nowocześnie, wyszło jak zwykle – ławki pod mostem, śmiecie i petycja mieszkańców, by to coś natychmiast usunąć.

W Kartuzach wywalono 144 mln zł na kolej, która przez miesiące nie miała rozkładu jazdy, bo PKP zapomniało go... zamówić. Bajpas Kartuski miał być szansą, wyszła kolejowa fatamorgana.

Ale crème de la crème to samorządowe eldorado krętactwa. Bo nie potrafią inwestować, ale za to potrafią kombinować. Wystarczy spojrzeć na przypadki z Wągrowca czy Bełżyc. Tam burmistrzowie i ich świta brali łapówki w formie gotówki lub bonów na elektronikę, jakby zarządzanie miastem było programem lojalnościowym.

W Radoszycach zastępca burmistrza zażądał 150 tys. zł łapówki, by dopiąć przetarg. Oczywiście wszystko „dla dobra mieszkańców".

Unijne pieniądze, które miały modernizować kraj, stały się dla lokalnych włodarzy okazją do „inwestowania" w zaprzyjaźnione firmy, faworyzowane przetargi i idiotyczne projekty z broszur marketingowych. Ktoś przecież musi zarobić na betonowej strefie relaksu, muzeum królików czy termach bez ciepła. Samorządowcy wymyślili więc model: Unia daje – my wydajemy. Jak leci.

Efekt? „Inwestycje", które nie działają. Linie kolejowe, po których nie jeżdżą pociągi. Budynki, które od lat stoją puste. Ale za to zawsze był ktoś, kto na tym zarobił. I niekoniecznie był to wykonawca. Częściej znajomy radnego, kolega burmistrza albo firma z polecenia.

A kiedy przychodzi moment rozliczeń, wszyscy nagle tracą pamięć. I tylko mieszkańcy zostają z rachunkami.

TOMASZ BOROWIECKI

życie W DOBROBYCIE

● Średni unijny Europejczyk pracuje w ciągu życia 37,2 roku. Polak zaś – 35,5. Czyli mniej. W sześciu krajach UE ludzie tyrają ponad 40 lat. Prym wiodą Holendrzy – 43,8 roku, zaraz za nimi Szwedzi – 43 i Duńczycy – 42,5, a Niemcy 40 lat. Na końcu stawki są Rumuni – 32,7 i Włosi – 32,8. My w tym zestawieniu plasujemy się między Luksemburgiem a Belgią. Według Eurostatu średnia długość pracy Polek to 33,4 roku, a Polaków 37,6. Dla porównania – Holenderki mają przed sobą 41,8 lat pracy, Estonki – 42,2, a Włoszki – tylko 28,2. Widać nie tylko my zauważyliśmy, że życie to nie tylko praca. A z danych GUS wynika, że średnia długość życia mężczyzn w Polsce w 2024 r. wyniosła 74,93 roku, a kobiet – 82,26. To o 0,3 roku więcej niż rok wcześniej. Od 1990 r. mężczyźni zyskali 8,7 roku, kobiety – 7 lat. Różnica między płciami to nadal 7,3 roku, ale jeszcze w 1991 r. było to 9,2 roku. Równouprawnienie umieralności więc postępuje. Przeciętne dalsze trwanie życia dla 15-latka to dziś 60,36 roku dla chłopców i 67,62 dla dziewcząt. W 1990 r. było to odpowiednio o 7,3 i 5,8 roku mniej. Mężczyzna z miasta żyje 75,07 roku, ze wsi – 74,67. Kobieta – niezależnie od zameldowania – 82,2. Podział na województwa? Najkrócej żyją mężczyźni w łódzkim – 73,61, najdłużej w małopolskim – 76,25. U kobiet najgorzej w łódzkim i śląskim – 81,42, najlepiej w podkarpackim – 83,73. W Polsce do 45. roku życia nie dożywa dziś 4,7 proc. mężczyzn i 1,8 proc. kobiet. Do 75. – nie dożywa 42,9 proc. mężczyzn i 21,9 proc. kobiet. W 1990 r. było to odpowiednio 63,9 proc. i 37,5 proc. – czyli też jest lepiej. Czy to wszystko zasługa tego, że nie przepracowujemy się ponad miarę? Może to właśnie klucz do długowieczności. Oraz do tego, by mieć jeszcze siłę ponarzekać w kolejce do lekarza.

Rys. WIDGET

● „Praca to praca – każda zasługuje na szacunek i uznanie!" – ogłosiła z dumą Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, czyli ministra od pracy, rodziny i czegoś tam jeszcze. I zaraz potem wzięła się za tworzenie przepisów, które ten szacunek mają objawić w formie dodatkowego urlopu. Dzięki temu od 1 stycznia 2026 r. staż pracy nie będzie już liczony tylko na podstawie umów o pracę. Do dorobku zawodowego, który decyduje o liczbie dni urlopowych, wliczać się będzie także praca wykonywana na umowie-zleceniu, działalność gospodarcza, a nawet współpraca z osobą prowadzącą firmę. Jak się jeszcze było członkiem spółdzielni rolniczej albo siedziało na samozatrudnieniu i w tym czasie opiekowało się dzieckiem, to też się liczy. Jeśli zatem ktoś przez ostatnie 10 lat zasuwał jako samozatrudniony, a teraz udało mu się zaczepić na etat, to do jego stażu doliczą się lata bycia własnym „pracodawcą". Jak zbierze 10 lat, to zamiast 20 dni urlopu dostanie aż o sześć dni więcej! W tym całym festiwalu troski o pracownika zapomniano o jednej całkiem licznej grupie – o ludziach, którzy przez całe dekady pracowali na umowach o dzieło. Są to twórcy, artyści, dziennikarze, tłumacze, programiści – czyli wszyscy ci, którzy harowali w domu po nocach, termin za terminem, bez prawa do L4, bez urlopu, bez składek, za to z deadline'em wiszącym nad głową jak topór. No ale przecież „dzieło" to nie praca. Dzieło to pasja. Więc jeśli ktoś przez 20 lat tworzył książki, filmy, wystawy albo pisał dla mediów teksty, których potem nie podpisano nawet nazwiskiem – to może teraz obejść się smakiem. Bo na żadne benefity nie zasłużył. Choćby i robił po 60 godzin tygodniowo.

● Na koniec pierwszego kwartału w polskiej gospodarce pracowało 17,06 mln osób. Czyli najmniej od czasów pandemicznej zarazy. GUS mówi, że w trzy miesiące z rynku pracy zniknęło 187 tys. osób. I nikt nie wie, gdzie się podziały. A przecież jeszcze nie tak dawno pękaliśmy z dumy, że liczba pracujących przebiła magiczne 17 mln. Teraz lecimy w dół. Największy odpływ widać w rolnictwie – 43 tys. mniej w jeden kwartał, a 153 tys. przez rok. Czyli ubyło 13 proc. ludzi, którzy kiedyś przynajmniej udawali, że coś orzą. Z usług też ubyło – 79 tys. pracujących mniej niż pod koniec zeszłego roku. Jeszcze w grudniu bezrobotnych według standardów unijnych było niecałe pół miliona. Teraz jest 600 tys. Przybyło więc 105 tys. osób, które chcą pracować, ale nikt ich nie chce. Stopa bezrobocia skoczyła z 2,8 do 3,4 proc. Najciekawsze, że spośród nowych bezrobotnych aż 20 proc. pracowało wcześniej w przemyśle. Kolejne 19 proc. to byli handlowcy, a 12 proc. – budowlańcy. Czyli zawody, które w każdej normalnej gospodarce są podstawą. Ale u nas ich po prostu wywalono. Bo prąd drogi, zamówień brak, a biznesowi nie chce się już udawać, że coś inwestuje.

● „Przeprowadzanie testów na utratę wartości aktywów jest regularnym i cyklicznym działaniem w Grupie PGE" – ogłosiła spółka, zaksięgowawszy ponad 11 mld zł straty. Ale spokojnie. To nie jest taka prawdziwa strata. To tylko „odpisy". A odpisy, jak twierdzi PGE, to taka specjalna księgowa sztuczka, dzięki której coś może przestać istnieć na papierze, ale nadal sobie

eprasa.pl bf69553f1f

Suwerenność cyfrową racz nam zwrócić panie

Internetowy pastuch

Czy nam się to podoba, czy nie, big techy – czyli garstka cyfrowych amerykańskich monopolistów, jak m.in. Microsoft, Google i Meta – kolonizują nasze życie prywatne, zawodowe i decydują o przepływie informacji i komunikacji. Pogłębiająca się zaś cyfryzacja, choć niewątpliwie wygodna, będzie prowadzić do ich dominacji w sferze publicznej, gospodarczej i politycznej. To bardzo niedobra wiadomość.

Social Fucking

Kilka tygodni temu zostałam wydymana cyfrowo i bynajmniej nie było to ekstatyczne doświadczenie. Dwa serwisy społecznościowe, Facebook i Instagram, należące do tego samego właściciela, czyli firmy Meta, wymusiły na mnie zgodę na przetwarzanie danych osobowych w celach reklamowych. Podczas korzystania z aplikacji pojawił się komunikat, który przedstawił wybór jak między kiłą a rzeżączką: albo zabulę 39,99 zł za subskrypcję każdej z platform, albo pozwolę wykorzystać swoje dane osobowe na potrzeby dostosowania reklam (również tych spersonalizowanych), żeby używać social mediów bezpłatnie. Cóż było robić? Jestem Polką, więc uznałam, że za darmo to uczciwa cena, ale niesmak pozostał…

Oczywiście bez mediów społecznościowych można żyć, lecz co by się stało, gdyby tak inne – użytkowane przez nas w życiu codziennym i pracy – narzędzia cyfrowe zaczęły groźbami uzależniać swoje funkcje od dodatkowych opłat? Jeszcze pal licho, jeśli chodziłoby o wykorzystanie wiedzy, że użytkownik szukał w sieci majtek z dziurami czy płynu na wszy. Co jeśli wielki technologiczny monopolista wyruchałby w ten sposób wielkiego właściciela bazy danych osobowych jak np. bank albo państwo? Brzmi futurystycznie? Nic bardziej mylnego. A Polska stoi przed tym procederem z szeroko rozwartymi pośladkami i transparentem „Zapraszamy".

10 czerwca br. duńska minister cyfryzacji Caroline Stage ogłosiła, że jej resort do jesieni całkowicie wyeliminuje z użytkowania programy Windows i Microsoft 365. Komercyjne płatne oprogramowanie zostanie zastąpione darmowymi otwartymi pakietami biurowymi Linux i Libre Office. Podobną strategię obrały już jakiś czas temu Finlandia, Islandia i Hiszpania, a ostatnio także władze Lyonu, a także Szlezwik-Holsztyn, który rozpoczął migrację 30 tys. urzędowych komputerów na system Linuksa. Holenderska Tweede Kamer, izba niższa Stanów Generalnych, poszła o krok dalej i przyjęła pakiet uchwał nakazujących budowę narodowej chmury i ustalających priorytet dla unijnych dostawców w przetargach publicznych.

Skąd ta rewolucja? Niewątpliwie sporą rolę w podjęciu decyzji o oderwaniu korporacyjnego kleszcza od administracyjnego cyca odegrały finanse, bo monokultura jednej firmy potrafi być kosztowna. Przykładowo wzrost rachunku za licencje na amerykańskie oprogramowanie w Kopenhadze wzrósł w ciągu pięciu lat o 72 proc. – z 313 mln koron w 2018 r. do 538 mln w 2023 r. Głównym motywem przewodnim tej dywersyfikacji jest budowa bezpieczeństwa, szczególnie w świetle objęcia przez Donalda Trumpa prezydenckiego stołka. Powodów do obaw jest aż nadto.

Kto trzyma wtyczkę

W listopadzie ubiegłego roku Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze wystawił międzynarodowy list gończy za premierem Izraela Beniaminem Netanjahu i eksministrem obrony tego kraju Jo'awem Galantem. Obu oskarżono o szerokie spektrum zbrodni wojennych oraz przerabianie ludności cywilnej w Strefie Gazy na mielonkę. Administracja Donalda Trumpa niejako z automatu (w USA każdy przejaw solidarności z eksterminowanym narodem palestyńskim jest traktowany na równi z antysemityzmem) dostała wkurwu. Politycy obozu rządzącego uznali, że Trybunał nadużywa swojej władzy, a jego decyzja zagraża amerykańskim obywatelom i żołnierzom, podważa bezpieczeństwo narodowe i suwerenność USA oraz ingeruje w politykę Stanów Zjednoczonych i ich sojuszników, w tym Izraela.

Trump przekuł fochy w czyny i na początku 2025 r. poczęstował decydentów z MTK sankcjami wizowymi i finansowymi. Dziwnym trafem chwilę później Microsoft wyłączył skrzynkę mailową Karimowi Khanowi, prokuratorowi Międzynarodowego Trybunału w Hadze.

Ta – zdawałoby się – drobnostka pokazała, jak krótka jest technologiczna smycz. Oczywiście Microsoft zapewnił, że to incydent, a europejscy klienci mogą czuć się bezpiecznie. Dla uwiarygodnienia wersji wydarzeń sam CEO firmy Satya Nadella poderwał dupę do Amsterdamu, żeby opowiadać te bajki.

Na własnym podwórku Trump też się nie krępuje, żeby trzymać stadko pod cyfrowym batem. Z końcem lipca amerykańska administracja zapowiedziała uruchomienie ogólnokrajowego systemu, który umożliwi obywatelom udostępnianie swojej dokumentacji medycznej za pośrednictwem prywatnych (he, he) aplikacji i systemów opieki zdrowotnej. Program ma na celu „poprawę jakości leczenia". W inicjatywie bierze udział ponad 60 firm, w tym oczywiście giganci technologiczni, tacy jak Google, Amazon i Apple.

Zupełnym przypadkiem chwilę wcześniej rząd USA dał Służbie Imigracyjnej i Celnej (ICE) dostęp do baz danych Departamentu Zdrowia i Opieki Społecznej. Spece od deportacji mają zatem wgląd w karty pacjentów, gdzie znajdą informacje np. o pochodzeniu etnicznym i rasie. Frapująca zbieżność.

Rys. TOMASZ WIATER

Żerowisko

O ile w kraju nad Wisłą ludność pamięta, że istnieje jakieś tam mityczne RODO, które chroni ich dane wrażliwe, o tyle nie ma świadomości, że wszystkie te informacje, analizy, raporty i statystyki wklepywane w komputery administracji publicznej przy pomocy oprogramowania spod komercyjnych skrzydeł wspomnianych gigantów trafiają finalnie na prywatne serwery tychże korporacji. Od wybuchu wojny na Ukrainie w Polsce robienie fellatio big techom stało się wyznacznikiem dobrych relacji ze Stanami Zjednoczonymi.

„Jesteśmy przez USA określani mianem *model ally* – modelowego sojusznika. Wypełniamy jedno z głównych oczekiwań prezydenta Trumpa i jego administracji" – mówiła w czerwcowym wywiadzie dla Business Insider Polska Marta Poślad – członkini Rady Dyrektorów Amerykańskiej Izby Handlowej (AmCham), a przy okazji dyrektor ds. polityk publicznych i relacji rządowych w Europie Środkowo-Wschodniej oraz relacji transatlantyckich w Google'u.

W czerwcu 2023 r. pani Poślad została powołana przez ministra Janusza Cieszyńskiego z PiS w skład Rady Cyfryzacji – ciała doradczego Ministerstwa Cyfryzacji. Po zmianie ekipy rządzącej, kiedy ministrem został Krzysztof Gawkowski z Lewicy – deklarujący wcześniej wojnę z technologicznymi kolosami – dalej pełniła tę funkcję.

Nawiasem mówiąc, z przedstawicielami amerykańskich molochów równie chętnie spotykali się szefowie rządu PiS, jak i obecnej koalicji. Wszystko pod hasłami inwestycji i pchnięcia polskiej gospodarki na szerokie wody rozwoju. Kłopot w tym, że technologiczne lobby poprzez budowanie kompetencji i wpływów działa jak diler – pierwszą działkę daje za darmo, a później trzyma obcęgami uzależnienia za jaja.

Dajmy na to taki Microsoft, który od lat współpracuje z MEN w zakresie szkoleń nauczycieli i uczniów z dziedziny cyfryzacji i sztucznej inteligencji. Projekty edukacyjne wraz ze sprzętem dla wybranych placówek szkolnych fundują korporacje. Później – jak na przykład w zjechanym przez NIK projekcie Laboratoria Przyszłości – rząd wydaje ponad miliard złotych na wyposażenie szkół w elektroniczne zabawki i oprogramowanie od partnerów. Cóż złego w nauce? Nic. Ale w jednej ze szczecińskich podstawówek kontrolerzy odkryli, że zakupiony sprzęt tylko zbierał kurz. Nauczyciele, którzy potrafili obsługiwać drukarki 3D czy okulary VR odeszli ze szkoły, a reszta nie miała czasu, żeby nauczyć się z tych bajerów korzystać. Na szczęście ministerstwo nie monitorowało skuteczności programu, więc nie musiało się przejmować wywalonymi w błoto środkami.

Wiewiórki donoszą, że Google bardzo chce się zająć wdrażaniem AI w sektor polskiego cyberbezpieczeństwa, energetyki i (oczywiście) cyfryzacji rodzimej ochrony zdrowia. Fiu, fiu...

Unia Europejska pogroziła palcem Mecie za bezprawne w jej mniemaniu praktyki wymuszania na użytkownikach handlowania swoimi danymi w zamian za bezpłatny dostęp do social mediów. Miło, ale gówno to da. Kilka tygodni temu

UE wycofała się z pomysłu opodatkowania cyfrowych korporacji, a nawet z wymogu weryfikowania wieku użytkowników social mediów, który miał obowiązywać od 1 lipca. Może CEO Microsoftu albo Google'a wpadli na herbatkę do Komisji Europejskiej i przywieźli laurkę od Donalda Trumpa.

Chuj wie. Jedno jest pewne, Indianie przyjęli od kolonizatorów koce z zarazkami czarnej ospy, a my się w tubylczej naiwności niczym od nich nie różnimy.

IDALIA DUBICKA

spokojnie istnieje w rzeczywistości. Tak jak wiara w to, że jesteśmy 20. gospodarką świata. 97 proc. tych odpisów dotyczy działalności węglowej. I nie chodzi tu o to, że komuś się kopalnia zawaliła albo elektrownia eksplodowała. Po prostu zrobiono test. A test wykazał, że to, co w papierach warte jest miliardy, na rynku – znacznie mniej. Zwłaszcza jeśli to węgiel. Albo fotowoltaika, bo i tam znaleziono coś do odpisania. PGE tłumaczy, że to wszystko zgodne z międzynarodowym standardem rachunkowości. A skoro coś jest międzynarodowe, to znaczy, że mądre. Więc jak mądre głowy z Excela stwierdziły, że wartość rynkowa aktywów spadła, to trzeba było to odnotować. I bum – 11 mld w plecy. Ale „niegotówkowo"! Czyli nikt nie wyniósł kasy w reklamówce. To tylko cyferki. Coś jak PKB – też się go nie da dotknąć, a rośnie. Gdyby więc ktoś zapytał, jakim cudem przy rosnącym bezrobociu, zwolnieniach i rekordowej liczbie biernych zawodowo w Polsce gospodarka dalej pędzi – to odpowiedź jest prosta: rachunkowość. Bo dziś to nie realne pieniądze robią gospodarkę, tylko statystyki. Dzięki nim nawet 11 miliardów straty nie jest powodem do zmartwień, tylko dowodem na dojrzałość rynku i nowoczesność zarządzania.

● „Za narażenie Skarbu Państwa na stratę 70 mln zł grozi mu odpowiedzialność karna" – grzmią prokuratorzy o Jacku Sasinie, pisowskim wicepremierze i człowieku, który w pandemii chciał zorganizować wybory kopertowe. Karty do głosowania wydrukowano, głosowania nie było, a Poczta Polska i PWPW liczyły potem straty – śledczy uznali, że to przestępstwo. A teraz rząd właśnie klepnął projekt nowelizacji prawa pocztowego, który pozwoli wyjąć z budżetu blisko 2 mld zł. Ale nie na wybory, tylko na przetrwanie Poczty Polskiej. Bo państwowy operator, mimo że sprzedaje znaczki, pakuje paczki i trzyma się kurczowo monopolu na listy urzędowe, de facto zbankrutował. Dzisiejszy limit wydatków budżetowych na wsparcie usług powszechnych – czytaj Poczty – to 651 mln zł rocznie. Za mało – stwierdził rząd, więc w 2026 r. limit urośnie do 997 mln, a w 2027 r. – do 960 mln zł. Po to, żeby pokryć straty z 2024 i 2025 r., których Poczta nie dała rady udźwignąć. W ostatnich latach z Poczty zwiało 5 tys. ludzi. 90 proc. z nich, jak informuje zarząd, „dobrowolnie". Reszta wyleciała na mocy „optymalizacji zatrudnienia". W marcu nawet to zamrożono, bo zabrakło już kandydatów do odejścia. Ale spokojnie – jest plan. Plan, który według nowego prezesa ma uczynić Pocztę „nowoczesną firmą kuriersko-detaliczno-finansowo-cyfrową". I choć nikt nie wie, co to znaczy, to brzmi jak coś, co powinno zadziałać.

● We wsi Konotopie, której nazwy nikt wcześniej z niczym nie kojarzył, powstaje największy na świecie pomnik Matki Boskiej. Ma mieć 55 m wysokości, czyli więcej niż Jezus w Świebodzinie. I choć wielu Polaków nie ma jeszcze porządnej kanalizacji, to przynajmniej będą mogli spojrzeć w niebo i powiedzieć: „To jest właśnie ta społeczna odpowiedzialność biznesu". Bo pomnik funduje nie kto inny, tylko jeden z najbogatszych Polaków – Roman Karkosik. Człowiek, który dorobił się na inwestycjach i chemii, a teraz stawia pomniki. Wraz z żoną Grażyną kupili gospodarstwo, którego nikt nie chciał. I zamiast postawić tam nowoczesny zakład, centrum badań, dom spokojnej starości albo przedszkole, zdecydowali się postawić Matkę Boską. „To już jest bardzo, bardzo duże, a to dopiero początek" – cieszy się sołtys. Bo ludzie podobno zatrzymują się samochodami, patrzą, robią zdjęcia i zastanawiają się, kto weźmie udział w uroczystym poświęceniu. Proboszcz przekonuje, że to ważne nie tylko dla regionu, ale i „dla całej naszej ojczyzny. Kto wie, czy nie dla świata". A może właśnie o to chodzi. Bo jak brakuje pieniędzy na leczenie czy edukację, to dzięki społecznej odpowiedzialność biznesu przynajmniej będzie można sobie powiedzieć: „ale mamy największą Matkę Boską na świecie".

Rys. TOMASZ WIATER

TTJ

eprasa.pl bf69553f1f

Niedaleko od szosy

Dziś prawdziwych wieśniaków już nie ma

Wieś to już nie jest miejsce, gdzie kogut pieje, sąsiad wie, kiedy się sieje, a pole w lipcu pachnie sianem. Wieś to dziś pole minowe. Dla jednych – ostatnia ostoja normalności, kraina mlekiem, gnojowicą i patriotyzmem płynąca. Dla drugich – agroturystyczny suburb, wieś spokojna, wieś wesoła, owszem, ale najlepiej z gładkim asfaltem, internetem światłowodowym, maciejką i ciszą zakłócaną jedynie przez pasikoniki.

Chłopi z Marszałkowskiej

Kto ma rację? Rolnik, który jeszcze przed świtem goni do traktora, czy świeży mieszkaniec wsi, który przed zakupem działki obejrzał okolicę z drona i nie zauważył chlewni, bo w folderze inwestycyjnym przykryto ją ikoną lawendy? I – najważniejsze – dla kogo właściwie jest wieś?

Zacznijmy od tego, kto dziś rzeczywiście wieś zamieszkuje. Według danych GUS z 2023 r. 43 proc. ludności Polski mieszka na wsi – to ponad 16 mln obywateli. Spośród nich aktywnych zawodowo rolników, prowadzących gospodarstwo i uzyskujących z niego podstawowy dochód, jest mniej niż 1,3 mln. Co oznacza, że

mniej niż 8 proc. wiejskiej populacji żyje dziś z roli. Reszta to sektor usług, edukacji, samozatrudnieni, urzędnicy, specjaliści od zdalnej pracy, emeryci i – coraz częściej – rodziny z miasta uciekające przed miejskim stresem i korkami.

Według raportu Instytutu Rozwoju Wsi i Rolnictwa PAN największy przyrost ludności wiejskiej odnotowuje się w gminach okołomiejskich – nie rolniczych, lecz sypialnianych. Gminy takie jak Zielonki pod Krakowem, Stare Babice pod Warszawą czy Dobrzykowice pod Wrocławiem biją rekordy liczby nowych pozwoleń na budowę. Tam, gdzie jeszcze dekadę temu były pastwiska, dziś są szeregowce, domy z bali i apartamentowce stylizowane na stodoły. I mieszkańcy – z kredytem, oczekiwaniami i alergią na zapach obornika.

Konflikt zaognia fakt, że ci nowi mieszkańcy często nie mają żadnego związku z rolnictwem – 83 proc. z nich nie zna nikogo, kto pracuje w gospodarstwie. Nie rozumieją, dlaczego ktoś miałby hałasować o czwartej rano czy wylewać gnojówkę w upalny dzień. Dla nich wieś to sceneria – nie fabryka. Dla rolników – odwrotnie. Kiedy te rzeczywistości się stykają, dochodzi do eksplozji.

Kluka a sprawa polska

Najbardziej spektakularnym przykładem tej wojny o zapachy i decybele była sprawa Szymona Kluki. Hodowcy świń z Grodziska w Łódzkiem, który został skazany za to, że robił to, co rolnik robić powinien. Hodował świnie. Legalnie, zgodnie z przepisami, z pozwoleniem środowiskowym, z decyzją gminy. Kluka prowadził rodzinne gospodarstwo od 1995 r. W 2014 r. wystąpił o pozwolenie na budowę chlewni. Otrzymał decyzję środowiskową, spełnił normy, zainwestował setki tysięcy złotych w infrastrukturę.

Sąsiedzi – nowi, z miasta – poczuli się dotknięci. Zapach przeszkadzał. Komfort życia został zakłócony. W pozwie domagali się zadośćuczynienia i ograniczenia działalności. Sąd Okręgowy w Piotrkowie Trybunalskim oddalił ich roszczenia, uznając, że rolnik działa legalnie. Ale Sąd Apelacyjny w Łodzi orzekł inaczej. Uznał, że chociaż działalność jest zgodna z prawem, to oddziałuje negatywnie na życie sąsiadów – przez zapach, hałas, widok chlewni.

Sąd Apelacyjny szczegółowo analizował dokumentację fotograficzną, zapisy z rejestratorów dźwięku, a nawet powołał biegłego od „percepcji zapachowej w przestrzeni zurbanizowanej". W opinii biegłego wskazano, że „substancje odorowe wytwarzane w wyniku chowu trzody mogą stanowić przeszkodę dla realizacji prawa do spokojnego zamieszkiwania". Sąd przyjął tę opinię jako podstawę do zasądzenia zadośćuczynienia. Ponadto uwzględniono „zmianę charakteru lokalizacji" – to znaczy, że skoro sąsiedztwo się ucywilizowało (czytaj: zabudowało domami jednorodzinnymi), to i rolnik ma się dostosować.

Kluka przegrał. Musiał zapłacić 30 tys. zł tytułem zadośćuczynienia za naruszenie dóbr osobistych, 39,5 tys. zł kosztów procesu i 5 tys. zł kosztów sądowych. W uzasadnieniu sąd podkreślił, że „wieś się zmienia" i że mieszkańcy mają prawo do „życia w godnych warunkach". Kluka złożył skargę kasacyjną, ale Sąd Najwyższy odmówił jej przyjęcia bez podania uzasadnienia, co wywołało falę krytyki ze strony organizacji rolniczych. Sprawa znalazła się na biurku rzecznika praw obywatelskich, który zapowiedział własną analizę, ale także nie podjął interwencji.

W Grodzisku zjawił się minister rolnictwa Czesław Siekierski. Stanął obok chlewni, poklepał Klukę po ramieniu i zapewnił, że „nie zostawi tej sprawy tak". Obiecał skargę nadzwyczajną do Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych SN, interwencję u RPO, a także rozpoczęcie prac legislacyjnych nad ustawą chroniącą rolników przed podobnymi przypadkami. Mówił o „rażącej niesprawiedliwości", o „karze za zapach chlewni", o „absurdzie nowoczesnego sądownictwa". Wypowiedź: „Nie może być tak, że ktoś, kto legalnie pracuje i produkuje żywność, jest karany za to, że śmierdzi. Wieś to nie salon. Chlewnia to nie muzeum" – obiegła media. I co? I nic. Skargi nie złożono, projektu ustawy brak. Minister sobie odszedł, Kluka został z fakturami.

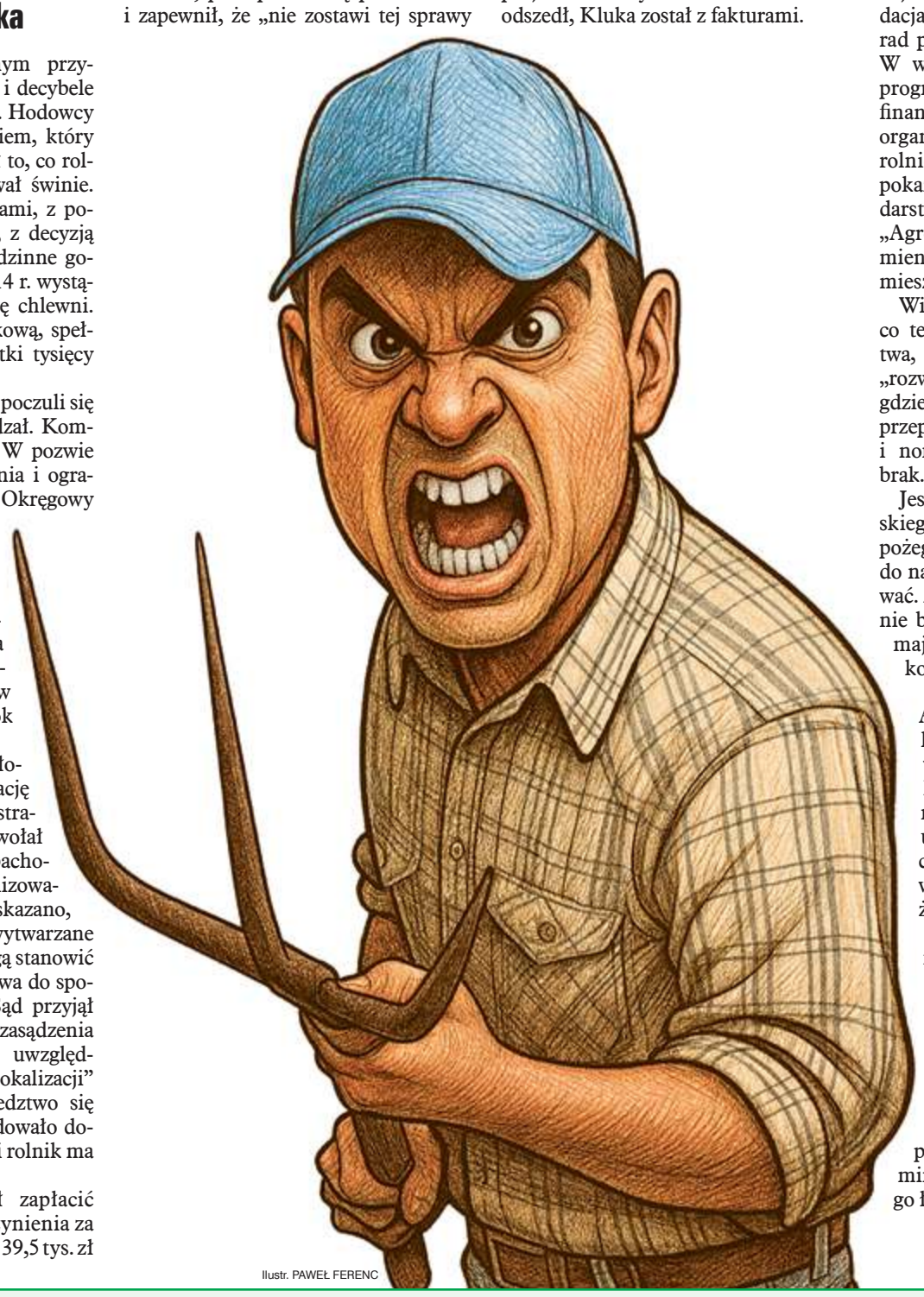

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Kochajmy się!

Ale nie tylko o Klukę chodzi. Donosów jest więcej. Na koguty, na krowy, na gnojówkę i sianokosy po godzinach. W niektórych gminach liczba interwencji wzrosła o kilkadziesiąt proc. Tylko w 2023 r. w gminie Zabierzów zanotowano 47 zgłoszeń o „uciążliwych odorach", a w podpoznańskich Komornikach – 61. W powiecie limanowskim doszło do 12 spraw sądowych z udziałem rolników oskarżonych o „zakłócanie porządku zapachowego".

Inspektorzy weterynarii, sanepidu i ochrony środowiska mają pełne ręce roboty. W woj. mazowieckim notuje się ponad 100 zawiadomień miesięcznie w okresie wiosenno-letnim. W wielu przypadkach zgłoszenia są anonimowe, trudne do zweryfikowania, ale uruchamiają formalną procedurę.

Rolnicy się organizują. Na Pomorzu stawiają tablice: „Uwaga, wjeżdżasz na wieś. Tu śmierdzi, hałasuje i się pracuje". W Wielkopolsce powstała Fundacja Wieś To Praca udzielająca porad prawnych w sporach z sąsiadami. W woj. kujawsko-pomorskim ruszył program „Dobry sąsiad" – samorządy finansują mediacje, wydają broszury, organizują warsztaty. W Małopolsce rolnicy nagrywają filmy edukacyjne pokazujące, czym jest praca w gospodarstwie. Na Śląsku pojawił się projekt „Agrotolerancja" promujący porozumienie i wzajemny szacunek między mieszkańcami.

Wiceminister Stefan Krajewski, ten co teraz został szefem resortu rolnictwa, mówił, że ministerstwo analizuje „rozwiązania niemieckie i francuskie", gdzie obowiązują strefy buforowe, przepisy o minimalnych odległościach i normy zapachowe. Ale konkretów brak. Nie ma dat, nie ma konsultacji.

Jest za to pismo. List. Od Siekierskiego tuż przed jego odwołaniem, pożegnalny. Do rolników, do sąsiadów, do narodu. O tym, że trzeba się szanować. Że żniwa to święto. Że dzieci mają nie biegać po miedzach. Że kierowcy mają zwalniać. I że powinniśmy się kochać.

Wieś już nie pachnie jak kiedyś. Ale smród bije nie z chlewni, tylko z bezradności. Wieś, która była wspólnotą, zamieniła się w pole konfliktu. Takiego, którego nie rozwiąże ani kodeks cywilny, ani ustawa odorowa, ani najlepsze chęci ministra. Bo tu nie chodzi o prawo – tu chodzi o styl życia. A stylu życia nie da się zunifikować.

Apele Siekierskiego o zdrowy rozsądek nie wystarczą, bo rozsądek jednego kończy się tam, gdzie zaczyna się wrażliwość drugiego. I to jest właśnie clou tego konfliktu: nie da się go rozwiązać ustawą, bo on jest emocjonalny, kulturowy, tożsamościowy. Żadne przepisy nie sprawią, że sąsiad pokocha zapach kiszonki. Żaden minister nie przywróci wsi jej dawnego ładu. Bo tej wsi już nie ma.

TADEUSZ JASIŃSKI

WIEŚCI **GMINNE** i INNE

▮ PKP Intercity bije rekordy frekwencji! W pierwszej połowie 2025 r. spółka przewiozła imponującą liczbę 40,4 mln pasażerów, osiągając historyczny wynik. Minister infrastruktury Dariusz Klimczak podkreślił, że przewoźnik codziennie uruchamiał 514 połączeń – o 60 więcej niż rok temu. Największy wzrost zaobserwowano na trasach Poznań–Szczecin (60 proc. więcej pasażerów), Kraków–Zakopane (59 proc.) oraz Warszawa–Białystok (34 proc.). Sukces Intercity jest niezaprzeczalny. Intrygujący pozostaje jednak szczególnie wysoki nadmiar podróżnych na trasie Kraków–Zakopane. Plotka głosi, że to efekt masowych pielgrzymek Krakowian w góry, gdzie poszukują duchowego przebudzenia, konfrontując się z kosmicznymi cenami herbaty w schroniskach i ogromnymi kolejkami na Giewont.

▮ Lekarze i farmaceuci postanowili wziąć sprawy w swoje ręce i pieniądze też. CBŚ ogłosiło, że zatrzymało 21 osób, które przez dwa lata wystawiały recepty na nieistniejących pacjentów. Efekt? 82 mln zł ukradzione z Narodowego Funduszu Zdrowia. Wszystko na legalu, z pieczątką i numerem PESEL wymyślonego chorego. Wystawiono 40 tys. recept. Część z nich dla ludzi, którzy nigdy się nie urodzili. Część dla tych, którzy być może istnieli, ale nie wiedzieli, że właśnie leczą się na coś refundowanego. Zabezpieczono mienie warte 2,5 mln zł: złoto, ekskluzywne zegarki i samochody, które nie powinny stać przed apteką w Kleczewie. Skoro wyłudzono 82 mln zł, a zabezpieczono 2,5 mln, gdzie jest reszta? A może – i tu teoria najbliższa logice – resztę wzięła policja albo prokuratura? W kraju, gdzie lekarze są złodziejami, wszystko jest możliwe.

Rys. WIDGET

▮ Dwóch młodych patriotów postanowiło w Głogowie „bronić kultury", rzucając się nocą z maczetą na właściciela kebaba. Ofiarą padł Banglijczyk mieszkający w Polsce od dziewięciu lat, który pracuje, płaci podatki i karmi ludzi. Napastnik z maczetą o centymetry nie „przeciął go na pół" – relacjonuje poszkodowany. Na odchodne wybito okna w barze, żeby nikt nie miał wątpliwości, że chodziło o coś więcej niż zły sos czosnkowy. Policja – jak zawsze zaskoczona – dotarła po czasie. Sprawców zatrzymano dwa dni później. Obaj mają po 21 lat i zarzuty za usiłowanie ciężkiego uszczerbku na zdrowiu, groźby karalne i dewastację.

▮ Nie jestem gołosłowny: dziewięciu osobom, w tym ośmiu funkcjonariuszom służby celno-skarbowej, prokuratura postawiła zarzuty udziału w zorganizowanej grupie przestępczej przemycającej fajki z Białorusi. Papierosy przekraczały granicę w Bobrownikach w sposób zupełnie niezauważalny – głównie dlatego, że strażnicy graniczni stali obok i niewidzenie mieli opłacone. Celnikom wpłynęło ponad 4,8 mln zł łapówek. Przemycono niemal 30 mln paczek fajek, co kosztowało budżet państwa prawie 498 mln zł (VAT + akcyza). W tej sytuacji trudno się dziwić, że państwo nie ma na szkoły, ale za to mamy dym. Śledczy zablokowali majątek za 3 mln zł – czyli niecały procent straty. Jak by nie patrzeć – sukces operacyjny. Z drugiej strony, przy ponad 100-procentowym narzucie z tytułu podatków na papierosa, człowieka może dusić już sama myśl o akcyzie. Nawet jeśli nie pali.

▮ Ale to jeszcze nie koniec. Aspirant Dariusz G., pełniący przez lata funkcję rzecznika Komendy Powiatowej Policji w Kluczborku, został zatrzymany przez Biuro Spraw Wewnętrznych Policji za posiadanie narkotyków. Trwa procedura dyscyplinarnego usunięcia ze służby. Problem narkotyków wśród funkcjonariuszy przybiera na sile. – To poważne wyzwanie dla ich przełożonych – komentuje Marek Biernacki, były minister spraw wewnętrznych. Lekarze kradną, celnicy przemycają, a policja na haju. Pocieszające, że choć straż miejska zachowuje moralny kręgosłup.

▮ W Sosnowcu policja zastrzeliła agresywnego osobnika. Facet rzucił się na funkcjonariuszy z maczetą, więc odpowiedzieli ogniem. Trzy celne strzały i po sprawie. Szkoda tylko amunicji. A może by tak pójść dalej? Uzbroić policję w maczety? To byłby wprawdzie po-

eprasa.pl bf69553f1f

Bo burmistrz brzmi lepiej od wójta

Kraina tysiąca miast

dawał on mieszczanom niezależność od lokalnego wielmoży i szansę na garnięcie pieniędzy choćby poprzez posiadanie targowiska. Dziś prawa miejskie nie dają nic. No może poza prestiżem i zaspokojeniem sentymentów mieszkańców, ale nade wszystko lokalnej władzy.

Polska Rzeczpospolita Ludowa zwykła się chwalić, jak to dzięki migracji wewnętrznej z kraju rolniczo-przemysłowego staliśmy się 10. potęgą przemysłowo-rolniczą. Lubowano się wtedy w przytaczaniu statystyki dowodzącej, że liczba miastowych błyskawicznie rośnie.

Wraz ze śmiercią komuny to się nie skończyło. Miastowych przybywa, wieśniactwa zaś ubywa. Mimo, że w internecie co krok pojawiają się enuncjacje o ludziach szczęśliwie przeniesionych z metropolii do realiów sielsko-anielskich. Tacy nowi wieśniacy nie przenoszą się na wieś, żeby być hodowcami bydła czy plantatorami rzepaku. Wynoszą się z reguły nie na zapadłe wsie, ale na tereny wiejskie otaczające wielkie miasta. I nie żal im, że ich dzieci mogą opowiadać, że są ze wsi. Statystyka jest jednak nieubłagana i wszystkie takie przypadki są dla niej nieistotnym marginesem.

W tak pięknych okolicznościach miejskości

Żeby w Polsce być miastowym, ma się do wyboru ponad 1020 metropolii. I z każdym rokiem wygląda to lepiej. Skończyły się złe czasy PO–PSL kiedy to w latach 2012–2013, nie przybyło Rzeczypospolitej żadne miasto. Dzięki PiS obrodziło w kilkadziesiąt miast. A najnowsza władza kontynuuje ten trend. Od stycznia miastami będzie więc kolejnych pięć miejscowości.

Prawa miejskie nadaje rząd. I to na podstawie ustawy. Ta zaś zakłada, że aby być miastem, należy mieć kanalizację i wodociąg. Niezbędna jest też zabudowa miejska. Czyli ulice, chodniki i budynek koło budynku. Z wyjątkiem „zabudowy typu zagrodowej", bo jak taka się trafi, to wniosek wsi o bycie metropolią trafi do kosza.

Ale to nie koniec. Miejscowość kandydująca do miana miasta powinna być siedzibą władz gminy i mieć odpowiednią liczbę mieszkańców. Zdaniem rządu odpowiedniość to minimum 1 tys. zameldowanych na pobyt stały. No i dwie trzecie ma się utrzymywać ze źródeł pozarolniczych.

Wieś aspirująca musi też ponieść koszty. Raz to opłacić geodetę, żeby strzelił mapki z granicami przyszłego miasta, raz to wywalić publiczny pieniądz na lokalne referendum, w którym wieśniacy mają zdecydować, czy mają do końca życia mówić, że są ze wsi, czy wolą stać się mieszczanami.

Pewnie nikogo nie zdziwi, że w takich referendach z reguły frekwencja jest rekordowa, a procent głosujących za miejskością porównywalny z wyborczymi wynikami Łukaszenki.

To jednak nie koniec papierologii. Do wniosku trzeba dołączyć książkę zawierającą odpowiednie dokumenty. I ktoś musi to opracować i napisać. Albo w ramach obowiązków urzędniczych – czyli rzadko, albo za dodatkową kasę w formie umowy o dzieło – z budżetu gminy. Trzeba przecież naszkicować rys historyczny miejscowości objętej wnioskiem. Załączyć informację dotyczącą zabytków architektonicznych, kulturowych i wyznaniowych. Określić charakter i stan techniczny, a nawet udowodnić, że powołanie miasta nie powoduje zaburzeń i zapewni gminie „jednorodność ze względu na układ osadniczy i przestrzenny uwzględniający więzi społeczne, gospodarcze i kulturowe oraz zapewniający zdolność wykonywania zadań publicznych.

No i najważniejsze. Do tego wszystkiego trzeba koniecznie mieć ekspertyzę historyczną, z której wynika, że wieś miała kiedyś status miasta. I najlepiej gdyby go straciła w wyniku represji carskich po powstaniu styczniowym. Jak się miało pecha nie być w zaborze rosyjskim, to wypada poujadać na PRL, bo a nuż po przejęciu jakiejś miejscowości, która w Niemczech była miastem, komuniści pokarali mieszkańców, przypisując im wiejskość?

Pokorne miasto ssie

Jak już wszystkie kwity są gotowe, należy je złożyć na ręce wojewody. Ten, po zapoznaniu się jego urzędników z dokumentacją, decyduje, czy cała robota ląduje w koszu, czy jedzie do Warszawy. I dlatego składające wnioski o miejskość wsie robią wszystko, aby wojewodzie się przypodobać. To zaś jest proste. Wystarczy zorganizować jedną czy drugą wojewódzką nasiadówkę za gminne pieniądze, zaprosić na swój koszt wojewodę do parodniowego wizytowania przyszłego miasta albo zatrudnić kogoś bliskiego rządowemu przedstawicielowi w terenie, pociotka na dobrej fusze w spółce należącej do aspirującej do miejskości gminy.

Ci, którym udało się w ostatnich latach wybić na metropolię, zwracają – choć rzecz jasna anonimowo – uwagę na pominięcie robienia dobrze wojewodzie, ale tylko w przypadku, gdy się ma zaprzyjaźnionego posła partii aktualnie rządzącej.

Bo lobbing poselski jest tu najważniejszy. Jak się go ma, to można być liczącą 503 mieszkańców Wiślicą, z liczbą pracujących poza rolą o dwie osoby większą, niż wymaga ustawa, i na status miasta się załapać. Można też przegrać referendum gminne jak w Urzędowie i prawa miejskie mieć.

Albo być Chełmcem – liczyć sobie niemal 3,5 tys. mieszkańców, z których ponad 90 proc. nie ma nic wspólnego z rolnictwem i zostać wsią, bo jakiś urzędas zakwestionował „rzetelność przeprowadzenia konsultacji społecznych".

Najśmieszniejsze w tym wszystkim jest to, że przywilej nadawania praw miejskich jest bodaj jedynym obok prezydenckiego prawa łaski przepisem prawnym żywcem przeniesionym ze średniowiecza. Tyle że wtedy

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Bo przecież wójt staje się burmistrzem, a radni rajcami. Gdyby jednak spytać o to umiastowionego parę lat temu mieszkańca Radoszyc, to zacząłby się śmiać. Dla niego nic się nie zmieniło. Ale już dla urzędników tak. Dzięki debilnym przepisom nowym miastom łatwiej teraz odrolniać grunty. A nade wszystko mogą startować po unijne dotacje z wymyślonej przez urzędników z Warszawy puli pieniędzy przeznaczonej dla miast. W innych krajach unijnych nie ma bowiem podziału dotacji na dofinansowania chodników, infrastruktury tej czy innej w zależności od wydumanego statusu miejscowości. U nas wręcz przeciwnie. Gminy wiejskie aspirują do pieniędzy dla wsi, a miejskie dla miast. I dlatego wójtom zależy na fusze burmistrza, bo teraz ciągną z obu źródeł. Ponieważ nie mają więcej niż 5 tys. mieszkańców – należą im się środki przeznaczone dla terenów wiejskich, a z racji bycia miastem – dla miast.

Kiedyś leżące opodal wielkich miast miejscowości starały się o zostanie miastami, bo to miało je chronić przed zostaniem kolejną dzielnicą takiej metropolii. Ale od czasu jak miasta takie jak Rembertów, Wesoła czy Ursus stały się dzielnicami, okazało się, że posiadanie praw miejskich przed połknięciem nie zabezpiecza.

Starożreby metropolitalne

Ktoś w PiS wpadł kiedyś na pomysł, że na 100 lecie niepodległości można jedną prostą ustawą przyznać prawa miejskie 100 chętnym miejscowościom. I to bez żadnych korowodów biurokratycznych. Wystarczyć miał sam – jako tako uzasadniony – wniosek. Sprawa umarła po paru nasiadówkach wśród posłów. Weto postawił resort rolnictwa. Z bardzo prostym uzasadnieniem. Zbyt wiele ziemi, na skutek znalezienia się w obrębie miast, wypadłoby spod kontroli urzędników agencji nieruchomości. A po drugie, doszłoby też do braku nadzoru nad częścią sterowanych ręcznie przez PiS środków unijnych. A jak wiadomo, brak nadzoru czy kontroli to brak władzy.

Dokładnie to samo motywowało niegdyś ludzi z PSL do nienadawania praw miejskich. Teraz jednak nawet w PSL coś się zmieniło. I dlatego już za chwileczkę miastami staną się takie metropolie z mazowieckiego jak Stanisławów w powiecie mińskim, Małkinia Górna z okolic Ostrowi Mazowieckiej i leżące w pobliżu Płocka Starożreby. Mieszczanami będą mogli zwać się też ludzie z Janowa Podlaskiego, Branic z Opolszczyzny, a nawet zamieszkanego przez tysiąc osób Janowa z powiatu częstochowskiego. Wszyscy oni podniosą statystykę postępującej w Polsce urbanizacji.

TOMASZ BOROWIECKI

wrót do średniowiecza, ale za to skuteczny. Śmiertelność wśród napastników na pewno by spadła. Bo kto by się odważył rzucić z maczetą na kolesia, który też ma maczetę? Poza tym maczety u pasów policjantów budziłyby respekt. Pistolet w kaburze to codzienność. Ale maczeta?!

▮ 64-letni mężczyzna z powiatu radziejowskiego zginął w miejscowości Sędzin (woj. kujawsko-pomorskie) po tym, jak jego motoparalotnia zahaczyła o drzewa i spadła na teren cmentarza. Sprawą zajmuje się Państwowa Komisja Badania Wypadków Lotniczych. Jak mi ongiś tłumaczono, w idealnym świecie ludzie umierać chodziliby na cmentarz. Powoli, z godnością, o własnych siłach. A nie przylatywali z hukiem silnika na wysokooktanowe paliwo przez korony drzew, kurwa mać!

▮ Miłość bywa ślepa, głucha i… telefoniczna. 20-letnia mieszkanka Warszawy zakochała się w strażakach. Postanowiła przyciągnąć ich uwagę, dzwoniąc na numer alarmowy. 60 razy! Pożary, zagrożenia, katastrofy… Wszystko wymyślone. Ale za to skuteczne. Strażacy przyjeżdżali, syreny wyły, koguty migotały. Młoda dama patrzyła i wzdychała. Niestety, jej miłość nie została odwzajemniona. Zamiast księcia z sikawką pojawiła się w końcu policja. Zamiast romantycznej randki, grozi jej osiem lat paki.

▮ 61-latek z Mazowsza przez 24 lata ukrywał się przed wymiarem sprawiedliwości, żeby uniknąć dwóch tygodni więzienia za niepłacenie alimentów. Zmieniał tożsamości, miejsca zamieszkania, funkcjonował jak człowiek widmo. Zatrzymała go policja z Piaseczna. – Zrobił naprawdę dużo jak na tak małą karę – przyznała rzeczniczka policji. Faktycznie, na tle polskiego systemu sądownictwa – niemal bohater epopei. Morał? W Polsce możesz znikać na dekady, ale pamiętaj: państwo cię nie zapomni. Nawet jeśli ty zapomnisz, za co cię szukają.

Rys. WIDGET

▮ Z danych GUS wynika, że Polacy żyją coraz dłużej. Mężczyźni przeciętnie 74,93 roku, kobiety 82,26. To najwyższy wynik w historii. Gratulacje – emerytur nie będzie, ale przynajmniej pożyjemy sobie trochę dłużej w tej radości. Głównymi przyczynami zgonów są zawały, nowotwory i oddychanie w polskich miastach. Mimo to po pandemicznym dołku wróciliśmy do trendu wzrostowego, co wspaniale wpłynie na ZUS – oczywiście w sensie głębokiej paniki. GUS przypomina, że te dane są używane do obliczania emerytur. Więc jeśli zastanawiasz się, dlaczego twoje świadczenie jest niższe – to właśnie dlatego, że żyjesz za długo.

▮ Polska Grupa Górnicza podsumowała 2024 r. z przytupem – 3,6 mld zł straty. Przychody w dół o 6,4 mld zł, sprzedaż węgla w dół o 3,4 mln ton, a ceny poleciały aż o 31,6 proc. W efekcie mamy 13,7 mln ton czarnego złota zalegającego w magazynach. Winni? Oczywiście górnicy. Pracują za dużo, za wydajnie i jeszcze mają czelność brać pensje. Do tego zima, która zamiast mrozić jak Syberia, wolała sobie pójść na urlop. No i wiadomo – Putin, patron wszystkiego, co w Polsce nie działa. Każdy rząd chciałby mieć takiego Putina.

▮ Polski Czerwony Krzyż zwija żagle, a raczej kontenery. Polacy okazali się zbyt hojni, wrzucając do nich wszystko, co im w szafach zalegało – od dziurawych skarpetek po znoszone gacie. Efekt? Zamiast zysków same koszty utylizacji. Firma Wtórpol (obsługująca PCK) też machnęła ręką, bo nowe przepisy sprawiły, że biznes przestał się opłacać. Kontenery znikają z ulic, a PCK zastanawia się, co dalej. Może zbiórka makulatury?

▮ Starsza córka Marty Kaczyńskiej, prezydentówny z rodowodu i przypadku, Ewa Dubieniecka, zrobiła to, o czym marzy tylu Polaków: uciekła jak najdalej stąd. Konkretnie: do Korei Południowej. Tam studiuje, żyje i – co dla niektórych może być wręcz obrazoburcze – wygląda zupełnie normalnie. Na zdjęciach widzimy zjawiskową 22-latkę, która ubiera się z klasą, promienieje szczęściem i nie wygląda, jakby czekała na etat w Ordo Iuris czy w jakiejś strategicznej spółce skarbu państwa. Plotkarskie portale z ulgą podkreślają, że Ewa „nie jest podobna do rodziny". I być może to właśnie najpiękniejszy komplement, jaki mogła usłyszeć. Dziadek przewraca się w grobie tak głośno, że aż Wawel skrzypi.

▮ Jak doniósł dziennik „Fakt", w lasach pojawiły się grzyby. Ale w mroku czają się kleszcze gotowe wysysać krew. W gęstwinie przemykają wilki, których ślepia jarzą się jak węgle. Głębiej, między pniami, szamoczą się niedźwiedzie, a dziki ryją w ziemi jak demony. Z góry zwisają pająki, cierpliwe i głodne. Wiewiórki ostrzą zęby. Las kusi grzybem, ale to nie grzyb wybierze was. To wy musicie wybrać. Wybierzcie mądrze.

RJ

PS Z pokorą serca, w duchu roztropności i z bojaźnią przed prawdą niepełną lub wypaczoną, publikujemy powyższe informacje. Czynimy to nie bez lęku i nieśmiałości, wiedząc, że słowo drukowane, choć bywa światłem, może też być cieniem, zwłaszcza gdy wypływa z periodyków wiejskich, gminnych czy powiatowych, gdzie łatwo o przeinaczenie, uproszczenie lub niezamierzoną niedokładność. Niech więc Czytelnik, pragnący dojść do poznania istoty rzeczy, zachowa w sercu zdrową ostrożność i niech pamięta, że „wszystko badajcie, a co szlachetne – zachowujcie" (1 Tes 5,21).

eprasa.pl bf69553f1f

Gdyby istniały lękowe mistrzostwa świata, mielibyśmy szanse na podium

Strachu naszego powszedniego

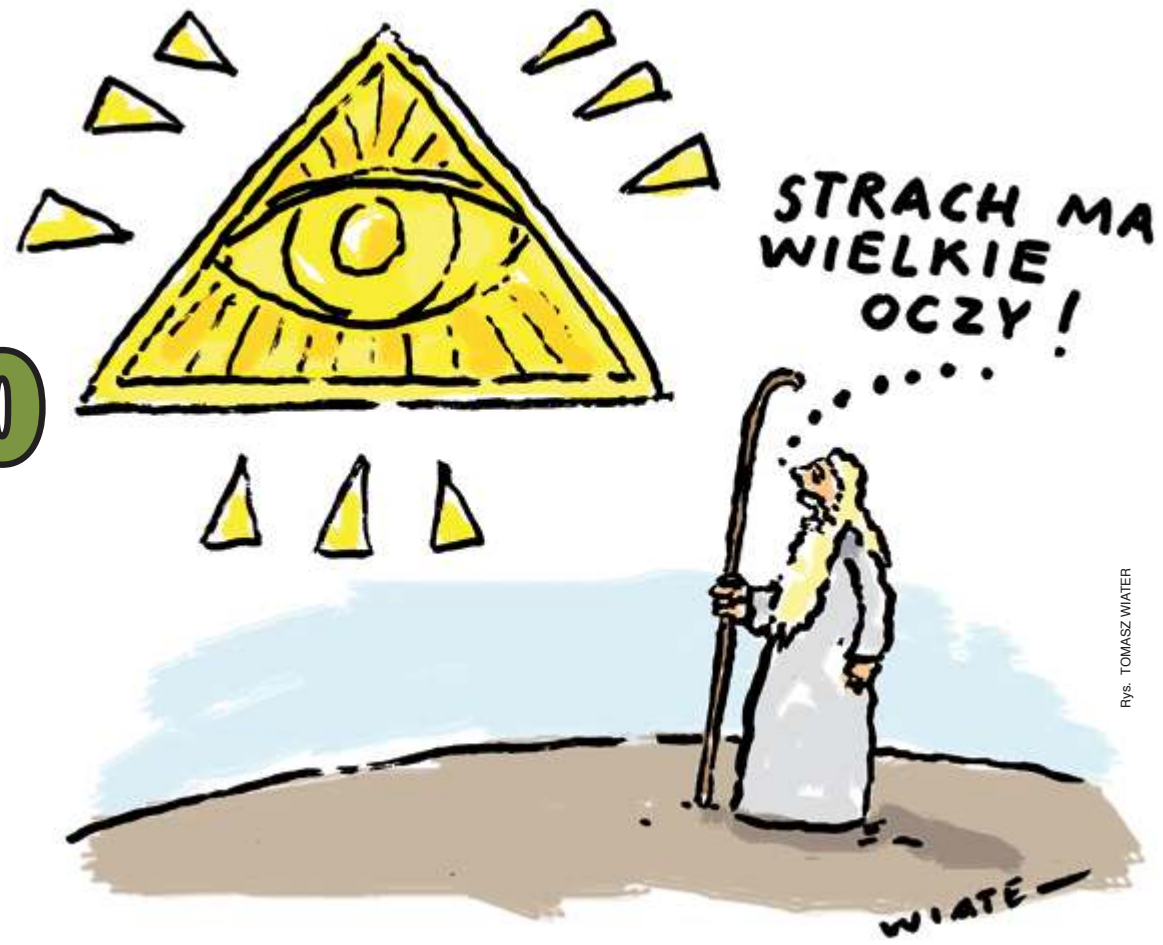

Rys. TOMASZ WIATER

W Polsce roku 2025 strach stał się obowiązkowy. Polacy boją się tego, czym się ich przestrasza. Politycy i media społecznościowe wyhodowały naród ignoranckich mimóz, który drży na dźwięk słów, nie faktów. Strach stał się dla polityków, mediów i nawet koncernów bronią – wygodną, tanią i niezawodną.

Psst, wróg czuwa!

W zeszłym roku Warszawa wprowadziła do swojej floty 18 elektrycznych chińskich autobusów. Pierwsze testy wypadły pomyślnie, były sukcesy – aż tu nagle alarm. „Chińskie autobusy zaczynają budzić niepokój (…) mogą stanowić zagrożenie wywiadowcze” – głosi interpelacja radnego PiS. Wskazano, że autobusy Yutong mogą być zdalnie wyłączane, a dane przez nie zdobywane – wykorzystywane do szpiegowania. Rzecznik stolicy oświadczył, że „zakres zgłoszonych zastrzeżeń przekracza możliwości samorządu” i skoro sprawa trafiła do MSWiA, to ktoś musiał widzieć w tym zagrożenie.

Związek Miast Polskich poszedł dalej i uznał, że chiński autobus elektryczny w czasie kryzysu nie pojedzie, bo zostanie zdalnie wyłączony. Pojazdy mogą więc zniknąć z miasta raz dwa. Nie dlatego, że są wadliwe, tylko dlatego, że ktoś się przestraszył, że chiński producent to komunistyczny agent. Ale strach sam w sobie sprowadza nieprawdziwe obawy, które łatwo eskalować.

Onet codziennie serwuje alarmy. Tytuły krzyczą: „Niepozorna chrypka może być rakiem krtani”, „Ten rak jest najgorszy – przeżywa tylko 11 proc.”, albo takie: „W pracy źle się poczuł. Wieczorem usłyszał, że to guz mózgu”, „Takie stolce to objaw raka trzustki. Pojawiają się niemal zawsze”. Medonet dorzuca swoje: „32-latka usłyszała: masz raka”, „Ta mała plamka okazała się nowotworem”. I tak codziennie po kilka razy. Gdy każda drobna dolegliwość staje się rakiem, portale nie ostrzegają, one straszą. Profilaktyka zamienia się w histerię. A to, co powinno edukować, demoralizuje przez nadmiar dramatyzmu.

Skutek? Boimy się wszystkiego – od autobusów po każdy kaszel. Ale nie dlatego, że to realne zagrożenie. Boimy się, bo ktoś nas tak nastraszył. Politycy straszą obcym, lekarze – czym się da, a media to podkręcają. I nim się zorientujemy, już drżymy.

Czego się boisz, głupia?

Ponad sześciu na dziesięciu obywateli odpowiada, że myśl o nadchodzących 12 miesiącach budzi w nich lęk. Pierwsze miejsce na podium narodowych trwóg nie zmienia się od miesięcy – to wojna. A dokładnie: bezpośrednie wciągnięcie Polski w konflikt zbrojny oraz eskalacja walk na wschodzie Europy. Obie te obawy wskazało 51,6 proc. Polaków. Druga połowa – a czasem i ta sama – lęka się inflacji, drożyzny, niestabilności rynku pracy. Pogorszenia sytuacji finansowej boi się 29 proc. badanych. Niżej plasuje się ochrona zdrowia – 23,1 proc. wskazań – oraz strach przed dezinformacją, która według 22,3 proc. respondentów zatruwa już nie tylko media, ale i zdrowy rozsądek.

Czy to są racjonalne lęki? W jakimś sensie – tak. Ale bardziej niż realność zagrożeń uderza w nich powtarzalność. To, co od lat serwują nam wiadomości, wypowiedzi polityków i eksperckie strachy dnia codziennego, skutkuje zbiorowym strachem. Boimy się nie tego, co się dzieje, tylko tego, co zostało opowiedziane.

Politycy to czują. Dlatego, zamiast mówić o prawach kobiet, skupiają się na bezpieczeństwie. Zamiast aborcji – rakiety. Zamiast zdrowia – obrona terytorialna. To, co wybrzmiewa z sejmowej mównicy, jest nie tyle reakcją na lęki społeczne, co próbą ich formatowania. Bo kto się boi, ten się nie czepia.

Rośnie więc przekonanie, że Polsce zagraża zewnętrzny wróg. Aż 63,3 proc. pytanych uważa, że jakieś państwo – wiadomo które – stanowi zagrożenie dla istnienia Rzeczypospolitej. To wzrost o ponad 7 punktów procentowych w porównaniu z rokiem ubiegłym. Rosja nie musi zatem przysyłać sabotażystów – wystarczy, że tli się w naszych głowach jako nieuchronna katastrofa.

Rys. WIDGET

Najsmutniejsze jednak, że w miarę jak rośnie poczucie zagrożenia, maleje skłonność do wspólnotowego działania. W sytuacji ataku na kraj 21,3 proc. respondentów planuje ucieczkę za granicę. 15,4 proc. wyjechałoby z bliskimi w bezpieczne miejsce w Polsce. Aż 36,7 proc. szukałoby ratunku w formie jakiejkolwiek ewakuacji. Tylko 21,8 proc. deklaruje udział w formacjach wojskowych lub sanitarnych – jeszcze rok temu było ich 30,1 proc. Siedem proc. pytanych mówi wprost: nie zrobiłbym nic.

Zaufanie do ludzi? Niczym w czasie wojny. Tylko 21 proc. Polaków uważa, że większości ludzi można ufać. Trzy czwarte społeczeństwa mówi: ostrożność przede wszystkim. Nawet sąsiadowi pomóc w razie agresji nie każdy chce – choć nadal 73,3 proc. deklaruje gotowość do takiego wsparcia, to spadek o blisko 6 punktów procentowych.

Lęk zabija solidarność. Rośnie liczba tych, którzy nie chcą dzielić się odpowiedzialnością, lecz tylko apatią. Coraz bardziej skupiamy się na indywidualnych strategiach przetrwania. Każdy z osobna zabezpiecza majątek, każdy myśli o swoim bezpieczeństwie. Społeczeństwo przestaje być wspólnotą – staje się zbiorem samotnych jednostek chroniących siebie.

Ale przecież nie wszystko jest wytworem wyobraźni. Nikt nie musi wmawiać, że ceny rosną, że dostęp do lekarza jest coraz trudniejszy, że chaos informacyjny zalewa nas ze wszystkich stron. Tu lęk znajduje swoje uzasadnienie. Tu strach nie jest efektem kampanii, ale skutkiem przeżyć.

I może właśnie to połączenie: propagandowego lęku i realnego niepokoju – jest dziś największym zagrożeniem. Nie wojna. Nie inflacja. Nie dezinformacja. Tylko to, że nie wiemy już, czego się bać bardziej.

Strachy młodości

U młodych Polaków mających od 18 do 30 lat jest podobnie, choć strachy są z innej beczki. CBOS zapytało ich o męskość i kobiecość – zaczęły się schody. Tylko 45 proc. wskazało, że są „w pełni mężczyzną” lub „w pełni kobietą”. Co piąty młody mężczyzna poczuł, że jest bardziej kobiecy niż męski. Jedna na 20 kobiet wskazała odwrotnie. Aż 11 proc. respondentów nie było w stanie przyporządkować się do żadnej z kategorii. Wbrew pozorom nie chodzi tu o żadną rewolucję – to raczej powolna erozja. Tożsamość nie tyle się rozpada, co ucieka w dygresje.

Bo skoro męskość ma polegać na przepuszczaniu kobiet w drzwiach – to 88 proc. mówi: zgoda. Jeśli trzeba za kobietę zapłacić na randce – 61 proc. kiwa głowami. Prowadzenie samochodu? Proszę bardzo – 81 proc. gotowych. Ale płakać? Już bez skrępowania 69 proc. uważa, że to jak najbardziej na miejscu. Młodzi mężczyźni chcą być i twardzi, i czuli, i silni, i delikatni. Wszystko naraz. Ale w efekcie często są… nikim.

Po drugiej stronie stoją kobiety. One też wiedzą, że „ładna i zadbana” to przymiotnik społecznie oczekiwany – 70 proc. to przyznaje. Ale już tylko 47 proc. akceptuje, że kobieta powinna mieć mało partnerów seksualnych. A aż 72 proc. nie chce być zobowiązana do opieki nad dziećmi, 58 proc. nie czuje się w obowiązku gotować dla rodziny. One też wychodzą z ról. Tylko że nie bardzo mają dokąd.

Tyle że ról nie zastąpiono żadną wspólną narracją. I w tym właśnie kryje się źródło lęku. Wszyscy mają dostęp do każdego wzorca, ale żaden nie daje ukojenia. Dla jednych feminizm stał się kompasem, dla innych memem. Dla jednych konserwatyzm to kotwica, dla innych – klatka.

Efekt? W związkach zamęt. 44 proc. młodych ludzi nie jest w żadnym. W grupie 18–24 lata co trzeci nie uprawiał seksu przez ostatni rok. Ośmiu na stu – nigdy. Seksualna nieaktywność wśród prawicowych chłopaków sięga 40 proc. Wśród lewicowych dziewczyn – 34. To nie jest już tylko brak fizycznego kontaktu. To powszechna izolacja uczuciowa sprzedawana pod etykietą „samowystarczalności”. Ale w głębi duszy – samotność, frustracja, smutek.

Nie przeszkadza to jednak deklarować, że mają przyjaciół. I rzeczywiście: tylko 10 proc. przyznaje, że ma jednego lub żadnego. Większość spotyka się ze znajomymi przynajmniej kilka razy w miesiącu. I to nie tylko online. Tyle że to życie towarzyskie często kończy się za drzwiami klatki schodowej. A po powrocie do siebie znów wraca echo własnych wątpliwości.

Z czego one wynikają? Z lęku. Ale nie tego podstawowego: przed biedą, wojną, chorobą. Ten też oczywiście istnieje – młodzi boją się migrantów z Bliskiego Wschodu i rosyjskiej agresji. Ale najgłębszy strach noszą w sobie. Przed tym, kim są albo kim nie są. Przed niewłaściwą płcią. Niewłaściwą orientacją. Niewłaściwym słowem. Niewłaściwym partnerem. Niewłaściwą liczbą partnerów.

To nie przypadek. To starannie wyhodowany dyskomfort. Bo od lat słyszą, że trzeba być kimś. Ale dokładnie kim – nikt już nie umie powiedzieć. Politycy podpowiadają wzorce męskości, których nie wypełniają nawet oni sami. Media społecznościowe podsuwają tysiące ról, które znikają po 24 godzinach. Młodzi błąkają się po świecie pełnym znaków zapytania. Bez mapy.

A przecież chcą tylko rodziny, zdrowia, uczciwości i spokoju. Tak mówią. I może właśnie dlatego boją się najbardziej nie tego, co ich czeka, ale tego, co zrobiono z ich teraźniejszością. Bo lęk młodych bierze się z nadmiaru. I z braku zgody na ten nadmiar.

Folia biało-czerwona

Lęk stał się naszym dobrem narodowym. Wysokooktanowy, dobrze wypromowany, powtarzany w nieskończoność. Boimy się wszystkiego – migrantów, szczepionek, naukowców, dinozaurów, klimatu i tego, że ktoś kiedyś miałby nas zmusić do myślenia. Bo Polacy, jak mało który naród w Europie, uwierzyli w bzdury.

64 proc. społeczeństwa uważa, że nielegalni migranci to zagrożenie. Nie dlatego, że ktoś ich spotkał, że ich napadli, że coś zrobili. Tymczasem eksperci jasno i wielokrotnie podkreślają: cudzoziemcy pracują, płacą podatki, wspierają rynek pracy, bez nich nie działałoby wiele sektorów gospodarki. Ale ta prawda przegrywa z przekazem z baneru, z migawką z wiecu, z komentarzem pod postem.

Połowa Polaków wierzy, że wirusy są produkowane w rządowych laboratoriach, by odbierać wolność. Tyle samo – że zmiany klimatyczne nie mają nic wspólnego z działalnością człowieka. Aż 40 proc. nie uznaje teorii ewolucji, a 32 proc. twierdzi, że ludzie żyli razem z dinozaurami. Więcej – ponad połowa z nas jest przekonana, że lasery działają dzięki skupianiu fal dźwiękowych.

Z każdym kolejnym raportem Polska wspina się na niechlubne szczyty w dziedzinie naukowej ignorancji. 54 proc. obywateli deklaruje, że nauka nie ma wpływu na ich codzienne życie albo że jest im niepotrzebna. W tej kategorii zajmujemy drugie miejsce w Europie. Pierwsze? Wierzenie w dźwiękowe lasery – tutaj nikt nam nie dorównał.

Wierzymy w teorie spiskowe, bo są prostsze. Wierzymy w bzdury, bo są emocjonalne. Prawda wymaga czytania, krytycznego myślenia, zrozumienia złożoności. A przecież łatwiej kliknąć, przesłać, powtórzyć. Prawda to praca. Kłamstwo to mem.

Dlaczego ten lęk tak łatwo się w nas zakorzenia? Bo brakuje nam fundamentów wiedzy. Bo szkoła przestała uczyć rozumienia, a zaczęła przygotowywać do testów. Bo media społecznościowe uznały, że więcej kliknięć da fejk niż fakt. Bo politycy karmią się naszym strachem i na nim budują swoją pozycję.

Przestaliśmy ufać lekarzom, ekspertom, badaczom. Nawet część tych z dyplomami zaczyna powtarzać brednie, które miażdżą ich własne wykształcenie. Bo przecież „oni coś ukrywają”. Bo „to się nie zgadza z moim światopoglądem”. Bo „ja mam prawo do własnej prawdy”. Otóż nie. Nie ma prawa do prawdy prywatnej, jeśli przeczy ona faktom.

Najgorsze jest jednak to, że nasz lęk jest w dużej mierze wyimaginowany. Nie jest odpowiedzią na realne zagrożenie – jest wynikiem braku wiedzy o tym, co naprawdę jest zagrożeniem. Nie boimy się wojny, bo rozumiemy jej konsekwencje. Boimy się migrantów, bo ktoś pokazał nam ich zdjęcie z nożem w dłoni. Nie boimy się zmian klimatu, bo ich nie widzimy. Ale boimy się szczepionek, bo ktoś napisał, że „mają chipy”.

Polska się boi. Nie dlatego, że wie. Bo lepiej się bać, niż przyznać, że się nie myśli.

TADEUSZ JASIŃSKI

eprasa.pl bf69553f1f

Kiedy państwo jest słabe, kowboje grasują

Pseudosłużby

Nie od dzisiaj wiadomo, że nieudolność czy opieszałość państwa w danych obszarach napędza mobilizację obywatelską. Dzięki takiej mobilizacji tysiące kobiet w Polsce mogą dokonywać bezpiecznej aborcji, otrzymując pomoc od organizacji takich jak Aborcyjny Dream Team, a bezdomne, schorowane zwierzęta znajdują dach nad głową w domach tymczasowych czy fundacjach w rodzaju warszawskiej Koterii. Polskie społeczeństwo obywatelskie notorycznie wyręcza państwo w jego obowiązkach – w tym tych wpisanych w naszą konstytucję – a często musi nawet chronić obywatela przed owym państwem i jego organami.

Niestety indolencja państwa, zwłaszcza w obszarze wykrywania i sankcjonowania niektórych przestępstw, coraz częściej sprzyja również organizacjom, które pochodzą mentalnie z Dzikiego Zachodu. Owe siły, jak przystało na szeryfów, mają tendencję do przywdziewania rozmaitych mundurów, co pozwala im na nadużycia – adresaci ich działań bardzo często nie orientują się, że nie mają do czynienia z legalnymi państwowymi służbami i że umundurowane osoby mają zero uprawnień. Takimi przypadkami są ECPU (Elite Cybersecurity Patrol Unit Polska – Pedophile Hunters) oraz DIOZ (Dolnośląski Inspektorat Ochrony Zwierząt). Ci pierwsi pragną chronić dzieci przed grasującymi w sieci pedofilami, ci drudzy – zwierzęta przed ich oprawcami. Prawda jest niestety taka, że często to przed nimi trzeba się chronić.

Rys. GRZEGORZ SOBCZAK

Inspektorzy

Dolnośląski Inspektorat Ochrony Zwierząt – mimo nazwy sugerującej status oficjalny – jest inicjatywą stuprocentowo oddolną. Swoją działalność organizacja rozpoczęła koło dekady temu. Jej celem miało być odbieranie właścicielom zwierząt zaniedbywanych i źle traktowanych, zapewnianie im odpowiedniej opieki weterynaryjnej i przejściowego schronienia, a finalnie – znajdowanie im nowego bezpiecznego domu. Z biegiem lat DIOZ coraz bardziej się rozrastał. Niedawno przystąpił do powolnego wykupu i przejmowania owianego złą sławą ośrodka w Wojtyszkach, nazywanego przez wielu obozem koncentracyjnym dla psów.

Praktycznie od początku wykonywania swojej misji DIOZ jest niezwykle aktywny na social mediach – przede wszystkim na Facebooku i Instagramie. Tam publikowane są materiały z interwencji – na których wszyscy interweniujący są odziani w mundury – a także zdjęcia oraz filmiki przedstawiające tragiczny stan przejętych przez organizację zwierząt i dokumentujące ich powrót do zdrowia po tym, jak trafiły do ośrodka. Za szczególnym upodobaniem prezentowane są otwarte rany czy zwyrodnienia na ciałach zwierząt, chorobliwe wychudzenie, skaczące po nich pasożyty. Twarzami DIOZ – i osobami, które najczęściej widzimy w publikowanych postach – są Eryk Złoty i Konrad Kuźmiński.

Po tym pobieżnym opisie można by dojść do wniosku, iż mamy do czynienia ze słuszną i piękną inicjatywą – o czym świadczą zresztą sumy datków płynących od wdzięcznych obserwatorów. Sama byłam jednym z nim i przez całe lata uważałam DIOZ za fantastyczną organizację. Jednak im dalej w las, tym ciemniej.

Porywacze

W 2021 „opieką" DIOZ został objęty owczarek niemiecki, który jakimś cudem znalazł się na terenie ośrodka (wersja co do tego, jak się tam znalazł, zależy od tego, kogo zapytamy). Szybko okazało się, że pies uciekł z posesji jednej z rodzin, która przez kilka dni prowadziła intensywne poszukiwania. DIOZ odmówił wydania psa jego właścicielom, oskarżając ich o znęcanie się, wskazując na wychudzenie i złą kondycję psa. W mediach społecznościowych DIOZ-u został opublikowany film ze zwierzakiem ogolonym do połowy oraz takie – jak się potem okazało, przerobione w Photoshopie – na których wyglądał on na bardziej wychudzonego, niż w rzeczywistości był. Od razu też pojawiła się zbiórka środków na leczenie psa.

Właścicielom udało się odzyskać owczarka jakiś miesiąc później – kiedy to zjawili się w ośrodku i wręczyli strażnikowi łapówkę. Jak się okazało, pies po miesiącu pobytu w DIOZ-ie był w gorszym stanie niż wtedy, kiedy się w nim zjawił – z uszu leciała mu ropna wydzielina, był zapchlony oraz nie posiadał jąder (co ciekawe weterynarz, na którą DIOZ się powołał, nie przyznała się do leczenia psa; istnieje podejrzenie, że kastracji owczarka dokonał na własną rękę Eryk Złoty, który mimo braku jakiegokolwiek wykształcenia weterynaryjnego bardzo ochoczo bierze się do różnego rodzaju operacji na zwierzętach). Jakiś czas później Złoty oraz Kuźmiński dopuścili się próby odbicia owczarka, podczas której zaatakowali gazem pieprzowym szesnastoletnią dziewczynę. Mimo iż pokrzywdzona atak gazem przypłaciła pobytem w szpitalu, sąd uznał incydent za mało szkodliwy społecznie i umorzył sprawę.

Większość przytoczonych informacji pochodzi z materiałów blogera o nicku Koci Tata, który pół roku spędził w DIOZ-ie jako wolontariusz. Opowiada o fatalnych warunkach i traktowaniu zwierząt, a także o szemranych praktykach finansowych organizacji.

W sprawie organizacji aktualnie toczy się śledztwo prowadzone przez prokuraturę i Centralne Biuro Śledcze Policji. Organy prześwietlają praktyki finansowe DIOZ, weryfikują też informacje o zabiegach chirurgicznych wykonywanych przez nieuprawnione osoby, nieuzasadnionym odbieraniu zwierząt właścicielom, podejrzanych zgonach zwierząt.

Łowcy

ECPU sami siebie chlubnie nazywają łowcami pedofilów, a rozpoznawalność w sieci zyskali na publikowaniu na YouTubie przesłuchań osób, które rzekomo miały się dopuszczać czynów pedofilskich w przestrzeni wirtualnej (zaczepianie nieletnich na portalach społecznościowych, inicjowanie z nimi rozmów na temat seksu, wysyłanie intymnych zdjęć). Do przesłuchań tych dochodzi zawsze z zaskoczenia, po tym jak „łowcom" uda się zlokalizować daną osobę w pobliżu jej adresu zamieszkania. Rozmowy z „oskarżonymi" prowadzi lider grupy działający pod pseudonimem Alex Hunter.

Z nagrań widać, iż „łowcy" starają się wyglądać groźnie i oficjalnie, aby budzić respekt u przesłuchiwanych bez żadnego trybu mężczyzn, mają mundury i kominiarki. Wiele osób, które ECPU weźmie sobie na cel, bierze ich za policjantów – co tłumaczy posłuszeństwo, z jakim pozwalają się przesłuchiwać w miejscach publicznych: na chodniku, na osiedlu, pod domem.

Skąd członkowie ECPU wiedzą, iż dana osoba jest pedofilem? Cała machina oparta jest na systemie tzw. wabików: fałszywych profilach dzieci zakładanych przez „łowców" na portalach społecznościowych, głównie Facebooku. Legalność tego typu amatorskich prowokacji jest wysoce wątpliwa, nie wspominając nawet, że proceder jest niezgodny z regulaminem FB, który jednoznacznie zabrania tworzenia fałszywych profili.

Dzięki swoim fałszywym profilom łowcy dysponują pełnymi rozmowami oskarżonych z „dziećmi", a odczytywanie ich na głos stanowi zawsze gwóźdź programu publikowanych przez nich materiałów. Zdarza się, że ECPU interweniuje na prośbę rodziców, którzy zostali zaalarmowani przez swoją latorośl, iż jakiś pan pisze do nich dziwne rzeczy w necie – i z tylko sobie znanego powodu postanowili zgłosić się do kanału na YouTubie zamiast na policję.

Policja jednak również odgrywa w całym tym teatrzyku swoją rolę – każdy filmik z „interwencji" „łowców pedofilów" kończy się przyjazdem radiowozu i zatrzymaniem podejrzanego. Wówczas z głośników, niby kulminacyjne fanfary, puszczana jest na cały głos specjalnie stworzona piosenka pt. „Pedofil to morderca". Nie jestem w stanie opisać, jak absurdalnie i karykaturalnie – w obliczu powagi przestępstwa, jakim jest pedofilia – wyglądają te scenki, więc odsyłam do dostępnych na YouTubie filmików. Warto napomknąć, że w całym tym przedstawieniu „łowcy" nierzadko znacznie utrudniają policjantom interwencję.

Dodatkowy aspekt działalności ECPU jest taki, iż – ze względu na nieudolność i amatorszczyznę zakładanych przez nich fałszywych profili – na wabiki łapią się głównie osoby w różnym stopniu niepełnosprawne intelektualnie; słychać to wyraźnie po sposobie, w jaki się wypowiadają.

„Łowcy", dopadając kogoś takiego znienacka na ulicy, zaczynają go nagrywać – oczywiście nie pytając o zgodę – i zazwyczaj transmitują takie „przesłuchanie" na żywo. Nie ma mowy o żadnym zamazywaniu twarzy czy zniekształcaniu głosu, do tego w tytule filmu na YouTubie czy socjalach znajduje się imię „pojmanego", jego wiek oraz miasto, w którym mieszka.

Z drugiej strony – gdyby nawet ECPU rzeczywiście udało się schwytać jakiegoś groźnego (choć niezbyt rozgarniętego) pedofila – niewiele z tego wynika. Zatrzymanemu trudno postawić jakikolwiek zarzut – w końcu nie rozmawiał z dzieckiem, tylko z dorosłym podającym się za dziecko. Znakomita większość bohaterów kanału ECPU po kilku godzinach spędzonych na dołku wraca więc do domu. Trudno zatem mówić o jakiejkolwiek realnej zmianie; głównie jest to show dla spragnionych publicznego linczu internautów.

Amatorzy

W internecie istnieją oddolne inicjatywy, które dość skutecznie tropią pedofilów i to znacznie bardziej niebezpiecznych – np. udostępniających albo nawet produkujących dziecięcą pornografię. Członkowie tych inicjatyw często działają w przestrzeni darknetu, całkowicie anonimowo (Anonymus, GhostSec). Nie afiszują się swoimi dokonaniami w social mediach, nie chcą ujawniać swojej tożsamości – co byłoby niekorzystne i dla nich, i dla sprawy. Są to ludzie z zaawansowanymi umiejętnościami w kwestii cyberbezpieczeństwa, hakowania, poruszania się po ciemnej stronie sieci. Mimo „Cybersecurity" w nazwie, w ECPU takich specjalistów ewidentnie brakuje – skoro organizację stać tylko na stworzenie amatorskiego fejk-konta i dotarcie do jakiegoś upośledzonego w stopniu lekkim użytkownika Facebooka. Wyśledzenie adresu IP kogoś, kto nigdy nie wpadł na pomysł, aby chronić się chociażby narzędziem typu VPN, i ustalenie lokalizacji tej osoby – to zadanie na 10 minut dla przeciętnie bystrego nerda z późniejszej klasy podstawówki.

W narracji ECPU pedofil nie jest człowiekiem i nie przysługują mu zagwarantowane konstytucyjnie prawa – takie jak domniemanie niewinności, prawo do prywatności czy ochrony wizerunku. Mamy do czynienia z organizacją, której działalności nie regulują żadne przepisy prawa – więc opiera się w gruncie rzeczy na samosądzie. W tym kontekście wyłączenie możliwości komentowania na YouTubie – co ma jakoby chronić ofiary „łowców" przed publiczną nagonką – brzmi jak kpina. Tym bardziej że na facebookowym profilu ECPU wszyscy spragnieni igrzysk mogą wylewać swój słuszny gniew bez ograniczeń.

To, co – oprócz umundurowania – łączy obie organizacje, to ogromna ekspozycja w sieci. W końcu ta ekspozycja generuje dochody: pieniądze z wyświetleń czy datki od obserwatorów. ECPU mogłoby swoje – średnio skuteczne – działania prowadzić bez wrzucania nagrań z interwencji na YouTube'a; jednak pokusa internetowej chwały oraz pieniędzy jest silniejsza niż jakakolwiek ludzka przyzwoitość. O astronomicznych przychodach generowanych przed DIOZ już nawet nie ma co wspominać. To współczesne ORMO, nieregulowane żadnymi przepisami, przyczyniło się już do śmierci ludzi i zwierząt. Póki polskie państwo nie weźmie się za należyte wykonywanie swoich obowiązków oraz gruntowane prześwietlanie tego typu inicjatyw, podobnych tragedii może tylko przybyć.

ANTONINA STEFFEN

REKLAMA

eprasa.pl bf69553f1f

Jak (nie) dogadzać dzieciom

Była ustawa Kamilka, mamy paradoks Oskarka

Z początkiem czerwca media obiegła historia zgonu czteromiesięcznego dziecka umieszczonego w tzw. pieczy zastępczej. Denat o imieniu Oskar oraz jego trzyletnia siostra trafili do placówek opiekuńczych w wyniku interwencji policji. Do reinstalacji bachorząt z domu rodzinnego w Warszawie doszło podczas zatrzymania ich matki Magdaleny W. celem osadzenia jej w areszcie, mimo iż w domu znajdowała się prababcia dzieci. Cztery dni po wykonaniu czynności małoletni nieszczęśnik odszedł do domu Pana.

Oliwy do ognia oburzenia dolały zdjęcia z pogrzebu dziecka, na który matkę dostarczono w więziennym drelichu i kajdankach zespolonych. Wybiórczo wrażliwa opinia publiczna dostała wścieku. Zawyła wytrenowana w tańcu na trumnach prawica. Głos w sprawie zabrał sam Jarosław Kaczyński, który wyraził oburzenie nieudolnością systemu opieki społecznej i tym, jak potraktowano rodzicielkę kaszojadów. Gęste joby poleciały na policjantów i pracowników socjalnych. Poseł PiS Przemysław Drabek informował na portalu X, że matkę dzieci wsadzono do pierdla za niezapłacone mandaty, i wylewał gorzkie żale o państwie silnym wobec słabszych.

Z pomocą prawną nieutulonej w żalu matce pośpieszyli prawnicy Ordo Iuris. Na początku lipca Sąd Rejonowy dla Warszawy Pragi-Południe nie zgodził się na powrót małoletniej Leny do domu rodzinnego. I dobrze, bo system wbrew pozorom zadziałał.

Provisor puerorum

W pokrótce przedstawionej we wstępie historii jest kilka wątków, które burzą jej medialną ckliwość. 22-letnia Magdalena W. została aresztowana w swoim mieszkaniu przez policję na podstawie nakazu sądowego. Kobieta została skazana na prace społeczne i karę grzywny z art. 286 kodeksu karnego. Przepis penalizuje działania polegające na wprowadzeniu w błąd w celu uzyskania korzyści majątkowej. Wiewiórki donoszą, że Magdalena W. przyjmowała zaliczki za fikcyjny wynajem mieszkań. Wyrok sądu spuściła z nurtem Wisły. Na tę okoliczność podjęto decyzję o osadzeniu skazanej w pierdlu na 120 dni. „Ignorując fakt, że jej nowo narodzone dziecko miało zaledwie cztery miesiące", jak podkreśliła prawniczka Magdalena Majkowska z Ordo Iuris.

W takiej sytuacji oskarżona będąca matką może złożyć wniosek do sądu penitencjarnego o skierowanie jej do odbywania kary w zakładzie karnym z oddziałem dla matek z małoletnimi dzieci. W. tego nie zrobiła, bo – jak przekazała jej adwokat – „nikt jej o tym nie powiedział". Podejrzenie graniczące z pewnością wskazywałoby raczej na cwaniackie zasłanianie się dziećmi dla uniknięcia kary, ale nie ma co się wyzłośliwiać.

Z informacji przekazanych przez funkcjonariuszki policji, które zatrzymały Magdalenę W., wynika, że w miejscu, w którym mieszkały dzieci, nie było warunków do zapewnienia im odpowiedniej opieki. Prababcia, z którą bytowała rodzina, strzeliła z ucha i poinformowała interweniujące policjantki, że matka dzieci nie przykłada wagi do okresowych badań kontrolnych maluchów oraz że nie skonsultowała z lekarzami, dlaczego trzyletnia Lena nie mówi. Z komunikatu stołecznej policji wynika, że dziewczynka wtuliła się w jedną z funkcjonariuszek i nie chciała jej puścić. Miała też nie interesować się osobą matki. Jak na ironię, czasem gesty mówią więcej niż tysiąc słów. Prababcia w trybie pilnym zadeklarowała, że nie zajmie się glutami, bo już ma pod opieką dwie dorosłe niepełnosprawne kobiety z rodziny.

Policjantki miały wraz z matką skontaktować się z innymi członkami familii, ale nikt się nie zgodził na przejęcie opieki, dlatego zdecydowały o zarekwirowaniu bachorząt i zgłosiły interwencję do Warszawskiego Centrum Pomocy Rodzinie. Miało to być rozwiązanie tymczasowe, gdyż ojciec dzieci, który nie dzieli ogniska domowego z konkubiną i potomstwem, zadeklarował, że je odbierze.

Niestety, płodziciel nie zgłosił się do WCPR w wyznaczonym terminie. Nie to, że nie chciał, zwyczajnie nie mógł, bo sam jest poszukiwany przez policję, a bezduszne sądy specjalnych okoliczności łagodzących w uśmiechu bombelka nie widzą… Dla bezpieczeństwa własnej dupy tatuś nie wziął też udziału w pogrzebie. Drobiazg, lekkiej ziemi nie trzeba życzyć, stojąc nad trumną, byle intencje były szczere.

Rys. MARCIN CHUDZIK

Mortem

Czteromiesięczny Oskar powiększył grono aniołków w czwartej dobie pobytu pod nowym dachem. Nieironicznie – zasnął snem wiecznym. Kiedy opiekunowie robili obchód, żeby sprawdzić, jak śpią znajdujące się pod ich kuratelą dzieci, zauważyli, że chłopiec jest siny i nie oddycha. Natychmiast rozpoczęli resuscytację i wezwali zespół ratownictwa medycznego. Rodzina zastępcza, do której trafił chłopiec, ma 12-letnie doświadczenie w opiece nad dziećmi. W tym czasie przez ich dom przewinęło się 60 podopiecznych. Żadne z nich wcześniej nie przekręciło się na drugą stronę dywanu.

Sekcja zwłok niemowlaka wykazała niewydolność krążeniowo-oddechową, brak obrażeń, śladów przemocy czy zachłyśnięcia. Głupio wyszło, bo prababcia, której w międzyczasie spodobała się rola celebrytki, zaczęła rozpowiadać po mediach, że mały miał się zakrztusić burakiem, w innej wersji – mlekiem.

Prokuratura Rejonowa Warszawa-Praga Południe prowadzi śledztwo w kierunku nieumyślnego spowodowania śmierci, ale póki co nie postawiła nikomu zarzutów. Najprawdopodobniej nikt ich nie usłyszy. Z dużą dozą prawdopodobieństwa przyczyną zgonu była stara dobra śmierć łóżeczkowa.

Pogrzeb przedwcześnie zmarłego obywatela odbył się 22 czerwca. W uroczystości wzięli udział jedynie bliscy dziecka oraz służba więzienna i policjanci, którzy mieli zamiar przy okazji zatrzymać poszukiwaną głowę rodziny. Według służby więziennej w trakcie pobytu Magdaleny W. w zakładzie karnym uzyskano informacje skutkujące – jak można przeczytać w komunikacie – „negatywną prognozą kryminologiczno-społeczną". To wespół ze spodziewanym manewrem aresztowania ojca dziecka miało spowodować decyzję o prewencyjnym zastosowaniu środków przymusu wobec osadzonej w postaci kajdanek.

Wewnętrzna kontrola zlecona przez dyrektor generalną Służby Więziennej płk Renatę Niziołek wykazała nieprawidłowości w zakresie realizacji czynności konwojowych. Uznano, że środki były nieadekwatne do okoliczności. Może dlatego, że ojciec dziecka finalnie nie pojawił się na pogrzebie, albo przez zainteresowanie sprawą po burzy medialnej Biura Rzecznika Praw Obywatelskich, który zwrócił się do dyrektora Aresztu Śledczego w Warszawie-Grochowie z prośbą o przekazanie akt sprawy. Co ciekawe, gdyby środków nie zastosowano, a na uroczystości wydarzyłoby się jakiekolwiek nieszczęście z paragrafem w tle, przeprowadzono by dokładnie takie same czynności. Bandytyzm urzędników nie zna granic.

Gdy nagranie z pogrzebu trafiło do sieci, historią pani Magdaleny zainteresował się instytut Ordo Iuris.

Konserwa absurdu

Prawniczy zespół katolickich ultrasów od kilku lat specjalizuje się w przegranych sprawach o opiekę nad dziećmi, które odebrano niekoniecznie wydolnym wychowawczo rodzicom. Wydali nawet poradnik dla rodziców i opiekunów dotyczący postępowania w przypadku natychmiastowego odebrania dziecka z domu rodzinnego. Wszystko dlatego, że „polskie prawo, które z założenia miało chronić dzieci przed przemocą domową, tak naprawdę uderza w dobro rodziny". Stało się tak „na skutek przeniknięcia do regulacji prawnych określonych postulatów ideologicznych sprzecznych z Konstytucją RP". Oczywiście.

Mecenas Majkowska pochwaliła się, że dzięki jej wstawiennictwu matka Oskara uzyskała zgodę na dalsze odbywanie kary w systemie dozoru elektronicznego. Prawnicy OI wystąpili natychmiast do sądu z wnioskiem o uchylenie pieczy zastępczej i przywrócenie matce opieki nad córką. Ten jednak postanowieniem z 1 lipca oddalił wniosek. Sąd Opiekuńczy uznał, że dobro dziecka – niezależnie od wniosku matki – przemawia za tym, aby na czas trwania postępowania o ograniczenie władzy rodzicielskiej dziecko pozostawało w pieczy zastępczej. Decyzja ma charakter tymczasowy, a jej istotą jest zabezpieczenie sytuacji dziecka na czas toczącego się postępowania. Pierwszą rozprawę zaplanowano na 9 września.

Sharenting

Sprzedaj bąbelka w sieci

Zanim nauczy się chodzić – już ma konto na Instagramie. Zanim wyjdzie z pieluch – już wie, że mama kocha, ale algorytmy bardziej. W Polsce dzieci nie mają prywatności. Mają zasięgi.

Poznajcie bohaterkę tej farsy: Aniela Woźniakowska. Kiedyś znana jako Seksmasterka, potem zmieniła pseudonim na Lil Masti. Zanim zaczęła robić kontent parentingowy (po polsku: z dziecka), była samozwańczą edukatorką seksualną. Uczyła, jak robić loda, sprzedawała używane stringi, śpiewała takie przeboje jak „Wyślij nudesa" czy „Poka sowę". Potem zrobiła karierę we freak fightach – no bo gdzie, jak nie w klatce najpełniej wybrzmi dramat współczesnej kultury. Aż w końcu: dziecko. I nagła przemiana – z influencerki w Matkę-Polkę. Tym razem z nowym produktem: macierzyństwem. Promocja od urodzenia.

Z drugiej strony mamy Tomasza Działowego znanego jako „Gimper". Też youtuber, też freak fighter, tylko że – i to ważne – dzieci nie ma. Ma za to pieski i kotki. I odrobinę przyzwoitości, bo postanowił wziąć na warsztat temat sharentingu – czyli nadmiernego dzielenia się życiem (i twarzą) dziecka w internecie. Merytoryczna ocena zjawiska z wypowiedziami ekspertów. Ale Aniela poczuła się dotknięta. Jakby ktoś skrytykował jej kampanię reklamową. Sprawa trafiła do sądu.

I tu plot twist godny Netflixa: „Gimper" przegrywa. Sąd stwierdza, że miał rację co do zjawiska, ale... naruszył dobre imię i znieważył celebrytkę. Innymi słowy: prawda – owszem, ale po cichu. Bez nazwisk, bez zasięgów, najlepiej w piwnicy.

Aniela świętuje, jakby co najmniej odzyskała dzieciństwo swojego dziecka. Zakłada fundację Dzieci są z Nami. Brzmi jak fundacja ochrony dzieci przed eksploatacją, ale nie dajcie się zmylić – cel stowarzyszenia to popularyzowanie obecności dzieci w przestrzeni publicznej. Oczywiście „z szacunkiem", czyli z filtrami i linkiem do sklepu bio. A teraz coś poważniejszego:

Polska nie chroni dzieci przed ekspozycją w internecie. Nie istnieje prawo, które w sposób realny broniłoby ich wizerunku przed komercyjnym wykorzystaniem. W praktyce rodzic może wrzucać zdjęcia, filmiki, live'y z nocnika – bez żadnych konsekwencji.

A gdy jeszcze płacą za to reklamodawcy? Tym lepiej. Z punktu widzenia państwa to przedsiębiorczość. Z punktu widzenia dziecka – cyfrowe niewolnictwo.

W jednym z wywiadów Małgorzata Rozenek-Majdan wyznała: „Kiedy zwracały się do mnie duże firmy z topki reklamowej i płaciły za to bardzo porządne pieniądze, to brałam Henia pod pachę i mówiłam: »Chodź, Heniu, idziemy do roboty, co będziesz tak bezczynnie leżał«"…

W innym kraju takie słowa trafiłyby do prokuratury. W Polsce – do „Vivy".

Sharenting – czy to w wykonaniu celebrytów, czy zwykłych Januszy i Karyn z Facebooka – to tatuowanie cyfrowego śladu dziecka, zanim ono samo zrozumie, co się dzieje. Statystyki są bezlitosne: zanim przeciętny trzynastolatek skończy te 13 lat, jego zdjęcia i dane zostaną udostępnione przez rodziców średnio 1300 razy. Publicznie. Trwale. Bez pytania. Bo „słodki", bo „polajkujcie mojego maluszka", bo „pamiętnik wideo z narodzin" (transmitowany na TikToku).

Tylko że te dane nie znikają. Tworzą cyfrowy cień – profil gotowy do przeszukiwania, komentowania, prześladowania. Z narażeniem na kradzież tożsamości, na seksualizację w pedofilskich kręgach, na psychiczne konsekwencje w dorosłości. Ale co tam prywatność, kiedy wchodzi barter z Pampersami?

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl bf69553f1f

Cytowana przez wszystkie media ekipa OI zapowiedziała pozwanie wszystkich instytucji z osobna. Z prawnego punktu widzenia to wołanie srającego na puszczy, bo przecież chodzi o huk, a nie o zająca. Ale jest jedno „ale”.

Oto doszło do przykrego w skutkach precedensu, kiedy zwykle niewydolne z braku środków, kadr, przeciążenia czynnika ludzkiego w systemie opieki społecznej państwo zadziałało prawie jak powinno, w zgodzie z literą prawa, choć nie powinno rozdzielać rodzeństwa, kiedy odbiera je od rodziców.

Pech chciał, że wskutek przykrego splotu wydarzeń liczba ludności w kraju zmniejszyła się o bardzo świeży PESEL. Próba politycznego i medialnego wykorzystania śmierci dziecka w tych okolicznościach dla ukręcenia lodów sprawi, że szorujące po dnie zaufanie do instytucji państwowych jeszcze bardziej spadnie. W Polsce do odebrania na stałe dzieci rodzicom dochodzi w sytuacjach wyjątkowych, by nie powiedzieć skrajnych, co niestety nie oznacza, że rzadko tak się dzieje. Celem pieczy zastępczej jest praca nad reintegracją rodziny, aby dziecko mogło wrócić do rodziców biologicznych, jeśli to możliwe, lub przygotowanie do adopcji w przypadku, gry rodzina finalnie da dupy. Niemniej zanim sąd zdecyduje się na ostateczny krok, ma do wykorzystania szereg instrumentów, żeby rodzinę ustawić do pionu: może przydzielić asystenta rodziny, kuratora, skierować dziecko do placówki wsparcia rodzinnego i tak dalej.

Specjaliści od prawa rodzinnego od lat alarmują, że w kraju nad Wisłą dziecko wciąż traktuje się jak własność rodzica, a nie osobowość prawną. Owocem takiego podejścia – szczególnie od strony społecznej – jest zgon ok. 30 dzieci rocznie. W wyniku zaniedbań lub przemocy.

Histeria kręcona na najniższych instynktach wokół tej sprawy pokazuje, że jeszcze długo nic się w tej kwestii nie zmieni.

IDALIA DUBICKA

Wyrok w sprawie „Gimpera” pokazuje jasno: w Polsce to nie dzieci są chronione. Chronieni są rodzice – nawet jeśli zamieniają potomstwo w reklamę z kodem rabatowym. Konstytucja? Konwencja o prawach dziecka? RODO?

Polskie prawo nie nadąża za internetem. Ale najgorsze, że nie chce nadążyć. Politycy się nie ruszą, bo sharenting to temat zbyt miękki, a celebryci to potencjalni koledzy z Instagrama. Dzieci nie mają lobby. Nie chodzą na komisje sejmowe. A jak mają dość, to mogą co najwyżej płakać – i to też najlepiej z filtrem.

Kodeks rodzinny i opiekuńczy powinien jasno określić: dziecko ma prawo do prywatności. Jego wizerunek nie należy do rodzica. Nie wolno go monetyzować, eksponować, sprzedawać jak czekoladowe batoniki. Aż do momentu, w którym samoświadomie powie: „chcę być w sieci”. A może powie: „nie chcę”. Tylko żeby mogło mieć wybór, musi najpierw dorosnąć bez kamerki na twarzy.

Rodzicielstwo to nie strategia marketingowa. To nie projekt do zmonetyzowania, nie sezon w reality show. A jeśli ktoś musi się dowartościować lajkiem pod zdjęciem dziecka, może powinien najpierw sam dorosnąć. Bo dziś to nie dzieci są zbyt małe, by wyrazić zgodę – to dorośli są zbyt mali, by o nią zapytać.

WKD

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Gazem po sprawiedliwość

Obrona do sądu: „Dlaczego?”. Sąd: „Bo tak”.

To była dość głośna sprawa. 27 stycznia 2023 r., plebanię ewangelicko-augsburską w Katowicach Szopienicach wywaliło w powietrze. Zawaliła się przednia część budynku, uszkodzone zostały sąsiednie budynki i zaparkowane nieopodal samochody. W samej plebanii zostały ranne trzy osoby, w tym dwoje dzieci. Udało im się wydostać przez okno. Pod gruzami znaleziono zwłoki dwóch kobiet.

Jednym z rannych był pan Edward. Obrażenia były na tyle poważne, że znalazł się w szpitalu. Potem od razu został przeniesiony do prokuratury i aresztu, gdyż prokurator uznała, że to on ten wybuch spowodował.

Kronika zapowiedzianej śmierci

Historia wybuchu wyglądała następująco: pan Edward z rodziną mieszkali na wspomnianej plebanii od lat i w zamian za mieszkanie świadczyli pracę parafii i samemu proboszczowi. To nie była idylliczna współpraca, od razu wspomnimy. Pan Edward niejednokrotnie kłócił się z proboszczem, używał wobec niego słów uznanych za obraźliwe, a także formułował groźby. Był zdania, że on i jego rodzina zostali przez proboszcza oszukani. Wobec powyższego przestali świadczyć prace na rzecz wspólnoty. Sprawa oparła się o sąd, który ostatecznie przyznał rację proboszczowi.

Kiedy wszystko zakończyło się wybuchem gazu, wydarzenia zaczęły mieć fundamentalne znaczenie dla organów ścigania, prokuratury i sądu. Co oczywiście słusznie, gdyż sprawę należało zbadać dogłębnie i obiektywnie. Z tym ostatnim było troszkę nie bardzo, ale nie uprzedzajmy wypadków.

Pan Edward miał ciężko chorą 69-letnią żonę i 40-letnią córkę. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, doprowadziła całą trójkę do wniosku, że jedynym wyjściem będzie samobójstwo. Przygotowania do tegoż wyglądały doprawdy dziwnie.

Najpierw całą rodziną wysłali do mediów list z komunikatem, że właśnie chcą się zabić. Podpisali się pod listem wszyscy członkowie rodziny. Tego typu komunikat trudno traktować poważnie. Powiadomiono też o tych planach na przyszłość pokaźne grono znajomych. I nic się nie stało. Nikt się nie zainteresował, nikt nie przedsięwziął żadnych działań mających na celu uprzedzenie suicydalnych zachowań, nie zainteresował się tym żaden specjalista ani żadna instytucja, której zadaniem jest okazywanie pomocy ludziom w takich właśnie ekstremalnych sytuacjach. Ale zostawmy to na boku.

Obraz, jaki wyłania się z zeznań świadków, bezpośrednio przed wybuchem wyglądał w taki sposób: córka pana Edwarda, która była najbardziej aktywna w organizowaniu i przekonywaniu swoich bliskich do opuszczenia tego padołu, postanowiła, by dokonali tego całą rodziną poprzez nałykanie się pigułek nasennych. I tak też uczynili. Ale coś nie zadziałało jak należy, dość powiedzieć, że następnego dnia rano obudzili się wszyscy w niezłej formie. Pan Edward udał się na przechadzkę z dwoma psami, uznawszy że skoro samobójstwo się nie udało, to zajmie się codziennymi czynnościami. Następnie córka prawdopodobnie namówiła rodzinę, by samobójstwo miało kształt śmierci w wybuchu gazu. W tym celu została odkręcona dwuzłączka kuchenki gazowej, przez którą wypływał gaz. No i gaz sobie płynął, po czym wybuchł w godzinach porannych, zamieniając chałupę w kupę gruzów. Wybuch, zaznaczmy, został zainicjowany tym, że pan Edward postanowił sobie zagotować wodę na herbatę.

Pod gruzami, jako się rzekło, znaleziono ranne osoby, a także zwłoki córki i żony pana Edwarda. Pan Edward został znaleziony w stanie ciężkim, był poważnie ranny, zatem przeniesiono go do szpitala, gdzie udzielono mu pierwszej i dalszej pomocy.

Prorok w służbie prawdy

Pracująca na miejscu prokuratura ustaliła swój przebieg wypadków. Przyjęto wersję, że sprawcą wybuchu był pan Edward. Że to on odkręcił zawór gazu, uszczelnił drzwi taśmą malarską, by owego gazu nagromadziło się jak najwięcej, no i bum.

Zatem, rozumowała prokuratura, należało pana Edwarda, gdy tylko dojdzie do siebie, przenieść w miejsce, które da mu sposobność przemyślenia swojego postępowania przed niechybnym procesem sądowym, na którym powinien zostać przykładnie ukarany.

Jak rozumowała, tak zrobiła.

Pan Edward został zatrzymany i prokuratura czym prędzej skierowała wniosek o areszt tymczasowy. Obrońca pana Edwarda, poinformowany, że wniosek został złożony, zbierał się do Katowic, gdzie posiedzenie sądu miało się odbyć (obrońca jest z Warszawy). Prokurator, z którym uciął sobie miłą pogawędkę, powiedział, że pan Edward został już przez nich przesłuchany. Na pytanie, jak to się mogło stać, że przesłuchiwano podejrzanego bez obecności jego obrońcy i bez ustalenia, w jakiej jest formie psychicznej po pokaźnej porcji farmaceutyków przeciwbólowych, którymi go szpikowano w szpitalu, prorok oznajmił, że on nie będzie tego roztrząsał, jedynie informuje pana mecenasa. Widząc taki obrót wypadków, obrońca wsiadł w samochód, uznawszy że wolałby być na miejscu, gdyby jednak okazało się, że sąd będzie rozstrzygał o areszcie. W drodze, jakieś małe dwie godzinki od Katowic, pan mecenas odebrał kolejny telefon, że posiedzenie aresztowe odbędzie się za 15 minut. Jako że przedstawiciel palestry nie ma, wzorem ojca Pio, zdolności bilokacji, zaproponował, by poczekali dwie godziny i on dotrze na miejsce. Nie spotkało się to z entuzjastycznym przyjęciem – pani poinformowała, że poinformowała i się rozłączyła. Areszt sąd orzekł bez zbytniej mitręgi i bez obecności obrońcy.

Adwokat zapragnął zapoznać się z aktami sprawy. To czasochłonna lektura, ponieważ akta zajmowały 13 tomów, każdy po 200 kart, większość dwustronnych. Obrońca był w tej sprawie dość uparty – zważywszy że nie miał okazji zapoznać się z aktami przed orzeczeniem przez sąd aresztu. W prokuraturze owszem, akta udostępniono, ale bez prawa robienia fotokopii, co oznaczało, że albo nauczy się ich na pamięć, abo będzie to lektura pozbawiona sensu. Gdy mecenas zasiadł do studiowania akt w sądzie, zostały mu one odebrane po dwóch godzinach pod pretekstem, że potrzebne są sądowi.

Sąd wie lepiej

Następnie odbył się sąd. Oskarżony zaprzeczał konsekwentnie swojej winie. Twierdził, że nie rozkręcał gazu, że nie miał zamiaru ginąć w wybuchu gazu, że nie przygotowywał mozolnie z dużym nakładem pracy swojej śmierci. Był zdania, i starał się to sądowi wytłumaczyć, że pomysł doprowadzenia do tragicznego finału swojego i rodziców życia przedsięwzięła córka. Podawał argumenty.

Tak, chciał się otruć, ale gdy to się nie udało, zrezygnował z dalszych prób. Nie, nie odkręcał gazu, zrobiła to najprawdopodobniej córka, a on nie miał co do tego świadomości. Nie, nie wyczuł zapachu gazu, który czuli wszyscy sąsiedzi, bo po przebytym covidzie znacznie pogorszył mu się węch. Nie, nie odkręcał gazu przy pomocy klucza francuskiego, znalezionego na gruzowisku. Tak, wszystko wyleciało w powietrze, kiedy chciał postawić na gazie czajnik na herbatę.

Do tej argumentacji dołączyła się obrona oskarżonego. Gdyby to przedstawić w formie bezpośredniego dialogu obrońcy (O) z sądem (S), wyglądałby on mniej więcej tak:

O: Skąd wiemy, że oskarżony rozkręcał złączkę tym kluczem? Proponuję, by zbadać klucz na okoliczność odcisków palców oskarżonego.

S: To chyba oczywiste, że tym kluczem oskarżony rozkręcał złączkę. Skoro uważamy, że on rozkręcał, to nie ma co badać, czy są na kluczu odciski palców oskarżonego, nie?

O: To trochę głupie, że oskarżony, który sam podobno rozkręcił instalację i czekał, aż chałupa napełni się gazem, nagle zapragnął zrobić sobie herbatkę, stawiając czajnik na palniku i inicjując wybuch. Nie pamiętał, co robił?

S: No jakoś tak wyszło, ale sąd jest pewien, że to oskarżony jest sprawcą.

O: To może zbadamy, czy oskarżony miał po covidzie problemy z węchem, bo to by tłumaczyło jego nieświadomość co do ulatniania się gazu, a zatem brak uczestnictwa w rozkręcaniu instalacji i świadczyło o jego niewinności?

S: Nic nie będziemy sprawdzać, skoro o zapachu gazu mówili sąsiedzi.

O: To byśmy chcieli złożyć jeszcze wnioski dowodowe, które powstały w trakcie procesu i zeznania świadków i oskarżonego, bo uważamy, że pojawiają się wątpliwości, które, jak wiadomo, należy rozstrzygać na korzyść oskarżonego.

S: Daliśmy termin na złożenie wniosków pod rygorem nieuwzględnienia złożonych po tym terminie.

O: No dobrze, ale podstawy do złożenia wniosków pojawiły się w trakcie procesu! Czemu sąd zakładał na początku, że wszelkie wnioski i dowody obrony, które pojawią się potem, nie powinny zostać uwzględnione???

S: Bo tak.

Obrona jeszcze przypomniała, że oskarżony był pozbawiony prawa do obrony w trakcie zatrzymania i obrona nie mogła zapoznać się należycie z aktami. Wszystko to poszło w apelacji do kosza.

Powiem Wam na ucho: całkowicie mi wisi, czy pan Edward jest winien, czy nie. I w ogóle nie w tej sprawie piszę. Mnie interesuje, i to bardzo, zauważalne ograniczenie prawa do obrony człowieka, najpierw podejrzanego, potem oskarżonego w poważnej dość sprawie.

Jeżeli obrona nie może zapoznać się należycie z aktami, jeżeli dość oczywiste wnioski obrony sąd odrzuca, używając formalnych argumentów, jeżeli nie zauważa pojawiających się wątpliwości – to należy się nieco niepokoić. Nie stanem polskiego systemu sprawiedliwości, bynajmniej. Tylko tym, że Polska jest dziś krajem, w którym trafienie pod sąd jest dużo łatwiejsze, niż się przeciętnemu obywatelowi wydaje. A jeżeli trafi na sąd, który wespół z prokuraturą gra mecz przeciwko obronie, naruszając dość podstawowe prawa obywatelskie, to znaczy, że takie pojęcia jak sprawiedliwy proces, obiektywny sąd, prawo do obrony stają się pojęciami wywołującymi śmiech. To z kolei znaczy, że państwem można sobie dupę wycierać.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

eprasa.pl bf69553f1f

Reportaż z kraju, w którym nikt nie klęka

Dokąd uciekać?

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Nie będę was dłużej oszukiwać. To się dla nas dobrze nie skończy. Doczytałem właśnie pamiętniki Viktora Klemperera. Te od 1933 r. To nie historia. To jak instrukcja obsługi teraźniejszości. Jeśli ktoś jeszcze łudzi się, że historia nie lubi się powtarzać, niech przestanie się łudzić. Historia nie tylko się powtarza. Ona wraca w zbroi, tylko zmienia orła na sztandarze. Kato-faszyzm zwycięży. I nie jest już pytaniem: „czy?". Jedyne, co warto sobie zadać, to pytanie: „kiedy?" i „dokąd uciekać?" Zgodnie z kalendarzem demokratycznej zagłady rząd Tuska – ostatni (umiarkowanie) świecki gabinet III Rzeczypospolitej – przestanie działać w roku 2027.

A potem Polski Rok Bólu

Polska przyszłości nie będzie krajem radosnym. W dystopii pod rządami katoprawicy cierpienie stanie się formą ustrojową. Cierpiętnicze Miesięcznice przekształcone zostaną w Tygodnice, a każdy miesiąc poświęcony będzie innej narodowej traumie.

W styczniu cierpieć będziemy za Powstanie Styczniowe. Dzieci w szkołach będą pchać symboliczne sanie z trumną przez korytarze. W lutym odżałujemy księdza Stefana Niedzielaka, duszonego przez nieznanych sprawców. Akademie z pokazami duszenia koloratką. W marcu – Narodowy Dzień Pamięci „Żołnierzy Wyklętych" rozciągnie się na całe cztery tygodnie biegów leśnych i obowiązkowego tropienia UB wśród sąsiadów. Kwiecień będzie miesiącem podwójnej traumy – Katynia i Smoleńska, połączonych w jedną wielką liturgię brzozową. Maj też pod znakiem męczeństwa: wszyscy będą recytować raporty z sekcji zwłok Grzegorza Przemyka, a w ramach wuefu – symulować pobicia pałką. Czerwiec – żadnych wakacji, bo przecież 14 czerwca 1940 r. ruszył pierwszy transport Polaków do Auschwitz. Zaraz potem 11 lipca – krwawa niedziela na Wołyniu, czyli tydzień obowiązkowego siedzenia w stodołach i słuchania odgłosów UPA z głośników. W sierpniu, jak zawsze, przez okno będzie nam zaglądać 200 tys. trupów z Powstania Warszawskiego. Kanały zamieni się w sale dydaktyczne. Wrzesień wiadomo – wojna, czyli defilada porażki i rekolekcje historyczne. Październik wspomnienie błogosławionego porwanego księdza Jerzego Popiełuszki. Dzieci będą się uczyć, jak się pakuje księdza do bagażnika. Listopad to w ogóle Święto Zmarłych przez 30 dni. A grudzień – kopalnia „Wujek", ZOMO, Jaruzel i stan wojenny: całe rodziny ćwiczą wygaszanie świateł i nasłuchiwanie Wolnej Europy w milczeniu.

Może coś mi umknęło, ale obecny prezydent – z Instytutu Cierpiętnictwa Narodowego – ma to wszystko w jednym palcu.

Pożegnanie z ojczyzną i majątkiem

Jeśli chodzi o Polaków gorszego sortu, to sprawa jest jasna. Identyfikacja będzie prowadzona na podstawie braków w księdze parafialnej. Nie masz aktu chrztu? Nie figurujesz w ewidencji sakramentów? No cóż, podpisz Polkslistę – rejestr obywateli warunkowo tolerowanych, podlegających monitoringowi i okresowym egzaminom z patriotyzmu sakramentalnego. Ci, którzy nie zdecydują się podpisać, oczywiście będą mogli wyjechać. Polska to wolny kraj. Tu przypomina o sobie exit tax, czyli „podatek od wyjścia", wprowadzony przez Morawieckiego już w 2019 r. „Dla dobra Ojczyzny" stawki zostaną „lekko urealnione" – do 50 proc. wartości majątku, oczywiście przy prawie pierwokupu przez Ministerstwo Aktywów po cenach urzędowych.

Jeśli jednak ktoś się upiera, że przecież to wszystko już było, że to nie może wrócić, że to absurd – to uprzejmie odsyłam do lektury Klemperera.

Tym razem jednak nie popełnijmy błędu pasażerów „St. Louis" – statku pełnego ludzi, którzy chcieli uciec z Niemiec, ale nie wiedzieli dokąd. Płynęli na oślep, zostali zawróceni. Dziś, w obliczu narastającej katonacjonalistycznej paranoi, wiemy już lepiej. I co najważniejsze – ziemia obiecana istnieje. Znajduje się tuż za południową granicą.

Czechy

Byłem. W tej krainie nie ma billboardów z Jezusem. Nikt nie straszy piekłem z plakatu ani nie zachęca do różańca przez megafon przy rondzie. Ani jednej kapliczki. Nie dlatego, że ją zdewastowano, ale dlatego, że nikt nie czuł potrzeby, by ją tam stawiać. Liczba kościołów zdecydowanie przewyższa liczbę wiernych. Ksiądz to tu raczej kustosz niż kapłan. Większość kościołów to dziś muzea. W Czechach duchowny to zawód, jak śmieciarz – też potrzebny, ale nikt nie chce nim zostać, Bóg po prostu nie powołuje Czechów na swoich namiestników.

Najważniejsze jest jednak to, że oni nas tam na pewno przyjmą. Wynika to nie tylko z czeskiej flegmatycznej uprzejmości, ale i z głęboko skrywanego poczucia historycznej odpowiedzialności. Bo tak się niestety złożyło, że to Czesi ochrzcili Mieszka I w 966 r. i do dziś nie mogą sobie tego darować. Ten chrzest był, z ich punktu widzenia, czymś między lapsusem dyplomatycznym a katastrofą geopolityczną. Nadal przeżywają tę traumę, tym boleśniej, że Czechy są dziś krajem od Kościoła niemal zupełnie wyzwolonym.

Mają oczywiście do nas jakieś drobne pretensje – na przykład o Jaruzelskiego, którego wojska wjechały do Czechosłowacji razem z Układami Warszawskimi, ale chrztem Mieszka zamyka im się usta.

Okno na świat, czeska metoda na politykę

Trzeba jednak wiedzieć, że Czesi są narodem o bardzo osobliwej mentalności i niecodziennych metodach działania. Francuzi wymyślili gilotynę, Rzymianie ukrzyżowanie, Amerykanie fotel elektryczny, a Czesi – okno. Ich najskuteczniejsza forma eliminacji politycznej to po prostu defenestracja, czyli wyrzucenie przez okno. Pierwsza defenestracja praska (30 lipca 1419 r.) odbyła się podczas powstania husyckiego. W sporze w Radzie Miasta Pragi siedmiu katolickich rajców wylądowało na bruku, co przyjęto z entuzjazmem reformatorskim.

Do drugiej defenestracji doszło 24 września 1483 r. Narastający konflikt między katolikami a kalikstynami (husyci). W ratuszu staromiejskim w Pradze został ranny katolicki burmistrz Jan od Klobouků i jeden radny. Następnie burmistrz został wyrzucony przez okno, ale przeżył. Z okien innego ratusza (nowomiejskiego) natomiast wyrzucono ciała siedmiu zabitych katolickich rajców. Trzecia defenestracja (10 marca 1948 r.) to już sprawa powojenna. Z okna wypadł (czy raczej: został wypchnięty) Jan Masaryk, minister spraw zagranicznych Czechosłowacji i syn założyciela państwa. Oficjalnie był to „wypadek", ale czeska policja w 2004 r. potwierdziła, że został zamordowany – w klasycznym czeskim stylu.

To tylko te najlepiej udokumentowane defenestracje, ale jak twierdzą specjaliści od czeskich obyczajów ludowych – było ich znacznie więcej.

Historia pewnej nienawiści

Kluczowym – i bodaj najbardziej trwałym – wrogiem Czechów od zawsze, a przynajmniej od 1415 r., pozostaje Kościół katolicki. To wtedy bowiem, na soborze w Konstancji, spalono na stosie Jana Husa. Filozofa, reformatora, a dla wielu wręcz pierwszego obywatela czeskiego człowieczeństwa. Nie będziemy tu analizować całej historii antagonizmów między Czechami a papiestwem. Nie starczyłoby ani stron, ani cierpliwości. Skupmy się raczej na symbolicznym ładunku tego konfliktu. Dla Czechów Rzym to nie centrum duchowe, lecz źródło opresji, hipokryzji i ingerencji z zewnątrz. Kościół to dla nich nie ojciec – to kurator sądowy.

Wyobraźmy sobie sytuację modelową: przedwojenny minister Józef Beck dowiaduje się nagle faksem z Londynu, że właśnie podpisano tam układ monachijski oddający Hitlerowi Wielkopolskę, Śląsk i Zakopane. Polska wpada w szał. Deklaracje wojenne, mobilizacja, dramat, patos i przysięga na krzyż i na Matkę Boską Częstochowską. Beczka łez. A jak zareagowali wtedy Czesi? Zasadniczo… bez większych emocji.

Układ monachijski (1938), który pozbawił Czechosłowację Sudetów, a potem de facto całej suwerenności, został tam przyjęty niemal z ulgą. Zanim świat poznał potworność nazizmu, wielu Czechów uznało to za rozsądne rozwiązanie. Czesi zawsze z pewną sympatią spoglądali w stronę Rzeszy, a zwłaszcza jej protestanckiego dziedzictwa, które postrzegali jako realną przeciwwagę dla katolickiego Watykanu. Lepiej być w orbicie Berlina niż pod butem Rzymu – taki był odruch.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Czeska wojna

Wojnę Czesi, no… przeżyli. Owszem, był zamach na protektora Reinharda Heydricha – spektakularna akcja z udziałem cichociemnych z Londynu – ale nie oszukujmy się: Heydrich nie umarł od kuli, tylko od sepsy, bo Niemcy nie potrafili zmienić mu opatrunku. Brud i niedbałość pokonały kata Pragi, a nie patriotyzm z granatem. Oczywiście Niemcy przesadzili z Lidicami, bo spalili całą wieś w odwecie – ale przecież chodziło im o to, żeby Heydrich został bohaterem narodowym, a nie ofiarą zakażenia. No bo jak by to wyglądało? Mistrz terroru poległ przez brudne gaziki?

Kiedy Rosjanie szli z tzw. wyzwoleniem, czeska racjonalność polityczna znowu dała o sobie znać. W Pradze zorganizowano powstanie, ale z typowo czeskim umiarem. W rezultacie zaciętych walk w całej stolicy ucierpiało jedno lustro trafione kulą. Tak właśnie wygląda czeski zryw – celny, ale ekonomiczny.

Historia pewnego nieporozumienia

Socjalizm radziecki Czesi przyjęli bez większych oporów, widząc w nim nie tyle doktrynę, co sprytnego sprzymierzeńca w dalszej walce z Kościołem katolickim. I w tym akurat się nie zawiedli. Radziecki ateizm spotkał się z czeską aprobatą, tworząc związek niepozbawiony miłości.

Cieniem na czeskiej – a właściwie czechosłowackiej – mentalności kładzie się oczywiście rok 1968, znany z tzw. Praskiej Wiosny zapoczątkowanej przez Alexandra Dubčeka. Reformy te, choć pozornie mieściły się w ramach „socjalizmu z ludzką twarzą", wywołały poważne zaniepokojenie Moskwy. Dubčeka podejrzewano nawet – pół żartem, pół serio – że chce przyłączyć Czechosłowację do RFN.

Zachodnioniemiecki wywiad (BND) miał wówczas ocenić, że Dubček „albo zwariował, albo jest geniuszem, który nie wie, że nie żyje w Szwajcarii". Z kolei Markus Wolf, legendarny szef wywiadu zagranicznego wschodnioniemieckiej Stasi, miał wyrazić podobne wątpliwości. Ale kiedy radziecki partner z KGB zapytał Wolfa, czy Demokratyczna Armia Niemiec (NVA) mogłaby wziąć udział w przywracaniu „pryncypiów marksizmu-leninizmu" w Pradze, usłyszał odpowiedź, której się nie spodziewał: „Towarzyszu… chyba oszaleliście. Niemcy nie wchodzą do Czech. Drugi raz to by już nie przeszło".

Ostatecznie więc, choć NRD była gotowa, wojska wschodnioniemieckie nie przekroczyły granicy. Pamięć o Wehrmachcie w Pradze była zbyt świeża, by można ją było zlekceważyć. Praska Wiosna została zduszona, Dubček usunięty, ale przynajmniej żaden Niemiec nie wszedł przez granicę. Tego czeskie okna by już nie wytrzymały.

Świeckość to świętość

Dzisiejsze Czechy to ewenement na skalę planety. Laboratorium bezbożności, które wymknęło się spod władzy Watykanu. 95 proc. obywateli deklaruje brak przynależności do jakiejkolwiek religii, a pozostałe 5 po prostu się jeszcze nie zdecydowało, czy wierzyć w Boga, krasnoludki, czy może Jaromíra Jágra (hokeista, bohater narodowy).

Watykan, niegdyś władca sumień Europy Środkowej, odpuścił rechrystianizację Czech. Żadnego konkordatu. Żadnych negocjacji. Nawet krucjaty jakoś nikt nie ogłasza. Stolica Apostolska wysłała tam wprawdzie nuncjusza, ale na znak rezygnacji lub aktu desperacji – jest nim czarnoskóry arcybiskup Jude Thaddeus Okolo z Nigerii. Posługuje się biegle językiem igbo, po czesku zna słowo „pilsner".

Statystyki mrożą krew w żyłach papieskich legatów. Jest tu ponad 7 tys. kościołów przerobionych na muzea, biblioteki lub galerie sztuki. Liczba księży nie przekracza 1 na 20 tys. mieszkańców. W seminarium uczy się 50 alumnów.

Tylko 1 proc. Czechów uczęszcza regularnie do kościoła. Czechy są karnawałem bez Boga. To nie tyle kraj niewiary, co kraj, w którym pytanie o Boga uznaje się za nietakt towarzyski, jak w Polsce pytanie o zarobki.

Prostytucja, aborcja, związki partnerskie legalne.

Oczywiście emigracja do Czech nie jest wolna od paradoksów, zwłaszcza dla zawodowców wyspecjalizowanych w starciu z Kościołem, oddanych sprawie laicyzacji, demaskacji i świeckiego myślenia. W Czechach człowiek taki… mógłby po prostu stracić zajęcie. Ale to nie znaczy, że nie zyska nowego powołania. Czechy mają najniższe bezrobocie w Unii Europejskiej, oscylujące wokół 2,5 proc., oraz najstabilniejszą gospodarkę w regionie. Więc można zostać na przykład cieślą.

ROBERT JARUGA

eprasa.pl bf69553f1f

Jak Ameryka wrogów sobie hodowała

Kim Dzong Un jest dzieckiem Wuja Sama

Historia Korei przypomina los krewetki żyjącej między dwoma wielorybami. Większym, chińskim, oraz japońskim – mniejszym, ale czasami wyjątkowo brutalnym.

Aż do końca XIX w. Koreańczycy byli feudalnym, wiejskim społeczeństwem. Zamieszkującym położony na peryferiach półwysep. Przełom nastąpił, kiedy chiński sąsiad zaczął być kolonizowany przez zachodnie mocarstwa. A japoński – rozpoczął forsowną modernizację, adaptując zdobycze zachodniej cywilizacji.

Do 1876 r. Koreańczycy traktowali Japonię jako równe, przyjacielskie państwo. Później nastąpił najazd i brutalna, rabunkowa okupacja, obejmująca także akty ludobójstwa, która trwała do roku 1945. Lata te wywołały w Korei powszechną, obecną do dzisiaj, nienawiść do Japończyków. Zwłaszcza że Japonia nigdy nie przeprosiła Koreańczyków za zbrodnie wojenne.

Kraj gównem pachnący

O istnieniu Korei władze USA przypomniały sobie w sierpniu 1945 r., kiedy skapitulowała Japonia, a USA rozpoczęły jej okupację. W tym czasie armia radziecka rozbiła japońską Armię Kwantuńską stacjonującą w Mandżurii, graniczącej z Koreą. Zajęła też północne, uprzemysłowione prowincje chińskie. Zdobyte terytorium i zdobyczną broń przekazała oddziałom Mao Zedonga walczącym o władzę z armią popieranego przez USA Czang Kaj-Szeka.

Zgodnie z umowami alianckiej trójki, ZSRR, USA i Wielkiej Brytanii, pokonana Japonia miała stać się łupem USA. Okupywana przez Japończyków Mandżuria i inne terytoria chińskie miały wrócić do Chin reprezentowanych wtedy przez generalissimusa Czanga. O przyszłości Korei, wówczas peryferyjnej japońskiej prowincji, administracje USA i Wielkiej Brytanii nie myślały.

Stalin w Azji wolał chciał mieć polityczny spokój. Idealny dla jego interesów był stan przewlekłej wojny domowej w Chinach. Zakończony podziałem na dwie strefy. Amerykańską z Czang Kaj-Szekiem i proradziecką z Mao Zedongiem albo kimś bardziej lojalnym wobec Kremla.

Sąsiadująca z ZSRR Korea była w zainteresowaniu Stalina, który wspierał antyjapońską, komunizującą partyzantkę. Miał w swych zasobach kadrowych koreańskich polityków i wojskowych oraz radzieckie kadry zaznajomione z kulturą tego kraju.

Amerykanie takich kadr nie mieli. We wrześniu 1945 r. przysłali na południe Korei swych pierwszych, przypadkowo dobranych wojskowych. Aby przejęli ten teren od nadal obecnej tam administracji japońskiej. I od razu popełnili kolosalne błędy.

Wychowani w USA wojskowi znali Azję tylko od japońskiej strony. Japonii nienawidzili za ciężkie straty zadane im przez cesarską armię. I jednocześnie podziwiali. Imponował im japoński poziom cywilizacyjny i służalczość wobec amerykańskich zwycięzców. Bo przebiegli Japończycy szybko zauważyli, że traktując Amerykanów jak kastę nowych samurajów, a generała MacArtura jak szoguna, unikają powojennych rozliczeń i mogą skupić się na odbudowie kraju.

Pierwsi amerykańscy wojskowi, którzy przybyli do Seulu, przeżyli szok kulturowy. Ujrzeli kraj wyjątkowo biedny, gdzie po wąskich kamienistych drogach podróżowano konnymi wozami. Czasami trafiał się pojazd samochodowy napędzany silnikiem opalanym węglem drzewnym.

Ale najbardziej szokował Amerykanów wszechobecny w Korei zapach ludzkiego gówna. Powszechnie używanego wtedy jako nawóz na karłowatych poletkach. Takie widoki i zapach sprawiły, że Amerykanie od początku traktowali Koreańczyków jak egzotycznych dzikusów.

Nie mogli też się z Koreańczykami porozumieć, bo nie znali ich języka ani koreańskiej kultury. A miejscowi Koreańczycy nie znali angielskiego, bo Japończycy ograniczyli ich edukację do poziomu szkół zawodowych. Wszystkich znających angielski wymordowali.

Amerykanie mieli za to kadry znające japoński, bo od 1941 r. walczyli z cesarstwem. Przejmując władzę nad południem Korei, najłatwiej dogadywali się z pozostałą tam administracją japońską. Zwłaszcza że ta prześcigała się w lojalności wobec nowych władców. Dla swej wygody Amerykanie pozostawili przy zarządzaniu „kulturalnych", mówiących zrozumiałym językiem japońskich administratorów. I kolaborującą z nimi miejscową policję. Nic dziwnego, że

dumni ze swej kultury i odrębności narodowej Koreańczycy od razu znienawidzili Amerykanów. Bo było tam tak, jakby po klęsce Niemiec w 1945 r. pozostawić w Polsce „kulturalnych" zarządców obozów koncentracyjnych, gubernatora Hansa Franka i granatową policję.

Promocja najgorszych

Nocą 10 sierpnia 1945 r. administracja USA uznała, że jednak warto okupować Koreę wspólnie z ZSRR. Dwaj niższej rangi oficerowie otrzymali rozkaz pilnego opracowania planu podziału kraju. Ponieważ nie mieli pod ręką szczegółowych map Korei, tylko ekierkę i mapę całego regionu Azji Południowo-Wschodniej, zauważyli głównie to, że 38. równoleżnik przecina półwysep koreański prawie na pół. Machnęli zatem kreskę wzdłuż niego. Uznali taki podział, zwłaszcza że stolica kraju przypadła strefie amerykańskiej. O opinię Koreańczyków nikt nie pytał, bo nie dbał.

Amerykanie bali się, że Rosjanie nie przyjmą tej propozycji, tylko przejmą cały kraj. Wszak Armia Czerwona przekroczyła wtedy granicę chińsko-koreańską. A wojska amerykańskie dopiero lokowały się na wyspach japońskich. Ale Stalin przystał na taki podział.

Amerykanie poczuli się szczęśliwi. Minął miesiąc i ich wojskowi wylądowali na koreańskiej ziemi. Nie chcieli się koreańskiego uczyć, bo uważali swój pobyt za chwilowy.

Po II wojnie światowej Amerykanie w Azji Południowo-Wschodniej kreowali miejscowych liderów lub popierali zastanych. Zwykle wybierali ich wedle swoich upodobań, nie zważając na miejscowe realia. Nic dziwnego, że ich typy przegrywały, a Stany Zjednoczone wraz z nimi.

W Korei Amerykanie zlekceważyli liderów miejscowego antyjapońskiego ruchu oporu. Przywieźli z USA 70-letniego Li Syng Mana. Pierwszego Koreańczyka, który zrobił doktorat na Princeton. W USA Li Syng był zadeklarowanym demokratą, po powrocie do Korei szybko poczuł się jej niekontrolowanym władcą. Całą swą energię poświęcił na walkę z konkurentami politycznymi. Zwłaszcza z działaczami Koreańskiej Republiki Ludowej. Był to utworzony na terenie całego kraju wspólny podziemny patriotyczny front nacjonalistów o różnorodnych poglądach politycznych i liderów ugrupowań partyzanckich. Li Syng Man walczył z nimi pod hasłami zapobieganiu komunizacji Korei, choć większość z nich była daleka od komunizmu. Ale o tym, kto jest komunistą, decydował Li Syng Man.

Kim wyzwoliciel

Po drugiej stronie 38. równoleżnika radzieccy politycy i wojskowi zaakceptowali zastałe struktury Koreańskiej Republiki Ludowej. W Azji funkcjonariusze ZSRR współpracowali z licznymi partiami i ruchami politycznymi. Dzięki zręcznej polityce i intrygom podporządkowywali sobie lokalnych liderów tych ruchów. Jeśli któryś nie spełniał ich oczekiwań, wywyższali kolejnego.

Stalin, skupiony na Europie Środkowo-Wschodniej, nie interesował się nadmiernie Koreą. Dlatego do końca lat 40. na północy panował względny spokój polityczny, był rozwój gospodarczy. Znacjonalizowano przemysł, ale niekonfliktowo, bo był własnością japońskich okupantów. Przeprowadzono reformę rolną, ale zabrano ziemię przede wszystkim japońskim właścicielom i ich kolaborantom. Trudno dzisiaj uwierzyć, ale wtedy na północy Korei było bogaciej niż na południu. A nawet były tam większe swobody demokratyczne!

Na południu importowany z USA reżim Li Syng Mana i amerykańskie władze, walcząc z „komunistami", rozpaczliwie szukały lokalnego poparcia. Najszybciej uzyskały je ze strony byłych koreańskich kolaborantów: urzędników japońskiej administracji, kadr technicznych w fabrykach. Współpraca układała się dobrze, bo ani w Japonii, ani w Korei Amerykanie nie przeprowadzili defaszyzacji; nie było japońskiej Norymbergi.

Reżim Li Syng Mana podporządkował sobie byłą kolaboracyjną policję i służby specjalne. Blokował przeprowadzenie reformy rolnej. Wszelkimi środkami zwalczał konkurentów politycznych, dopuszczając się licznych zbrodni. Walczył z odradzającymi się związkami zawodowymi. Patronujący mu amerykańscy zarządcy nie zwracali na to uwagi. W lipcu 1948 r. doprowadzili do formalnych wyborów parlamentarnych. W sierpniu ogłoszono powstanie Republiki Południowej Korei. Prezydentem został Li Syng Man. Ten „demokratyczny" prezydent swą uwagę skupił na wprowadzeniu bezlitosnej dyktatury. Dymisjonował wszystkich próbujących niezależności ministrów. Krwawo stłumił bunty lewicowców w Josu na południu kraju. W październiku 1949 r. w więzieniach znajdowało się ponad 90 tys. jego przeciwników.

Korea Północna swą niepodległość ogłosiła we wrześniu 1949 r. Rządzona przez ekipę Kim Ir Sunga (zwanego w naszym kraju Kim Ir Senem) Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna była ludową, ale nadal nie demokratyczną. Tam również rozprawiano się z przeciwnikami, ale czyniono to bardziej skrycie. Doradcy radzieccy intensywnie szkolili koreańskich partyzantów, budując profesjonalną armię. Jesienią 1949 r. w sąsiednich Chinach zwyciężyła Armia Ludowo-Wyzwoleńcza przewodniczącego Mao. Wiele zdobytego na wojskach Czanga amerykańskiego sprzętu wojskowego przekazano sojuszniczej armii koreańskiej. Niebawem miał być użyty przeciwko wojskom USA.

Czekali na wyzwolenie

Od połowy 1949 r. wojna między obu nowymi państwami koreańskimi wisiała w powietrzu. Najsilniej marzyli o niej masowo prześladowani przez reżim Li Syng Mana obywatele Republiki Południowej Korei. Raz po raz dochodziło do zbrojnych incydentów wzdłuż granicznego równoleżnika. Północnokoreańskie rozgłośnie radiowe miesiącami zapowiadały rychłe wyzwolenie. Aktywizowała się antyrządowa partyzantka.

Pomimo tego zdegustowani zamordystycznymi rządami Amerykanie rozpoczęli wycofywanie swego wojska z południa Korei. Zwłaszcza że wojska radzieckie demonstracyjnie opuściły Koreę Północną. Pozostawiając za sobą wyszkoloną koreańską armię.

Amerykanie zostawili południowym Koreańczykom tylko lekki sprzęt wojskowy. Skorumpowani południowokoreańscy wojskowi handlowali wszystkim, co od nich dostali, prezydent Li dbał jedynie o rozwój tajnej policji politycznej. Pewnie dlatego, kiedy 25 czerwca 1950 r. siedem dywizji wspartych brygadą czołgów T-34 i liczną artylerią zaatakowało wojska południowokoreańskie, to natrafiły na słaby opór. Silnego oporu nie stawiły też wojska amerykańskie. Złożone z rekrutów lub żołnierzy korzystających z uroków sąsiedniej Japonii. Armia północnokoreańska szybko zajęła Seul i posuwała się na południe. Największymi przeszkodami w marszu były trudne warunki geograficzne i brak dróg dla oddziałów zmotoryzowanych.

W sierpniu 1950 r. opanowano całe południe z wyjątkiem regionu wokół portu Pusan. Wydawało się, że wojska Kim Ir Sunga zjednoczyły Koreę. Ale 15 września nastąpił niespodziewany desant wojsk USA w okolicach portu Incheon. W międzyczasie Amerykanie zmienili charakter lokalnej wojny. Korzystając z bojkotu przedstawicieli ZSRR obrad Rady Bezpieczeństwa ONZ, zapewnili swojej interwencji patronat ONZ i pomoc wojskową państw członkowskich.

Potem „siły ONZ" ruszyły na północ kraju. W październiku 1950 r. około 90 proc. terytorium Korei Północnej znalazło się pod ich okupacją. Teraz wydawało się, że zjednoczenia Korei dokona Południe. Ale kiedy w listopadzie „wojska ONZ" zbliżały się do granicy z Chinami, napotkały inaczej wyglądające oddziały wojskowe. Przewodniczący Mao rzucił na front kilkusettysięczną armię, zwaną ochotnikami ludowymi, aby Chiny uczestniczyły w wojnie bez formalnego wypowiedzenia.

Stalin wpadł we wściekłość, prezydent USA Truman w osłupienie, a generał Mac Arthur proponował zrzucenie bomb atomowych na Chiny. Ponieważ chińscy „ochotnicy" byli weteranami wojny domowej, nastąpił kolejny zwrot. Ochotnicy z wojskami północnokoreańskimi pomaszerowali na południe i w styczniu 1951 r. zdobyli Seul. Dalsze działania utrudniała wszystkim surowa koreańska zima. Temperatura spada tam poniżej –20 st. C. Jak wspominali weterani ze wszystkich stron, mieli tam swój Stalingrad. Więcej żołnierzy zmarło z mrozów, głodu, chorób niż walk.

W lipcu 1951 r. rozpoczęła się pierwsza tura rokowań pokojowych. Toczyły się powoli. Do podpisanego 27 lipca 1953 r. w Panmundżomie rozejmu. Ustanowiono strefę demarkacyjną wzdłuż 38. równoleżnika. Czyli wrócono do stanu sprzed wojny.

Długotrwały rozejm umocnił sfery wpływów mocarstw w Korei i sprzyjał dyktatorskim rządom w obu krajach. Na Południu wojsko obaliło znienawidzonego prezydenta Li. Rozpoczęło budowę nowoczesnej gospodarki. Przemiany demokratyczne rozpoczęły się w Republice Korei dopiero w latach 80. XX w. Dzisiaj jest to gospodarcza potęga z azjatycką demokracją parlamentarną.

W Koreańskiej Republice Ludowo-Demokratycznej ekipa Kim Ir Sunga zlikwidowała konkurentów do władzy. Potem, lawirując między chińskimi i radzieckimi protektorami, stworzyła azjatycką satrapię, podporządkowaną wojsku gospodarkę. Rządy klanu rodziny Kimów i generałów. Dysponujące skuteczną polisą bezpieczeństwa – gigantyczną armią i bronią atomową.

Historię Korei warto przypominać wszystkim chętnym do oddania się pod obronę USA – i innych mocarstw też.

Bo lata lecą, a postulowanego zjednoczenia Korei nie widać. Ku zadowoleniu mocarstw i jej sąsiadów.

PIOTR GADZINOWSKI

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl bf69553f1f

Corbyn – reaktywacja

Im bardziej histerycznie elity reagują na nową brytyjską lewicę, tym lepiej dla ludu

Fajnie jest dziś być lewakiem w Wielkiej Brytanii. Zgoda, mają gówniany laburzystowski rząd, który wspiera ludobójstwo w Gazie, wydaje 60 mld funtów (300 mld zł) na zbrojenia i zabiera zasiłki niepełnosprawnym – ale mają też nową partię Jeremy'ego Corbyna, która w chwili zamykania tego numeru miała 700 tys. deklaracji. Kiedy to czytacie, na pewno ma już dużo więcej.

Te 700 tys. to – bądźmy precyzyjni – liczba osób, które zarejestrowały się na stronie www.yourparty.uk. „Twoja partia" to robocza nazwa partii, która jeszcze nie jest zarejestrowana, więc nie wydaje legitymacji, nie zbiera składek. Jednak warto odnotować, że to więcej niż laburzyści, torysi, liberałowie i prowadząca w sondażach Reform UK Nigela Farage'a do kupy. A także więcej, niż Labour Party miała w szczycie swojej liczebności – który, trzeba trafu, przypadał na czas przewodniczenia Jeremy'ego Corbyna.

Oczywiście, że rozczarowujemy

Przeciwnicy Corbyna, zwłaszcza ci bliscy rządzącej Labour Party, czerpią wyraźną radość z chaotyczności procesu tworzenia nowej formacji, a także napięć istniejących podobno między nim i Zarą Sultaną – 31-letnią posłanką, która rozstała się ostatnio z LP i ogłosiła, że z Jeremym zakładają partię, co ponoć było z nim nieuzgodnione. Podobnie jak koncept „współprzewodniczenia", do którego Corbyn ma nie mieć przekonania. Sultana jest niewątpliwą wartością dodaną: jest młodą, popularną, pryncypialnie lewicową posłanką z wielką biegłością w social mediach i jestem dziwnie pewna, że Corbyn to też uznaje. Towarzysze laburzyści, nie martwcie się, jakoś się dogadają.

Kierownictwo Labour Party zachowuje wyniosłe milczenie. Wyjątkiem jest niezbyt rozgarnięta kanclerz skarbu – ministrzyca finansów – Rachel Reeves, która najwyraźniej nie zauważyła, że jest rok 2025 i nikt już nie kupuje neoliberalnego bełkotu, który się sprzedawał pod koniec XX w. „Moim zadaniem jest zapewnić, że liczby się zgadzają, a to nie zawsze sprawia, że jesteś popularny, każdy chce więcej pieniędzy na wydatki publiczne, oczywiście, że rozczarowujemy ludzi" – tokowała Reeves z wyraźnym samozadowoleniem. Dość ryzykownym w czasach, gdy 4,5 mln dzieci brytyjskich dzieci żyje w ubóstwie z powodu ograniczenia zasiłków rodzinnych, a rząd planuje też obcięcie zasiłków dla niepełnosprawnych, które przywali 3,2 mln gospodarstw domowych. Równocześnie – co nie umyka uwadze obywateli państwa rządzonego przez (nominalną) lewicę – brytyjscy miliarderzy w zeszłym roku wzbogacili się o 11 mld funtów.

Kanclerz Reeves ma na ten publiczny wkurw jedną radę: olać.

„Kraj odrzucił go dwukrotnie. Ten koleś ma wielkie ego. Może spróbować jeszcze raz, ale myślę, że kraj wyda taki sam werdykt" – ogłosiła z dezynwolturą, pytana o Corbyna.

Tak dla porządku – bo warto o tym przypominać – owo „dwukrotne odrzucenie" Corbyna, czyli dwie wyborcze przegrane kierowanej przez niego Labour Party, trzeba rozpatrywać w kontekście pojebanej ordynacji większościowej. Podobnie jak zeszłoroczne zwycięstwo partii Keira Starmera. W 2017 r. Labour Corbyna dostała 40 proc. i prawie 13 mln głosów; w 2019 – 32 proc. i 10,3 mln. Zwycięstwo i olbrzymią większość przyniósł Starmerowi wynik wyraźnie gorszy: 9,7 mln głosów. Uratowało go ogólne zniechęcenie do polityki, które przełożyło się na rekordowo niską frekwencję, co z kolei dało mu 1,5 proc. głosów więcej niż „straszliwa klęska" Corbyna.

Na niedługo zresztą – w ciągu 12 miesięcy rządzenia Labour Party straciła 10 proc. poparcia; to największy roczny zjazd od lat 90. i rządów Johna Majora.

Szczery, silny, radykalny

Głównym argumentem, który laburzystowski establishment wytacza przeciwko nowej partii, jest ten o „dzieleniu lewicy" – co jakoby ma dopuścić do władzy prawicowych populistów z Reform UK, która obecnie notuje poparcie powyżej 30 proc., czyli ma 7 do nawet 14 punktów przewagi nad rządzącą LP. Ten argument ma wszakże miękkie podbrzusze:

Jeremy Corbyn ma znacznie większe szanse na odwojowanie części potencjalnych wyborców Farage'a. Albowiem nie ma takiej kategorii, w której Corbyn nie biłby Starmera na głowę w oczach zwolenników Reform UK.

Sondaż Merlin Strategy z końca lipca, przeprowadzony wyłącznie wśród wyborców Reform, wykazał, że uważają oni byłego szefa Labour Party za zdecydowane bardziej „autentycznego", „działającego dla ludzi pracy", „szczerego", „z zasadami", „silnego" i „reprezentującego zmianę". W tych kategoriach przewaga Corbyna wynosi 60 do 40 lub więcej. W kategorii „podejmuje radykalne decyzje" przewaga Corbyna nad Starmerem to 70:30. To szczególnie ważne, bo siłą Farage'a – i generalnie nowych ruchów populistycznych – jest właśnie radykalizm.

Przeważnie, niestety, ów radykalizm jest prawicowy, wymierzony w imigrantów, często wręcz faszyzujący. Corbyn znajduje na to znakomitą odpowiedź: „Ci, którzy chcą nas podzielić, mówią wam, że za problemy w naszym społeczeństwie odpowiedzialni są migranci i mniejszości. Nie są. Problemy te są spowodowane przez zgniły system gospodarczy, który chroni interesy miliarderów i korporacji. Obarczając migrantów i mniejszości odpowiedzialnością za własne niepowodzenia w kraju, Partia Pracy utorowała drogę dla Reform UK".

Prawdziwe pytanie brzmi zatem: czy Jeremy Corbyn jest w stanie przekonać Brytów, że ich wróg jest klasowy, nie kolorowy? Inaczej mówiąc, przekierować ich wkurwienie z imigrantów na bogaczy?

Otóż jest to niewykluczone. Albowiem ten argument nieźle się sprzedaje.

Rozmawiając z postępowym portalem „The London Economics" na temat zniesienia nieszczęsnego limitu zasiłków dla dzieci, Corbyn powiedział: „Pomysł, że nie możemy sobie na to pozwolić, jest niedorzeczny. Zniesienie tej polityki kosztowałoby 1,3 mld. To drobiazg przy tym, co możemy uzyskać, opodatkowując najbogatszych w naszym społeczeństwie. Zwiększenie podatku od 1 proc. najlepiej zarabiających do stawki 50 proc. przyniosłoby 5 mld. Podatek w wysokości 1 proc. od majątku wartego ponad 10 mln – 10 mld funtów. Wystarczy wybrać".

Żeby było zupełnie śmiesznie: Jeremy Corbyn nie jest w tym zakresie najbardziej radykalnym politykiem – ani nawet najbardziej radykalnym byłym liderem Labour Party.

Neil Kinnock, szef partii z lat 1983–1992, ogłosił, że „przez ostatnie 20 lat zarobki ulegały stagnacji, a wartość aktywów szalenie wrosła", toteż należy rozważyć „nałożenie dwuprocentowego podatku na aktywa o wartości powyżej 10 milionów funtów". Na marginesie – Kinnok bynajmniej nie jest zwolennikiem Corbyna i jego nowej formacji, której proponuje nazwę „Grupa Wsparcia Farage'a" i oskarża ją o to, że „tylko pomoże wrogom Partii Pracy".

Patriotyczni milionerzy kontra służba

Oczywiście, jak tylko Kinnok wspomniał o podatku majątkowym, do boju ruszyli usłużni fani bogaczy.

Próbka.

„Financial Times": „Szkodliwy flirt Wielkiej Brytanii z podatkiem majątkowym. Wyższe podatki dla przedsiębiorców już szkodzą atrakcyjności UK. Zamożni przedsiębiorcy to mobilna gromadka, a kraje zabiegają o ich względy". Uchodzący za liberalno-lewicowy dziennik „The Independent": „Słuchając tych propozycji, człowiek zastanawia się, na jakiej planecie

Londyn Marksa, Marks w Londynie

Co robić w kraju rządzonym przez Starmera

Gdybyście tego lata trafili do Londynu, olejcie Buckingham Palace, Tower Bridge i London Eye (to ta monstrualna karuzela). Tylko Piccadilly Circus nie olewajcie, bo tam zaczyna się wycieczka śladami Karola Marksa. Ani British Muzeum, bo tam się kończy.

Karl Marx Walking Tour zaczyna się w każdą niedzielę o 11.00, a jak są dwie grupy, to i o 11.30. Ja trafiłam tam prosto z Festiwalu Marksizm, gdzie rozdawano ulotki, więc tłok był taki, że załapałam się na grupę drugą, w pełni znaczenia tego słowa internacjonalistyczną: byli w niej Kolumbijczycy, Meksykanie, Francuzi, a nawet parka Amerykanów. Wycieczka kosztuje 20 funtów i były to moje najlepiej wydane w Londynie pieniądze. No, może z wyjątkiem wjazdu na wyżej wspomniany festiwal, gdzie widziałam Jeremy'go Corbyna na żywo.

Naszym przewodnikiem po marksowskim Londynie był cudny Mark Bygrave: radosny lewak koło sześćdziesiątki, w kaszkiecie, z plecakiem, olbrzymią wiedzą i niespożytą energią. Mark zradykalizował się – jak sam mówi – w wieku lat 15, kiedy porzucił szkołę i zaczął pracować na budowach. Były to czasy Thatcher, więc o radykalizację było nietrudno. Ponurą ironią jest fakt, że 40 lat później, przy rządach Partii Pracy, atmosfera jest podobna – co można wnioskować z popularności nowej formacji Corbyna.

Wracając wszakże do Karola Marksa – przeżył on w Londynie 34 lata, choć był przekonany, że wpada tylko na chwilę.

Urodzony w Trewirze filozof spędził większość życia na pętaniu się po Europie. Głównie dlatego, że ciągle go skądś wyganiano za wywrotowość: z Prus na życzenie cara Rosji Mikołaja I, z Francji na prośbę króla Prus Fryderyka Wilhelma IV, z Belgii decyzją – dla odmiany – belgijskiego króla Leopolda I, po tym jak Marks został oskarżony (zapewne słusznie) o wydatkowanie sporej części spadku po ojcu na uzbrojenie belgijskich robotników szykujących się do rewolucji. Tak się szczęśliwie złożyło, że we Francji akurat trwała rewolucja 1848 r. i członek rządu tymczasowego Ferdinand Flocon zaprosił „odważnego i lojalnego" (tak stało w liście) Marksa z powrotem do kraju – ale zaproszenie dość szybko się zdezaktualizowało, kiedy kontrrewolucja zwyciężyła. W 1849 r. Karol Marks trafił do Londynu – i już tam pozostał do swojej śmierci w 1883.

Brytyjczycy są przekonani, że szczególnie ucierpieli podczas „Blitzu" – czyli niemieckich bombardowań – ale my, zwłaszcza w okolicach rocznicy powstania, możemy sobie szczerze powiedzieć, że nie mają pojęcia, co to są zniszczenia wojenne. Dzięki temu wycieczka śladami Marksa jest tak żywa: większość miejsc, które najwybitniejszy Niemiec w historii zaszczycił swoją obecnością półtora wieku temu, można oglądać do dziś.

A jeśli nie, to dlatego, że zniszczył je kapitalizm. Tak na przykład było z pubem Red Lion – „Czerwony Lew" – w którym w 1847 r. odbył się II Kongres Związku Komunistów. Tak dokładnie to w sali nad pubem, ale sam pub był wśród komunistów bardzo popularny. W latach 90. pojawiła się nawet mosiężna tabliczka, upamiętniająca fakt, że to tam „Karol Marks i Fryderyk Engels zostali poproszeni o napisanie programu działania Związku Komunistów", co zaowocowało w lutym 1848 r. Manifestem Komunistycznym. Nawiasem mówiąc, kongres był na przełomie listopada i grudnia, manifest miał powstać do świąt, ale – jak wyjaśnił nam nasz znakomity przewodnik –

Karol Marks był fizycznie chory za każdym razem, kiedy zbliżał się deadline na jakikolwiek z jego tekstów. Do tego stopnia, że Związek Komunistów groził, że zamówi manifest u kogoś innego. Spróbujmy to sobie wyobrazić.

Tabliczka zniknęła zresztą w 2006 r., kiedy Czerwony Lew został przekształcony w koktajlbar sieci Be@One. Żeby było zupełnie śmiesznie, po kryzysie 2008 r. nowi właściciele uznali, że kapitalizm ma na tyle złą prasę, iż Karol Marks może jednak mieć jakiś walor reklamowy i informacja o powiązaniach z twórcą „Manifestu Komunistycznego" pojawia się obecnie w różnych materiałach promocyjnych lokalu.

Dawny Czerwony Lew to pierwszy przystanek wycieczki po Londynie. Dalej na trasie jest pochodzący z 1739 r. pub The Blue Posts w Soho, w którym uchodźcy z różnych nieudanych zrywów zbierali się, żeby planować nową rewolucję – aż lokal-

eprasa.pl bf69553f1f

ich autorzy żyją; czego z globalnego świata – w którym kraje (w tym kraje zachodnie, o których wspomina Kinnock, gdzie wartość aktywów gwałtownie wzrosła, a zarobki uległy stagnacji) wychodzą z siebie, aby przyciągnąć zagranicznych inwestorów – nie rozumieją? Kraje te wiedzą, że to pieniądze inwestorów generują dobrobyt i miejsca pracy". Tax Policy Associates, przedstawiający się jako organizacja non profit, „założona w celu poprawy polityki podatkowej i prawnej oraz publicznego zrozumienia podatków": „Podatki majątkowe: niewykonalne, antywzrostowe, wysokiego ryzyka. Podatek obniżyłby długoterminowy wzrost gospodarczy i zatrudnienie przez spadek inwestycji zagranicznych i krajowych"…

Po drugiej stronie tej dyskusji stoją poważni ekonomiści – 30 z nich, na czele z Thomasem Pickettym, podpisało ostatnio list pod tytułem „Pora na podatek majątkowy w UK": „Dane pokazują, że niewielka mniejszość posiada obecnie skandalicznie nieproporcjonalną część bogactwa kraju. Niespełna 50 rodzin posiada więcej, niż 30 mln ludzi w Wielkiej Brytanii".

Ciekawostka – pod listem ekonomistów podpisuje się też organizacja o nazwie Patriotic Millionaires UK, licząca wprawdzie tylko 75 osób, ale za to dość, powiedzmy, wpływowych. Sondaż przeprowadzony w czerwcu przez firmę Survation wśród brytyjskich milionerów wykazał, że 80 proc. z nich popiera wprowadzenie dwuprocentowego podatku od majątku przekraczającego 10 mln funtów, a tylko 8 proc. jest przeciw. Mało tego, wśród tych, którzy podatek musieliby zapłacić – bo mają powyżej 10 baniek – poparło go 85 proc.

Jest to – nieco paradoksalnie – 10 proc. więcej niż w całej populacji. Co nie zmienia faktu, że za podatkiem od majątków powyżej 10 baniek jest trzech na czterech Brytów. Co zapewne jest powodem, dla którego przerażony sondażami Keir Starmer, wezwany wprost do wykluczenia takiego podatku przez szefową Partii Konserwatywnej Kemi Badenoch, wykręcał się od odpowiedzi.

Ślepy na Rosję

I na koniec: warto też przypomnieć, że jedną z głównych przyczyn klęski Corbyna była skuteczna kampania czarnego PR, przedstawiająca jego oddanie sprawie Palestyny jako antysemityzm. Zwieńczona wspólnym oświadczeniem opublikowanym przez trzy największe żydowskie gazety w Wielkiej Brytanii, straszącym, iż rząd Corbyna będzie stanowił „egzystencjalną groźbę dla życia Żydów w UK".

To było jednak w 2018 r. – wtedy, kiedy zbrodnie Izraela wobec Palestyńczyków były wiadome tylko tym, którzy chcieli o nich wiedzieć. Dziś,

po półtora roku ludobójstwa toczącego się na oczach świata, szantaż emocjonalny uprawiany przez Izrael i lojalną wobec niego część żydowskiej diaspory, jakby stracił na skuteczności.

Zaś uległość Starmera wobec tego zbrodniczego państwa jest jedną z głównych przyczyn całkowitego upadku autorytetu rządu.

Nawiasem mówiąc: ubawił mnie do łez tekst „Krytyki Politycznej" zatytułowany, zgodnie z linią establishmentu, „Nowa partia Corbyna to kłopot dla Starmera i szansa dla Farage'a".

Jakub Majmurek z niejaką nadzieją wyłuszcza tam problemy, przed którymi stanie nowa formacja: „nowa partia ma też reprezentować młodą, wielokulturową Brytanię, zarówno progresywnych absolwentów starających się utrzymać z pierwszej pracy w Londynie, jak i bardziej konserwatywne społecznie i kulturowo muzułmańskie społeczności z Birmingham czy Leicester". Serio? Czy red. Majmurek naprawdę sądzi, że w sytuacji, w której obecny rząd dostarcza broń Izraelowi i próbuje konkurować z Farage'em w szczuciu na imigrantów – społeczność muzułmańska będzie pytała Corbyna, czy zlikwiduje małżeństwa jednopłciowe?

Na tym zresztą mimowolny komizm testu red. Majmurka się nie kończy. Oczywiście musiał wpleść w niego Ukrainę – bo jakże by inaczej?

„Niestety, partia przyciągnie też środowiska ślepe na rosyjski imperializm i wrogie NATO. W 2022 r., kilka dni przed rozpoczęciem pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę, Corbyn i Sultana podpisali oświadczenie koalicji »Stop the War«, w którym czytamy między innymi, że Ukraina nie ma »suwerennego prawa dołączenia do NATO (ani żadnego innego sojuszu wojskowego)«, że NATO nie jest czysto obronnym sojuszem i powinno zaprzestać swojej »ekspansji na wschód«. Po rozpoczęciu inwazji Sultana, podobnie jak inni podpisani posłowie Partii Pracy, wycofała swój podpis pod groźbą zawieszenia w prawach członka klubu partii. Podpis Corbyna ciągle jednak tkwi pod tym oświadczeniem".

Tak dla ścisłości: oświadczenie nie mówi, że „Ukraina nie ma »suwerennego prawa dołączenia do NATO«" – tylko że dołączenie do militarnego sojuszu generalnie nie istnieje jako „prawo suwerenne"; w takim sensie, że nie zależy od jednostronnej decyzji danego państwa. To jednak mniej istotne.

„Podpis Corbyna ciągle tkwi pod oświadczeniem", ponieważ Corbyn ciągle jest pacyfistą i ciągle opowiada się za dyplomatycznym rozwiązywaniem konfliktów. Ciągle też ma wątpliwości co do obronnego charakteru NATO – wyjaśnienie tej tezy red. Majmurek zręcznie pominął. A brzmi ono tak: „Kwestionujemy pogląd, że NATO jest sojuszem obronnym, i uważamy, że jego działania w Afganistanie, Jugosławii i Libii w ciągu ostatniego pokolenia, nie wspominając o amerykańsko-brytyjskim ataku na Irak, wyraźnie dowodzą, że jest inaczej". Corbyn ciągle też kwestionuje wyścig zbrojeń i uważa, że środki przeznaczane na broń należy wydawać na cele społeczne.

Największą zbrodnią Corbyna jest zaś fakt, iż nie jest histerycznie antyrosyjski, co pozwala mu racjonalnie oceniać źródła i drogi zakończenia wojny na Ukrainie.

Moi zdaniem – takiej lewicy potrzeba światu.

Polsce też, nawiasem mówiąc. Szkoda, że „Krytyka Polityczna" jest na to – żeby zacytować red. Majmurka – ślepa.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

si zaprotestowali, że mają dość tych imigrantów w swojej okolicy. Dziś po komunistycznym dziedzictwie nie ma śladów, za to – także w duchu progresywnym – pub zdobią tęczowe flagi. Później jest tzw. Niemiecki Hotel – znany z goszczenia imigrantów z Niemiec, głównie politycznych uchodźców – gdzie Marks mieszkał z rodziną przez trzy miesiące, aż ich wywalili za niepłacenie czynszu. Na hotelu widnieje skromna okrągła niebieska tabliczka z komunikatem „Karol Marks, 1818–1883, komunistyczny rewolucjonista, mieszkał tutaj w 1850 r." – pod nią kilkukrotnie większa marmurowa tablica z wypisanym złotymi literami życiorysem Johanna Straussa, „ojca walca", i nawet kawałkiem nut. Zanim jednak ulegniemy pokusie porównań (sama jej uległam) warto sobie przypomnieć, że w Polsce nie ma żadnych znaków upamiętniających naszą lewicową historię, bo ostatnie polikwidował obecny prezydent.

Taka sama nieduża niebieska tablica zdobi budynek przy Dean Street 28, gdzie Marks mieszkał w dwóch pokojach z żoną, rozlicznymi dziećmi (dwoje tam zmarło), gospodynią i przyjaciółką domu Helene Demuth, która po śmierci Marksa zamieszkała z Engelsem i razem redagowali kolejne tomy „Kapitału" oraz – okazjonalnie – młodym lewakiem nazwiskiem William Pieper. William tłumaczył teksty Karola na angielski, a zapisał się w historii głównie rozrywkowym stylem życia i faktem, że dwukrotnie złapał syfilis. Żona filozofa, Jenny, pochodząca skądinąd z arystokratycznej rodziny von Westphalen, uważała Piepera za bufona, ale Karol miał do niego słabość. To w tym mieszkaniu – do którego z czasem Marksowi udało się dołączyć trzeci pokój przeznaczony do pracy – rodził się „Kapitał".

Obecnie w budynku przy Dean Street 28 mieści się restauracja i prywatny klub Quo Vadis. W 1967 r., kiedy na budynku umieszczano tabliczkę ku czci Marksa, ówczesny szef restauracji narzekał: „Moja klientela to najlepsi z najlepszych, ludzie bogaci, szlachta i członkowie rodziny królewskiej, a Marks chciał się ich wszystkich pozbyć!".

W 1866 r., dzięki spadkowi, jaki otrzymała Jenny, i – oczywiście – pomocy Friedricha Engelsa, Marksowie przenieśli się w nieco lepsze warunki. W domu przy Maitland Park Road 41 w 1881 r. zmarła Jenny, w 1883 – ich najstarsza córka (też Jenny), a trzy miesiące po niej – wedle przemówienia żałobnego Engelsa – „największy żyjący myśliciel przestał myśleć".

Wycieczka kończy się w oszałamiającej czytelni British Muzeum, gdzie Karol Marks spędzał długie godziny – zwłaszcza w czasie, gdy mieszkał na Dean Street. Olbrzymią salę zwieńczoną szklaną kopułą trudno jest opisać – dlatego namawiam: zobaczcie ją sami, koniecznie z marksistami. W ramach dodatkowej zachęty dodam, że wstęp do British Museum jest wprawdzie bezpłatny, ale kolejki ciągną się naokoło kwartału ulic. Uczestnicy Marx Walk wchodzą bez kolejki.

AWŁ

Zdjęcia AWŁ

Czy powstańcy byli terrorystami?

Ludobójstwo w Gazie

Ilust. KRZYSZTOF OLEJNIK

Trwające w Strefie Gazy działania rządu Izraela to ludobójstwo i eksterminacja.

Sytuacja w Gazie usprawiedliwia te radykalne słowa wypowiadane coraz częściej na całym świecie. Trudno bowiem nie odnieść wrażenia, że prawicowy rząd Netanjahu realizuje nie tylko wojnę z Hamasem, ale też politykę wysiedlenia narodu palestyńskiego z Gazy. Wiadomo też, że obecna sytuacja humanitarna Palestyńczyków jest tragiczna. To ostre oskarżenie, które w świetle tragedii, jaka rozgrywa się na oczach całego świata, ma uzasadnienie w skali zniszczeń, liczbie ofiar i totalnym oblężeniu, jakiego doświadczają mieszkańcy Gazy. Izraelska armia, używając przewagi militarnej, prowadzi operacje, które w istocie sprowadzają się do systemowego niszczenia infrastruktury cywilnej: bombardowania domów, szpitali, szkół i obozów, a nawet obozów dla uchodźców. Najwyraźniej stoi to w sprzeczności z prawem międzynarodowym i konwencjami wojennymi. Zorganizowana przez Hamas

masakra z 7 października 2023 r., choć nie do usprawiedliwienia, nie była – jak zauważył sekretarz generalny ONZ António Guterres – „aktem, który wydarzył się w próżni". Była brutalną konsekwencją dziesięcioleci okupacji, blokady i systematycznego upokarzania narodu palestyńskiego.

Od 1967 r. – ponad pół wieku – Gaza jest okupowana przez przez Izrael. Który wprawdzie w 2005 r. wycofał swoje wojska i osadników ze Strefy Gazy – ale kontrolował ściśle jej lądowe i morskie granice, utrzymując enklawę w stanie blokady, dokonując także częstych nalotów. Ziemia Palestyńczyków przejmowana była przez Izrael w formie osadnictwa na Zachodnim Brzegu. Przez lata strefa Gazy nazywana była „więzieniem pod gołym niebem".

Ta sytuacja: brak swobodnego przepływu osób i towarów, ograniczony dostęp do podstawowych usług, takich jak woda, elektryczność i opieka zdrowotna, jest niespotykanym w nowoczesnym świecie rodzajem okrutnej okupacji. To doprowadziło Palestyńczyków do ostateczności i w końcu do powstania, które przyjęło formę okrutnego ataku Hamasu na Izrael w 2023 r. Trudno usprawiedliwiać zbrojną agresję – chociaż w opisanej sytuacji łatwiej ją zrozumieć. Jednak jeszcze bardziej nie da się usprawiedliwić nieproporcjonalnego zbrojnego aktu odwetu ze strony prawicowych władz Izraela.

Sytuację zbrojnego oporu wobec okupanta powinni dobrze rozumieć Polacy. Przypomniała nam o tym 81. rocznica Powstania Warszawskiego. Doskonale, jak sądzę, rozumieją to Polacy pochodzenia żydowskiego i ich rodziny – także ci, którzy dziś są obywatelami Izraela. Widzimy, jak narasta opór społeczeństwa Izraela przeciwko okrutnej polityce władz.

Jednak rozumieją to nie wszyscy, których korzenie tkwią w polskiej przeszłości. Premier Izraela, Beniamin Netanjahu, ma polskie korzenie. Jego ojciec urodził się w Warszawie jako Bencyjon Milejkowski i mieszkał tu do 1920 r., a następnie wyemigrował z rodziną do Palestyny. Dziś Netanjahu i jego poplecznicy nazywają walczących Palestyńczyków terrorystami. Rozumiem skalę i tragizm Hamasowskiego ataku z 2023 r., ale dziś o życie walczy cała Palestyna. Czy mielibyśmy czelność nazywać terrorystami bojowników z hitlerowskim okupantem?

Rola Stanów Zjednoczonych jest w tej tragedii równie godna potępienia jak działania rządu Netanjahu. USA, będące głównym sojusznikiem Izraela, dostarczają mu potężnego wsparcia militarnego i dyplomatycznego. To amerykańska pomoc finansowa i technologiczna umożliwia izraelskiej armii prowadzenie operacji na taką skalę. Ponadto Stany Zjednoczone wielokrotnie blokowały w Radzie Bezpieczeństwa ONZ rezolucje mające na celu potępienie Izraela lub wezwanie do zawieszenia broni – co czyni je de facto współodpowiedzialnymi za eskalację konfliktu. Bez wsparcia USA izraelskie działania miałyby znacznie mniejszy zasięg. Zamiast dążyć do sprawiedliwego i trwałego pokoju, Stany de facto podtrzymują status quo, które jest źródłem cierpienia Palestyńczyków.

Unia Europejska również ponosi odpowiedzialność za sytuację w Strefie Gazy. Pomimo apeli o deeskalację i pomoc humanitarną europejskie działania są niezdecydowane i zdominowane przez interesy poszczególnych państw. No cóż! Interesy kapitału dominują nad prawami człowieka. W rezultacie Unia Europejska nie wykorzystuje swojego potencjału gospodarczego i politycznego, by wywrzeć presję na Izrael i zmusić go do przestrzegania prawa międzynarodowego.

Polska, jako członek UE, także nie jest wolna od odpowiedzialności. Zamiast zająć stanowisko zdecydowanego potępienia polski rząd wstrzymuje się od silnych działań dyplomatycznych. Taka bierność, choć motywowana zawiłościami międzynarodowej polityki i relacjami z USA, jest w rzeczywistości formą przyzwolenia na trwającą tragedię.

– Nie zgadzamy się na robienie interesów nad grobami Palestyńczyków – mówiła w trakcie głodowego protestu pod Ministerstwem Spraw Zagranicznych Julia Kafka. – Mamy rocznicę Powstania Warszawskiego, znowu będą powtarzane hasła: Nigdy więcej. I co z tego wynika?

Głodująca z Julią Alina Palichleb dodaje, że ten protest „to krzyk o pomoc państwa polskiego dla cierpiącej Palestyny.

ANNA GRODZKA

eprasa.pl bf69553f1f

Ona musi siedzieć!

Jak w Argentynie władza radzi sobie z opozycją

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

W Argentynie od czasów Juana Domingo Perona toczy się walka między ugrupowaniami nastawionymi propaństwowo i prospołecznie – ich siłą motoryczną jest Partia Sprawiedliwości – a prawicą reprezentującą interesy oligarchów miejscowych i obcych. Los byłej prezydent Cristiny Kirchner doskonale ilustruje istotę tego konfliktu.

10 czerwca 2025 r. trzej sędziowie Sądu Najwyższego II instancji (Ricardo Lorenzetti, Horacio Rosatti i Carlos Rosenkrantz) zatwierdzili wcześniejszy wyrok skazujący byłą prezydent i wiceprezydent Argentyny, Cristinę Fernandez de Kirchner, na sześć lat więzienia, dożywotni zakaz sprawowania urzędów publicznych oraz zapłacenie 84 mld dol. kary.

Sprawa ma dość długą historię sięgająca prezydentury Nestora Kirchnera. Dotyczy ona afery korupcyjnej zwanej Causa Vialidad, którą powiązano z osobą pani prezydent.

Ustny wyrok został ogłoszony przez federalny trybunał sędziowski w grudniu 2022 r. W listopadzie 2024 r. zatwierdziła go Izba Kasacyjna w składzie: Mariano Borinsky, Gustavo Hornos i Diego Barroetaveña. Obrona wniosła apelację do sądu wyższej instancji; w czerwcu 2025 r. SN podtrzymał decyzje niższych instancji, uznając winę byłej pani prezydent w kwestii nieprawidłowości w administrowaniu prac publicznych w prowincji Santa Cruz.

Łapaj złodzieja!

Vialidad Nacional to państwowe przedsiębiorstwo zajmujące się budową i konserwacją dróg, mostów i przebiegów kolejowych. Za prezydentury Nestora Kirchnera firma ta dostała zlecenie rozbudowy sieci infrastruktury w Argentynie. W 2005 r. przetarg na budowę dróg i autostrad w prowincji Santa Cruz wygrał Lazaro Baez, właściciel firmy Austral Construcciones S.A., wcześniej znajomy rodziny Kirchnerów. W ten sposób Baez – który, co trzeba przyznać, nie był zbyt kompetentny – rozpoczął współpracę z Vialidad Nacional.

W prowincji Santa Cruz miało powstać 51 połączeń komunikacyjnych; przedsięwzięcie, łącznie z kosztorysem, zostało zatwierdzone przez parlament (w tym prawicową opozycję). Gdy dekadę temu prezydentem Argentyny został neoliberał Mauricio Macri, dyrektorem Vialidad Nacional mianował inżyniera Javiera Alfreda Iguacela, swojego ministra energetyki. Iguacel znany jest z prania brudnych pieniędzy, lokowania zysków w bankach offshore, zamykania szkół średnich i wyrzucania nauczycieli na bruk oraz różnych podejrzanych przedsięwzięć – takich jak budowa mostu kolejowego w Lujan. Koszt budowy mostu wyniósł 67 mln dol., ale nie przejechał po nim żaden pociąg, gdyż konstrukcja była za słaba i za wąska. Zamiast wymaganych 4,20 m szerokości miała tylko 3,40 m.

Pierwsza rzeczą, jaka Iguacel uczynił po objęciu kierownictwa Vialidad, było przeprowadzenie śledztwa w sprawie domniemanych nieprawidłowości. Zarzuty dotyczyły tego, że w tym momencie część prac była nieukończona, inne wykonano dwukrotnie. Wewnętrzne śledztwo nie wykazało jednak żadnych nadużyć ani sprzeczności między stanem deklarowanym a rzeczywistym. Iguacel mimo tego wniósł sprawę do sądu, gdzie zajął się nią sędzia Julian Ercolini. Przyjął on punkt widzenia Iguacela i już w październiku 2016 r. wezwał Cristinę Kirchner do stawienia się przed sądem.

Oskarżenie nie zawierało żadnych dowodów na przyjmowanie łapówek przez panią prezydent. Opierało się na stwierdzeniu że „powinna była wiedzieć" o nieprawidłowościach. Ciekawostką jest fakt, że 2018 r. gdy jedni prawicowi „obrońcy sprawiedliwości" oskarżali Cristinę Kirchner o korupcję, inni – tacy jak Iguacel i prezydent Macri – mieli proces sądowy o przyjmowanie wielkich łapówek od angielskiego miliardera Joe Lewisa.

Koledzy Mauricia

Warto zastanowić się skąd wzięło się to zdeterminowanie sędziów, by skazać Cristinę Kirchner. Wszyscy sędziowie, którzy wydawali wyroki w tej sprawie, byli w jakiś sposób związani z Mauriciem Macrim: byli jego nominatami, przyjaźnili się z nim prywatnie. Odwiedzali Macriego w jego rezydencji, grali z nim w tenisa lub piłkę nożną, podzielali jego poglądy polityczne.

Lorenzetti przed wydaniem ostatecznego wyroku przeciw Cristinie Kirchner spotykał się – celem konsultacji – z brazylijskim sędzią Sergim Moro, który w 2017 r. skazał Inacio Lulę da Silvę na 9,5 roku więzienia, by uniemożliwić mu udział w wyborach prezydenckich.

Exprezydent Mauricio Macri jest szefem holdingu zwanego Grupo Macri, do którego należą firmy motoryzacyjne, pocztowe, zajmujące się utylizacją odpadów etc., ze spółkami zależnymi w kraju i za granicą. Macri ma wsparcie ze strony potężnego koncernu medialnego Grupo Clarin znanego ze współpracy z faszystowską juntą w latach 1976–1983.

Wrogami Christiny Kirchner są też oligarchowie wspierający Javiera Mileia. Wśród nich wybija się Eduardo Sergio Elsztain, zwany też właścicielem Argentyny: żydowsko-argentyński potentat dysponujący holdingiem kapitałowym IRSA, bankiem BrasilAgro, Banco Hipotecario, wszystkimi większymi centrami handlowymi w kraju etc.

Oligarchowie nienawidzą Cristiny Kirchner z powodów czysto politycznych: była ona wielką orędowniczką praw socjalnych i obywatelskich, zwalczała sępie fundusze, promowała nacjonalizację najważniejszych dla gospodarki państwa przedsiębiorstw. Z jej inicjatywy państwo przejęło administrację emerytur i rent, którą wcześniej zajmowało się 10 firm prywatnych, spekulując na składkach obywateli.

Cristina Kirchner konsekwentnie występowała przeciw nadużyciom popełnianym przez przedsiębiorców z Grupo Macri. Trudno się zatem dziwić, że neoliberalna oligarchia jest jej śmiertelnym wrogiem. Procesowi przeciw byłej prezydent towarzyszy pełna nienawiści nagonka medialna, trafiająca do części społeczeństwa. Przodują w niej Grupo Clarin, prawicowy dziennik „La Nacion", media społecznościowe związane z Javierem Mileiem, zalewające byłą prezydent stekiem obelg: *vieja* (starucha), *chorra* (złodziejka), *puta* (kurwa), *loca* (wariatka), *yegua* (kobyła)…

Neoliberałowie z atawistyczną satysfakcją powiadają: „Nie trafiła jej kula, ale trafi wyrok!". To nawiązanie do zamachu na życie byłej pani prezydent z 1 września 2022 r. Prawicowy bojówkarz Fernando Sabag Montiel nie zdołał zabić Cristiny, gdyż w decydującym momencie zaciął mu się rewolwer. Proces sądowy w sprawie tego zamachu rozpoczął się dopiero w lipcu 2024 r. Koncentrował się na osobie zamachowcy i jego bezpośrednich współpracownikach, nikt nie próbował ustalić, czy istniał jakiś inny zleceniodawca tej akcji.

W ostatnich dniach adwokat Jose Manuel Ubeira oświadczył, że zlecenie zabicia byłej prezydent dała Patricia Bullrich – minister bezpieczeństwa narodowego w rządach Mauricia Macriego i Javiera Mileia. Wypowiedź jest interesująca, ale dopóki Bullrich sprawuje swój urząd, pozostaje nietykalna.

Argentina con Cristina

Warto przyjrzeć się też datom, w których zapadały wyroki na Cristinę Kirchner. Były one nieprzypadkowe. 18 maja 2019 r. – kiedy niechlubne urzędowanie Macri dobiegało końca – Kirchner ogłosiła start w wyborach. Zaledwie trzy dni później pojawiło się oskarżenie o korupcję w związku z Vialidad. Ale w obozie peronistów nastąpiły zmiany i zdecydowali się oni wystawić kandydaturę Alberta Fernandeza. Ataki na Cristinę przycichły. Gdy prezydentura Alberta Fernandeza zbliżała się do końca, prawica wystartowała z promocją Javiera Mileia. Jednocześnie podjęła środki zapobiegawcze na wypadek, gdyby Cristina zechciała kandydować. We wrześniu 2022 r. był tajemniczy zamach na jej życie, a w grudniu 2022 r. sąd wydał wyrok na byłą prezydent. 5 listopada 2024 r. Kirchner została zdecydowaną większością głosów wybrana przewodniczącą Partii Sprawiedliwości, stając na czele opozycji względem neoliberalnych szaleństw Mileia. Osiem dni później izba kasacyjna potwierdziła wyrok niższej instancji.

2 czerwca 2025 r. Cristina Kirchner zgłosiła swoją kandydaturę w wyborach w prowincji Buenos Aires przewidywanych na 7 września 2025 r. Wywołało to zamieszanie wśród prawicowców. Javier Milei z pasją powtarzał: „ona musi siedzieć, ona musi siedzieć". Sędzia Lorenzetti naciskał na pilne wznowienie procesu, gdyż zdobycie mandatu przez Cristinę uniemożliwiałoby jej uwięzienie. Tak więc zaledwie osiem dni po zgłoszeniu kandydatury do władz lokalnych Buenos Aires sąd II instancji odrzucił wszelkie wnioski obrony i pomimo braku dowodów winy ogłosił wyrok.

Wywołało to wielkie oburzenie społeczne. Przed domem Kirchner na ulicy San Jose 1111 zaczęły gromadzić się tłumy jej zwolenników wołające: „Argentina con Cristina!"(Argentyna z Cristiną), „Siempre con Cristina!"(Zawsze z Cristiną), „Cristina es inocente y lo saben!" (Cristina jest niewinna i oni to wiedzą). Była prezydent pojawiała się na balkonie, pozdrawiając zebranych i dziękując im za wsparcie, a każde jej pojawienie się wzbudzało gorącą owację. W związku z tym minister bezpieczeństwa Patricia Bullrich wydała byłej prezydent zakaz wychodzenia na balkon. Wysłała też liczne oddziały policji, by usunąć demonstrantów. Doszło do starć, ale zwolennicy Kirchner nie dali się rozproszyć. Odepchnięci wracali ponownie, a nawet zajęli dom naprzeciw mieszkania byłej prezydent. Cristina nagrywała przemówienia do Argentyńczyków, które później puszczano z megafonów. Mówiła, że jest niewinna i że skazały ją trzy marionetki, które wykonują polecenia polityków.

Wizyty w areszcie

Wyrok na Cristinę niespodziewanie zjednoczył podzielonych dotychczas peronistów. Wezwali oni do masowych zgromadzeń w obronie swojej przywódczyni. Wiec miał odbyć się 18 czerwca na słynnym Plaza de Mayo w Buenos Aires. Był to zaiste gorący dzień. Ilu ludzi przyszło – trudno precyzyjne określić. Według minister Burllich było „tylko" 48 tys., zdaniem różnych peronistycznych źródeł – 158 tys., według młodzieżowej organizacji La Campora – milion. W każdym razie odzew był ogromny. Przybyli tłumnie zwolennicy Partii Sprawiedliwości, stowarzyszenia Peronismo Militante, koalicji Frente de Todos, reprezentanci związków zawodowych, młodzieżowej organizacji La Campora – i zwykli obywatele rozczarowani rządami Mileia. Nad Plaza de Mayo powiewał też wielki czerwony sztandar Partido Comunista Revolucionario. Z megafonów puszczano przemówienie Cristiny Kirchner. Przypomniała ona o gigantycznym zadłużeniu, w jakie wpędziła Argentynę prawica, o zamykanych i sprzedawanych zakładach pracy, o dolaryzacji wprowadzanej przez ministra Caputo, o powszechnym demolowaniu gospodarki. Zapowiadała nieuchronny upadek obecnie funkcjonującego systemu.

Oczywiście doszło do walk z policją. Zwolennicy szturmowali centra Grupo Clarin: Todos Noticias, Canal 13 i inne. Zablokowali główne autostrady. Podobne marsze odbyły się w Cordovie, Rosario, Mar del Plata i wielu innych miastach.

Obrońca byłej prezydent Carlos Beraldo zwrócił się do sądu z wnioskiem o to, by ze względu na wiek oskarżonej zamienić karę więzienia na areszt domowy. Sąd niechętnie wyraził zgodę, ale postanowił ograniczyć prawo byłej prezydent do kontaktów ze światem zewnętrznym. Każdy, kto zechciałby złożyć wizytę uwięzionej, musi przedstawić prośbę o pozwolenie i zostać zarejestrowany. Do organów państwowych napłynęły setki petycji o pozwolenie spotkania z byłą prezydent. Narodził się ruch Cristina Libre.

3 lipca br. Cristinę odwiedził prezydent Brazylii Lula da Silva – czym doprowadził prawicę do wścieklizny. Wyrazy solidarności z Kirchner wyrazili: Nicolas Maduro – prezydent Wenezueli, Claudia Sheinbaum – prezydent Meksyku, Miguel Diaz Canel – prezydent Kuby, Gustavo Petro – prezydent Kolumbii, Luis Arce – prezydent Boliwii, Gabriel Boric – prezydent Chile. Wszyscy oni – i cała postępowa opinia publiczna w Ameryce Łacińskiej – nie mają wątpliwości co do tego, że proces i wyrok Cristiny Kirchner nie ma nic wspólnego z obroną praworządności czy ściganiem korupcji. Liberalni prezydenci prześladujący Kirchner – Menem, Macri i Milei – są wręcz ucieleśnieniem manipulacji, łapówkarstwa i oszustw. Tak właśnie działa demokracja liberalna w Argentynie.

ANDRZEJ ULMER

eprasa.pl bf69553f1f

Dlaczego rosyjscy sportowcy objęci są sankcjami, a izraelscy nie?

Wykluczenie bez równouprawnienia

W trzeciej rundzie piłkarskiej Konferencji Europy Raków Częstochowa zagra z Maccabi Hajfa. Izraelska drużyna nie ugości polskiej u siebie – korzysta ze stadionu w węgierskim Debreczynie. W Izraelu trwa wojna. Latają rakiety, a Izraelczycy bestialsko traktują ludność palestyńską, co zaczyna oburzać nawet ich najwierniejszych sojuszników, czyli Amerykanów. Dlaczego Rosję odsunięto od sportu, a Izraela nie?

Sportowa dyplomacja jest bardziej skomplikowana niż budowa rakiety kosmicznej ze Sławoszem Uznańskim-Wiśniewskim w kapsule. Po pełnoskalowej napaści Rosji na Ukrainę sportowcy z kraju Władimira Putina niemal natychmiast wykluczeni zostali ze wszystkich rozgrywek. Troszkę okoniem próbowali stawać działacze UEFA i FIFA, ale i oni musieli pogodzić się ze zdaniem większości krajów.

Przedłużenie sankcji

Ograniczenia sportowe nałożone na Rosję powiązane były z sankcjami gospodarczymi i politycznymi. Rosja – co zrozumiałe – odwołała się do Trybunału Arbitrażowego ds. Sportu w Lozannie, ale bez skutku. Trybunał właśnie zwrócił uwagę, że sport stanowi część obostrzeń polityczno-gospodarczych, toteż jest to zgodne z prawem. Na Izrael żadnych sankcji gospodarczych nie nałożono, więc na razie sportowcy z tego kraju mogą być spokojni o swoje starty. Fakt, że zawody nie mogą odbywać się w ich kraju, jest chyba oczywisty.

Nawet gdyby przyjąć ten argument, coś mi się nie zgadza. Białoruś, jako sojusznik Rosji, i z terenu której atakowali żołnierze Putina, objęta jest sankcjami gospodarczymi, ale sportowymi tylko częściowo. Drużyny piłkarskie z Białorusi mogą występować w rozgrywkach, ale mecze domowe muszą odbywać poza granicami kraju.

Oczywiście też byłem (i jestem) zdania, że kraj, który rozpoczął bezwzględną agresję na ukraińskiego sąsiada i dokonuje tam zbrodni wojennych, nie ma prawa uczestniczyć w sportowej rywalizacji związanej z wieloma wzniosłymi hasłami, choćby nawet większość z nich była już nieco zdezaktualizowana. Dziwiłem się naciskom niektórych krajów, głównie afrykańskich i południowoamerykańskich, aby z rosyjskich sportsmenów zdjąć odium i pozwolić na starty choćby pod neutralną flagą. Teraz już trochę mniej się dziwię, a to dzięki naszej reprezentantce w MKOl Mai Włoszczowskiej, która tłumaczy, że wiele zależy od historii i położenia danego kraju.

Wędrówka ludów sprawiła, że żyjemy tu, gdzie żyjemy. Natomiast Chile, Brazylii, Argentynie, Peru i ich sąsiadom Rosja nigdy nie zrobiła niczego złego, w przeciwieństwie do USA. Ambasady tego kraju postrzegane są tak jak u nas za PRL radziecka. Nie jest tajemnicą, że za prawicowymi przewrotami wojskowymi, których w tamtym regionie nie brakowało, stały najczęściej amerykańskie służby wywiadowcze.

Również w Afryce Rosja ma dobrą opinię. Nie odróżnia się jej od ZSRR, a Kraj Rad – przynajmniej werbalnie – walczył z imperializmem i kolonializmem. Mniej więcej połowie ludności planety trudno więc zrozumieć, dlaczego sportowcom z Rosji zabrania się startów w zawodach, tym bardziej że ich udział gwarantował zazwyczaj wysoki poziom rywalizacji.

Polacy honoris causa

Sam miałem moment zawahania w tej kwestii. Chodziło mi o rosyjskich żużlowców. Zawsze byli znakomici. Niemal cała ich czołówka od lat mieszka w Polsce z rodzinami, tu dzieci chodzą do przedszkoli i szkół. Oczywiście wszyscy legitymują się polskimi paszportami, trzymając w szufladzie także rosyjski, umożliwiający im wjazd do rodzinnego kraju choćby po to, aby odwiedzić bliskich. A tu – proszę! Z dnia na dzień podziękowano im za jazdę i przy okazji pozbawiono – wcale niemałych – zarobków.

Sprawę już częściowo odwrócono. Rosjanie z polskimi paszportami mogą startować w naszej lidze, musieli jednak zdać egzamin na licencję Polskiego Związku Motorowego. Są więc niejako polskimi żużlowcami honoris causa, ale to nie wystarcza, żeby brać udział w mistrzostwach świata. Międzynarodowa federacja okazała się surowsza od naszej.

Rosyjscy tenisiści mogą startować, ale jako osoby prywatne. Podobnie kolarze zawodowi, choć niektórzy z nich przyjęli obywatelstwo innych krajów, aby nie mieć problemów z przekraczaniem granic z rosyjskim paszportem.

Rośnie liczba dyscyplin dopuszczających Rosjan do startu, ale bez narodowej flagi i prawa wysłuchiwania hymnu, jeśli zajmą pierwsze miejsce i staną na najwyższym stopniu podium. Ostatnio taki przypadek miał miejsce podczas mistrzostw świata w szermierce w Tbilisi. Życiowy sukces odniosła tam Zuzanna Cieślar, która przegrała dopiero w finale z Rosjanką ormiańskiego pochodzenia Janą Jegorian. Ponoć (tego nie słyszałem, czytałem o tym) po odebraniu złotego medalu Jegorian, która jest porucznikiem armii, zawołała głośno: „Rosjo, to dla ciebie!”, co spotkało się z dezaprobatą większości uczestniczek mistrzostw (wśród nich była Cieślar). Podpisały list protestujący przeciw udziałowi Rosjan w mistrzostwach. Bez skutku.

Sport dla podzielających wartości

Następne igrzyska olimpijskie odbędą się w Los Angeles. To miasto raz już przeżyło bojkot igrzysk i chyba nie chciałoby powrotu historii. Myślę, że do czasu ich rozpoczęcia (14 lipca 2028 r.) Rosjanom przywrócone zostaną – przynajmniej częściowo – prawa reprezentowania swojego kraju. Może prezydent Donald Trump, który lubi promować się przy sportowcach, wpadnie na jakiś pomysł, aby zmusić Putina do zaprzestania bezsensownej agresji? Ale to wszystko nic pewnego.

W przyszłym roku współorganizatorem piłkarskich mistrzostw świata będą Stany Zjednoczone. Prezydent FIFA Gianni Infantino odwiedził Trumpa, a ich rozmowa odbyła się w Białym Domu przed kamerami TV. Trump był zdumiony, że w imprezie nie wezmą udziału Rosjanie. Po raz pierwszy o tym usłyszał.

Czy sportowcy Izraela spotkają się z podobnymi sankcjami jak rosyjscy? Naprawdę nie widać takich symptomów. Podczas sierpniowego koszykarskiego EuroBasketu w katowickim Spodku grupowym rywalem Polaków będą Izraelczycy, zresztą w tej dyscyplinie całkiem mocni.

Nie tak dawno unijny komisarz ds. sportu Glenn Micallef zapewniał, że kraje, które nie podzielają wspólnych wartości, nie powinny występować w imprezach sportowych. Ojejku, maltański polityk cokolwiek się zagalopował. Gdyby brać dosłownie jego słowa, trzeba by było wpisać na listę sankcyjną nie tylko Rosję, Białoruś, Izrael, ale i Chiny oraz bardzo wiele innych krajów. Może także Węgry i Słowację. Nie wszyscy podzielają takie wartości, jakie obowiązują w Unii Europejskiej. W naszym kraju miałbym wątpliwości dotyczące Konfederacji oraz Prawa i Sprawiedliwości. Czy sportowcy sprzyjający tym ugrupowaniom mieliby wg Glenna Micallefa prawo uczestniczyć w zawodach?

Kraje nie zawsze muszą czekać na decyzje centralnych władz sportowych. Wiele państw muzułmańskich nie uznaje Izraela lub traktuje jak wroga. Nie oglądając się na międzynarodowe federacje, odmawiają startowania przeciw Izraelowi. W przeszłości walk odmawiali zapaśnicy z Iranu, a ostatnio

reprezentacja jordańskich koszykarzy do lat 19 nie wyszła na parkiet zagrać z rówieśnikami z Izraela, protestując w ten sposób przeciw katastrofalnej sytuacji humanitarnej w Strefie Gazy. Demonstracji w tej sprawie jest więcej i nie zawsze udział w nich biorą tylko Arabowie.

Na trybunach stadionów pojawiają się flagi Palestyny, choć ani Izraelczycy, ani Palestyńczycy nie występują na arenie. Wiele palestyńskich flag widziałem wzdłuż trasy Tour de France.

W cieniu bojkotu

Miałem okazję z bliska obserwować działanie sankcji politycznych w sporcie. Było to 45 lat temu podczas igrzysk olimpijskich w Moskwie w 1980 r. Igrzyska zbojkotowały Stany Zjednoczone i sporo państw zachodnich w związku z agresją ZSRR na Afganistan.

Zwykle na zawody tej rangi wyjeżdżali tylko redaktorzy naczelni lub szefowie działów sportowych. Ja byłem młodym reporterem, uznano jednak, że redakcję reprezentować będą szef Andrzej Lewandowski i szybko posługujący się piórem młodzian, za jakiego wówczas uchodziłem. Bardzo się ucieszyłem, bo wolałem oglądać zawody i przesyłać z nich relacje, niż w redakcji obrabiać cudze teksty; przede wszystkim depesze agencyjne. Miałem już za sobą igrzyska w Montrealu w 1976 r., które spędziłem, prawie nie wychodząc z redakcji i śpiąc w niej na nadmuchiwanym materacu. Nawiasem mówiąc, igrzyska w Montrealu też były bojkotowane. Odmówili w nich udziału sportowcy z Afryki. Ponieważ – poza biegami długodystansowymi – nie prezentowali jeszcze wysokiego poziomu, prawie tego nie zauważyliśmy.

Montrealskie igrzyska były wyjątkowo uciążliwe dla europejskich dziennikarzy ze względu na różnicę czasową. Zawody odbywały się – z naszego punktu widzenia – w nocy. Z Moskwą takiego problemu nie było. Przeciwnie – dwugodzinna różnica czasu działała na naszą korzyść, mieliśmy więcej czasu na oglądanie rywalizacji i pisanie swoich sprawozdań.

W odwecie demoludy na czele z ZSRR nie pojechały na igrzyska w Los Angeles. Ministrem sportu (czy jak tam wówczas nazywała się ta funkcja) był u nas Marian Renke. W Polsce akurat skończył się stan wojenny.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Władzom bardzo zależało na tym, żeby nasz kraj był reprezentowany w Los Angeles choćby pod olimpijską, a nie narodową flagą. Nic z tego, towarzysze radzieccy byli nieugięci.

Moskiewskie igrzyska, które relacjonowałem, odbywały się w cieniu bojkotu, ale nam – Boże broń – nie wolno było tego akcentować, cenzura była czujna. Teraz cenzury nie ma, zwłaszcza w naszym tygodniku. Mogę więc napisać, co myślę: bojkot w sporcie jest zły, powinien być stosowany tylko w ostateczności. Mimo wszystko obok Rosji powinien objąć także reprezentantów Izraela. W obu przypadkach dopóty, dopóki nie ustaną przyczyny sankcji.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

NIE

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Krokodyl Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Izabela Szolc, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA” Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–32 – 5.08.2025 r.

eprasa.pl bf69553f1f

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

I oto nastał czas terroru. Pierwszą ofiarą reżimu Żurka była sędzia Święczkowska, która odnosiła sukcesy na polu nie tylko prawa i sprawiedliwości, ale także bariatrii: zdołała odchudzić męża o trzydzieści kilo. Lekko licząc.

Z kręgów zbliżonych do dyktatury słychać było, że kolejnym krokiem Żurka będzie schwytanie ministra Ziobry i postawienie go przed komisją śledczą, która niezwłocznie wtrąci go do lochu, uniemożliwiając leczenie i ostatecznie doprowadzając najpierw do afonii (z powodu choroby głośni), a następnie do śmierci w niewyobrażalnych męczarniach.

Dobrze poinformowani dziennikarze Strefy Wolnego Słowa powiadomili też, że oprawcy Żurka mają wybrać się na Węgry, by urządzić polowanie na Bogu ducha winnego wiceministra Romanowskiego. Gdy go ujmą, zawloką do lasów w Narodowym Parku Gór Bukowych, przywiążą do grabu i będą torturować. Listę tortur opublikuje portal Niezalezna.pl w późniejszym terminie.

Podobny los czeka innych członków partii Prawo i Sprawiedliwość i powołanych przez nią gabinetów: premierów Szydło i Morawieckiego, ich wszystkich ministrów oraz sekretarzy, oraz podsekretarz stanu. Szczególnie dolegliwe kary cielesne tyrania Żurka przewidziała dla prezydenta Dudy i jego urzędników.

Nic więc dziwnego, że w sytuacji zagrożenia wolności powstał ruch oporu. Na czele podziemnych oddziałów stanęli ziobrowi rzecznicy dyscyplinarni, sędziowie o pseudonimach Radzik, Schab i Lasota. Partyzanci gromadzili broń, a w rzadkich wolnych chwilach, przy ognisku i grochówce śpiewali pieśń, która wkrótce stała się ich hymnem:

„Żurek, ogórek, kiszka i sznurek.
Kiszka uciekła, Żurek do piekła".

Sytuacja była tragiczna, lecz wśród obrońców praworządności spod znaku Jakiego, Piebiaka i Wosia nie brakowało momentów radości i zabawy. Ukrywając się w piwnicach, w borach i moczarach, bojownicy żartowali, parafrazując znane podania, przysłowia i powiedzenia, np.:

– Żurem za niemieckim mundurem;
– Wyrwij Żurkom zęby krat, zerwij kajdany, połam bat, a Żurki runą, runą, runą;
– Żury wysokie, co mi z wami walczyć każe?;
– Żury Koryntu;
– Żur brzuszny;
– Żur zapiał;
– Tak pierdolnął Turek Żurka, aż mu z chujka zeszła skórka.

Do śmiechu nie było tylko partyzantom Bąkiewiczowi i Kaczyńskiemu. Chodzili wolni i uzbrojeni po ulicach, pokazywali się patrolom, grali na nosie siepaczom Żurka, odnosząc się do ich braku honoru. I nic. Nikt nie chciał obu zatrzymać, posadzić na dołek, podtapiać ani łamać kołem. Jeszcze chwila i wśród żołnierzy walczących z przemocą Żurka rozniesie się, że Bąkiewicz i Kaczyński zostali konfidentami.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

JOANNA SENYSZYN i **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** wreszcie się spotkają. Na Zlocie Ateistów. Spotkajcie się z nimi.

Senyszyn: – No to na początek: zapraszamy wszystkich na Zlot Ateistów organizowany przez Koalicję Ateistyczną w Spale od 14 do 17 sierpnia. Są jeszcze miejsca, trzeba odezwać się mailem: zarzad@koalicjaateistyczna.org, albo telefonem: 795 464 505. Będę tam od piątku wieczorem do obiadu w niedzielę i bardzo chętnie bym się spotkała z naszymi Czytelnikami.

Wołk-Łaniewska: – Ja też, ja też. Przybywajcie tłumnie. Będzie wystąpienie Joanny, będzie można z nią pogadać prywatnie i w ogóle, Imperatorka będzie dostępna. Będzie też mnóstwo innych ciekawych wydarzeń, a ja szczególnie polecam spotkanie z Basią Kwiatek, która mieszka w Beninie i wie mnóstwo rzeczy na temat voodoo. I do tego jeszcze będzie karmić afrykańską żywnością. Jak ktoś się boi afrykańskiej, to będzie też nasz tradycyjny staropolski grill…

– A co najważniejsze: będzie można spędzić cały weekend w gronie kilku tuzinów osób i mieć pewność, że żadna z nich nie jest tajnie Żołnierzem Chrystusa, Wojownikiem Maryi, Rycerzem Jana Pawła II ani członkiem Męskiego Plutonu Różańca.

– Tego akurat nie możemy być pewni, szpiedzy są ponoć wszędzie. Tak mówi premier Tusk, a także minister Kierwiński i wicepremier Kosiniak-Kamysz.

– Ale ruscy szpiedzy! O szpiegach teistów jeszcze nie słyszałam… To się zdarza raczej w drugą stronę: mnóstwo ateistów ukrywa dziś swoją niewiarę. Biorą kościelne śluby, chrzczą dzieci i posyłają je na lekcje religii, dzielą się opłatkiem, śpiewają kolędy, święcą pisanki, robią pogrzeby z księdzem, a o zmarłych mówią „świętej pamięci". Co można w jakiś sposób zrozumieć, bo ateiści w Polsce stanowią dyskryminowaną mniejszość. Toteż wielu nie dokonuje ateistycznego coming outu.

– Do czego obie z prof. Senyszyn serdecznie zachęcamy. To bardzo wyzwalające.

– Ale i bardzo niebezpieczne. Według PiS ateizm jest „atakiem na ludzki rozum, zgodą na absurd, pogwałceniem podstaw racjonalności"…

– …a samolot wybuchł nad Smoleńskiem. Postuluję nie umieszczać słów „PiS" i „racjonalność" w jednym zdaniu.

– Zgoda. Kłopot w tym, że chodzi nie tylko o PiS – i nie tylko o Polskę. Zaledwie 22 proc. ośmiomiliardowej populacji Ziemi oficjalnie deklaruje niereligijność.

– A zaledwie połowa z tego – wprost ateizm.

– Właśnie. Choć w Chinach ateiści stanowią 91 proc. mieszkańców, a w Japonii – 87 proc. W UE od 6 proc. we Włoszech do 85 proc. w Szwecji, a średnio 51 proc. Najsilniej zaś zateizowaną grupą zawodową jest kler. Jak mówił Iwan Pietrowicz Pawłow, laureat Nagrody Nobla z medycyny w 1904 r.: „Byłem klerykiem i jak większość seminarzystów, stałem się niewierzącym ateistą". Ateizm jest naturalnym stanem człowieka. Rodzimy się ateistami – niestety w świecie skażonym przez 4200 oficjalnie zarejestrowanych religii.

– I różnica między wierzącymi a ateistami jest taka, że ci pierwsi twierdzą, że 4199 jest fałszywych, a ci drudzy – że 4200.

– Co gorsza, jako niczego nieświadome dzieci zostajemy przypisani do wiary wyznawanej przez rodziców, a następnie poddawani regularnemu praniu mózgów. Dlatego naszym, ateistów, obowiązkiem jest nawracanie innych na przyrodzoną człowiekowi niewiarę.

– I wtedy możemy mówić o naszych ateistycznych szpiegach – śpiochach. I to takich najgłębiej zakonspirowanych, od urodzenia…

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Czas ich aktywować!

– Nawiasem mówiąc, ostatnio usłyszałam genialne porównanie autorstwa błyskotliwej standuperki Sydney Davis Jr. Jr. Że z religią to jest tak, jakby przyszła do niej przyjaciółka i powiedziała: – Poznałam kogoś. – To wspaniale, a jaki on jest? – Cudowny, zachwycający, tak pięknie do mnie mówi, tyle mi obiecuje, jest najlepszym, co mnie w życiu spotkało… – Cudownie, a kiedy się spotkaliście? – Jeszcze się nie spotkaliśmy. – A kiedy rozmawialiście? – Jeszcze nie rozmawialiśmy. – A znasz kogoś, kto zna go osobiście? – Nikogo… I jeśli się okazuje, że ta tajemnicza osoba zaczyna domagać się różnych przysług albo pieniędzy, albo rezygnacji z różnych rzeczy w imię tego związku – to normalna przyjaciółka zaczyna podejrzewać „catfishing". Czyli – wyjaśniam tym, którzy żyją w realnym świecie, a nie w necie – oszukańczą praktykę polegającą na udawaniu wymyślonej lub istniejącej osoby, przeważnie w celu wyłudzenia pieniędzy, choć czasem chodzi po prostu o zrobienie komuś wody z mózgu.

– To ja ci zacytuję Petera Boghossiana, amerykańskiego filozofa i autora podręcznika do „Tworzenia ateistów": wiara stanowi „niesklasyfikowaną dotąd chorobę poznawczą, przebraną za cnotę moralną". Choć osobiście wolę prostsze powiedzenie, że człowiek bez wiary jest jak ryba bez roweru.

– To akurat była kobieta bez mężczyzny, jak mi się wydaje… Czekaj, sprawdzam w necie… O, sztuczna inteligencja mi odpowiedziała. Uwaga, czytam, bo to fascynujące: „Wyrażenie to nawiązuje do popularnego, choć błędnego, skojarzenia, że ryby nie potrzebują rowerów". Okej, już jakby mniej się boję, że AI mi odbierze robotę… I na koniec odczuwam potrzebę poruszenia tematu dżinsów Sydney Sweeney.

– Kim jest Sydney Sweeney?

– Jakaś aktorką, to bez znaczenia. Znaczenie ma to, że reklamuje pludry tekstem, który opiera się na grze słów: dżinsy po angielsku brzmią tak samo jak geny. Sweeney pręży się seksownie, zapinając rozporek, i mówi, że „dżinsy/geny przekazywane są z rodziców na potomstwo i często determinują cechy takie jak kolor włosów, osobowość, nawet kolor oczu", a potem patrzy w kamerę i oświadcza: „Moje dżinsy/geny są niebieskie".

– No i?

– No i zrobiła się z tego gównoburza, bo postępowi demokraci uznali, że to promowanie eugeniki. Bo jak dziewczę z reklamy jest seksowne jako niebieskooka blondynka, to w podtekście jest sugestia, że to czyni ją lepszą od tych nieniebieskookich nieblondynek. A do kompletu w aferę wmieszał się Donald Trump, który ogłosił, że reklama ze Sweeney jest „najseksowniejszą reklamą", bo Sweeney jest zarejestrowaną republikanką. Jak słucham takich dyskusji, zawsze przypomina mi się scena z „Terminatora 2", kiedy przyszły przywódca rebelii przeciw dyktaturze robotów pyta robota: „We're not gonna make it, are we? People, I mean". Co można przetłumaczyć jako „Nie przeżyjemy tego, nie? My, ludzkość".

– W tym przypadku to raczej: „My, lewica".

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl bf69553f1f